



ANITA SHREVE

PASJE TAJEMNE



Przełożyła: Elżbieta Zawadowska-Kittel

ROZDZIAŁ 1

Johnowi, raz jeszcze.

Pasje tajemne duszy znałem, Więc powiem śmiało...

William Wordsworth, przel. Jacek Kictel

Podczas wieczorów autorskich czytelnicy zadają mi wiele pytań: Czy on naprawdę to zrobił? Czy mogę usprawiedliwić tę kobietę? Jakie były motywy działania tych ludzi: miłość czy nienawiść?

Zwykle również muszę odpowiadać, co jest zresztą w tej sytuacji całkowicie zrozumiałe, na wiele pytań osobistych. Ludzie chcą wiedzieć, dlaczego interesuję się taką tematyką i dlaczego zostałam dziennikarką.

Moje książki opisują zbrodnie - zarówno te perfidne, dokonane z zimną krwią, jak i morderstwa w afekcie. Zapewne niektórzy czytelnicy nie mogą zrozumieć, dlaczego spędzam większość czasu, grzebiąc się w takich brudach i zadając pytania, na które moi rozmówcy woleliby z pewnością nie odpowiadać.

Czasem mówię, że moje zajęcie przypomina pracę prywatnego detektywa, ale zwykle aż tak bardzo się nie wysilam. Odpowiadam twardo, że zostałam dziennikarką, bo taki zawód uprawiał mój ojciec.

Ojciec wydawał gazetę w małym miasteczku w zachodnim Massachusetts. „Wschodni Orzeł” nawet w latach swej największej świetności nie wzniósł się ani na chwilę na wyżyny dziennikarstwa, ale ja oczywiście uważałam, że tata zna się doskonale na swoim fachu, czy też rzemieśle - jak on sam nazywał uprawiany przez siebie zawód.

- Cała ta historia już się wydarzyła - mawiał, zanim wysłał mnie, swoje jedyne dziecko, nastolatkę, bym napisała reportaż na temat kradzieży w miejscowym sklepie lub pożaru w stodole. - Dziennikarz musi tylko nadać jej kształt.

Ojciec nauczył mnie wszystkiego na temat wydawania pisma. Umiałam zredagować i złożyć artykuł, sprzedać kolumnę z ogłoszeniami, opisać spotkanie w ratuszu. Tata miał oczywiście nadzieję, że zostanę w Whatley i przejmę interes. Ale ja sprawiłam mu zawód. Wyjechałam z zachodniego Massachusetts i przeprowadziłam się do Nowego Jorku. Tam ukończyłam college i studia dziennikarskie, a potem zaczęłam pracować dla pewnego tygodnika.

Nie zapomniałam jednak o ojcu ani o tym, czego mnie uczył. Przez te wszystkie lata, kiedy pisałam artykuły do gazet, i wtedy gdy na podstawie jednego z reportaży wydałam książkę, która przyniosła mi pieniądze oraz sławę, a także i potem jako autorka powieści kryminalnych - zastanawiałam

się często, dlaczego poszłam w ślady ojca. Dlaczego na przykład nie wybrałam architektury, medycyny lub też pedagogiki?

Dlatego, że - choć tak sądził mój ojciec - dziennikarstwo nie polega na relacjonowaniu faktów, lecz opowiadaniu historii. A raczej w tym właśnie tkwi cała trudność tego zawodu.

No bo co autorka robi z faktami, gdy już wejdzie w ich posiadanie, czy to w trakcie rozmów z zainteresowanymi, czy też podczas prowadzonego przez siebie dochodzenia?

Zastanawiałam się nad tym naprawdę długo i rzetelnie. Można by powiedzieć, że miałam nawet obsesję na tym punkcie. Nic więc nie widzę dziwnego w tym, że gdy siedziałam naprzeciwko młodej kobiety, która przycupnęła na skraju łóżka, nurtował mnie ten sam problem.

Nie byłam w akademiku od chwili, gdy ukończyłam college w 1965 roku. Lecz choć na ścianie wisiały plakaty grup rockowych, o jakich nigdy nie słyszałam, a na półce znajdował się telefon i walkman, ogólny wygląd studenckiej sypialni zasadniczo się nie zmienił. Tak jak kiedyś stało w niej biurko, krzesło, półka na książki, łóżko, a na parapecie sok pomarańczowy.

Zaczął się właśnie drugi miesiąc pierwszego roku nowej dekady i za oknem prószył śnieg, ale nie zanościło się na zamieć, choć - jak się dowiedziałam na stacji benzynowej - w środkowym Maine nie widziano trawy już od listopada.

Dziewczyna skrzyżowała ramiona na piersi i ustawiła równiutko nogi na podłodze. Miała na sobie niebieskie, prawdziwe lewisy, biały podkoszulek z długimi rękawami i szary sweter.

Matkę dziewczyny widziałam zaledwie dwa razy w życiu, ale jedno z tych spotkań okazało się wyjątkowo ważne, więc musiałam - z pobudek czysto zawodowych - zapamiętać dobrze jej twarz. Córka odziedziczyła po niej miedzianorudy odcień włosów, a po ojcu ciemne, może nawet piwne, głęboko osadzone oczy, co w zestawieniu z jasną cerą stanowiło niespotykaną kombinację. Nie wiedziałam, czym jeszcze obdarzyli rodzice swoją latorośl, ale z pewnością nie poskapili jej urody.

Dziewczyna była o wiele ładniejsza niż ja w tym wieku, podobnie zresztą jak niegdyś jej matka. Teraz, gdy przekroczyłam już czterdziestkę, moja twarz wydaje się nawet pospolita. Wiele lat temu nosiłam długie włosy, ale teraz strzygę je krótko, bo tak mi jest wygodniej.

Bardzo się zdziwiłam, że taka piękność nie robi makijażu i czesze się w koński ogon, jakby nie chciała eksponować swojej urody.

Domyślałam się, że ona wie, kim jestem, choć nigdy się nie widziałyśmy.

Wskazała mi jedyne w pokoju krzesło. Na kolanach trzymałam paczkę, która ciążyła mi niezmiennie od wielu lat. Przejechała ze mną wiele kilometrów, a teraz chciałam się wreszcie jej pozbyć.

- Dziękuję, że zgodziła się pani ze mną zobaczyć - powiedziałam, boleśnie świadoma faktu, że należymy do innych pokoleń. Ona miała dziewiętnaście lat, ja czterdzieści sześć; mogłam być jej matką. Na widok tej dziewczyny od razu pożałowałam, że włożyłam tyle złotej biżuterii i kosztowny płaszcz. Dzieliło nas jednak coś znacznie ważniejszego niż wiek czy pieniądze.

- Czytałam o pani mamie - zaczęłam, ale ona potrząsnęła głową na znak, że nie powinnam kontynuować.

- Już od lat wiem, kim pani jest - odezwała się cicho - ale nie sądziłam...

Czekałam, żeby skończyła zdanie, ale ponieważ milczała, zdecydowałam się przerwać ciszę.

- Dawno temu napisałam artykuł o pani matce. Pani była wtedy zaledwie dzieckiem.

Skinęła głową.

- Na pewno pani o nim słyszała - bardziej stwierdziłam, niż zapytałam.

- Owszem - odparła niezobowiązująco. - Nadal pani pracuje dla tego pisma?

- Nie. Ono już nie istnieje.

Mogłam jej wytłumaczyć, że pismo splajtowało, gdyż funkcjonowało na zbyt kosztownych zasadach. Nie tworzyło filii w terenie - tak jak czynią to dzisiaj wszystkie szanujące się gazety - lecz wysyłało reporterów w delegacje. A oni pisali przydługie sprawozdania z ważniejszych wydarzeń tygodnia i dostarczali księgowemu rachunki opiewające na pokaźne sumy. Z tej właśnie przyczyny tygodnik upadł w 1979 roku, ale ja wtedy już tam nie pracowałam.

Z korytarza dobiegł mnie nagle czyjś śmiech i wołanie. Dziewczyna zerknęła najpierw na drzwi, a potem na mnie.

- Muszę iść na zajęcia - powiedziała, patrząc na mnie łagodnie, lecz bystro, zupełnie inaczej niż jej ojciec, którego oczy przybierały zawsze nieprzenikniony wyraz.

Nie wiedziałam, czy ma przyjaciół, czy lubi sport, nie miałam nawet pojęcia, czy jest dobrą studentką. Byłam bardzo ciekawa, czy ona również - tak jak jej matka - pisze pamiętnik, a także i tego, czy odziedziczyła talent po matce lub ojcu.

- To należy do pani - powiedziałam, wskazując paczkę.

- A co to jest? - spytała.

- Materiały, które wykorzystałam przy pisaniu. Notatki, zapiski, tego rodzaju rzeczy.

- Ach, tak. Dlaczego? Milczałam.

- Dlaczego teraz? Dlaczego ja?

- Matka z pewnością pani powiedziała, co się stało - odparłam szybko - ale tutaj znajdzie pani więcej. W jednej z rozmów pani matka nawiązuje do historii, jaką opowie swojemu dziecku, więc pomyślałam sobie, że jeśli jednak nie miała szansy, aby to zrobić, to może pani wszystko przeczytać.

Powtarzałam tę kwestię przez cały tydzień, więc w końcu sama w nią uwierzyłam. Teraz jednak, gdy miałam to za sobą, chciałam powiedzieć tej dziewczynie, że przysłałam do niej z całkiem innego powodu.

- Nie wiem - powiedziała, zerkając na pakunek.

- To należy do pani - powtórzyłam. - Już nie jest mi potrzebne.

Wstałam i zrobiłam kilka kroków w jej stronę. Moje obcasy zastukały po drewnianej podłodze. Położyłam paczkę na kolanach dziewczyny. Wróciłam na krzesło i usiadłam.

Pomyślałam, że już za chwilę wyjdę z sypialni, wrócę do samochodu i pojedę na Manhattan. Czekał tam na mnie apartament z widokiem na Hudson, praca, nowa książka, którą właśnie zaczynałam pisać, oraz przyjaciele. Nigdy nie wyszłam za mąż i nie urodziłam dziecka, ale miałam kochanka, jednego z wydawców „Timesa”; mieszkał u mnie przez parę dni w miesiącu.

Choć przyjaciele twierdzą, że sens mojego życia stanowi praca, ja jednak nie do końca się z nimi zgadzam. Bardzo lubię gimnastykę i operę. Oczywiście w rozsądnych dawkach. Doskonale się czuję w towarzystwie mężczyzn, ale dość wcześnie zrezygnowałam z dzieci, więc doszłam do wniosku, że w moim przypadku małżeństwo nie ma sensu.

Zawinęłam paczkę w szary papier i zakleiliśmy taśmą. Teraz patrzyłam, jak dziewczyna rozrywa opakowanie.

- Nie mam notatek pisanych własnoręcznie przez pani matkę. Zawsze wolałam korzystać z maszynopisów. Są kompletne, zawierają wszystko, czego się dowiedziałam.

Ale ona mnie nie słuchała. Widziałam, jak czyta pierwszą stronę, a później; następną. Poprawiła się na krześle, a ja rozchyliłam płaszcz. Sądziłam, że dziewczyna zerknie na jedno czy dwa zdania i podziękuje mi za wizytę albo znów powie coś na temat zajęć. Ona jednak nie odrywała wzroku od zapisków, cicho przewracając strony.

Zacząłam się zastanawiać, czy nie powinnam jej przypomnieć o wykładach.

Usłyszałam szum na korytarzu. Potem znowu nastała cisza. Siedziałam tam około dziesięciu minut, dopóki nie zrozumiałam, że ona zamierza przeczytać to wszystko natychmiast. Wyrzałam przez okno. Nadal padało. Podniosłam się z krzesła.

- Pójdę na spacer - powiedziałam. - Napiję się kawy. Urwałam.

- A może...?

Nie dokończyłam, bo nie było sensu jej pytać, czy mam wrócić. Postąpiłabym zupełnie nieodpowiedzialnie, gdybym nie zaczekała na jej reakcję i nie udzieliła wyjaśnień.

Może w ogóle nie powinnam była tu przyjeżdżać - pomyślałam niespokojnie. Po co w ogóle przywoziłam te notatki?

Ale już dawno nauczyłam się poskramiać tego rodzaju lęki lub wątpliwości. To nie było wcale trudne. Musiałam tylko natychmiast się skupić na czymś innym. I tak właśnie zrobiłam. Postanowiłam znaleźć jakiś dobry hotel i restaurację.

Spojrzała na mnie nie widzącymi oczyma, z trudem odrywając się od lektury. Zauważyłam, że drży jej ręka, w której trzyma kartkę.

Patrzyła na mnie tak, jakby zupełnie nie wiedziała, kim jestem. Mogłam się jedynie domyślać, co myśli i czego się boi, choć to przecież ja znałam tę historię najlepiej na świecie.

A co więcej, wiedziałam również wszystko o jej autorce.

ROZDZIAŁ 2

Notatki, zapiski z rozmów

Autor: Helen Scofield

Adresat: Edward Hargreaves

Temat: historia Maureen English

Data: 2 sierpnia 1971

Sądę, że nic nie stoi na przeszkodzie, żebyśmy podjęli temat tej English, i chciałabym, żeby wyraził pan na to zgodę. W zeszłym miesiącu sądziłam, że będziemy musieli zrezygnować z reportażu, bo nie mogłam się dogadać z Maureen English, czy też Mary Amesbury, jak ona sama siebie nazywa. Jak pan zapewne pamięta, byłam w St. Hilaire i rozmawiałam z mieszkańcami, dzięki czemu zdobyłam wiele materiałów pomocniczych, a następnie pojechałam do Windham, żeby zrobić wywiad z Maureen. Zamieniłam z nią kiedyś zaledwie parę słów na przyjęciu redakcyjnym, ale zanim podjęłam pracę w tym piśmie, ona już zdążyła zrezygnować. Harolda znałam niezbyt dobrze, raczej z widzenia.

Choć Maureen przyszła na spotkanie, nie chciała rozmawiać. Na darmo się wysilałam, żeby skłonić ją do zwierzeń. Wróciłam do domu srodze zawiedziona. Wydawało mi się, że mam świetną historię, ale bez relacji Maureen było w niej zbyt wiele dziur.

Zaczęłam opracowywać reportaż na temat Juana Coronoy i zapomniałam o Maureen. Ale potem, dokładnie w zeszłym tygodniu, dostałam paczkę zawierającą notatki sporządzone przez Mary Amesbury. Są wśród nich zapiski zarówno krótsze, jak i dłuższe. Można je właściwie nazwać rodzajem dziennika, który Mary Amesbury pisała głównie z myślą o sobie, choć pewne fragmenty są wyraźnie adresowane do mnie. Jak się okazuje, peszył ją magnetofon i sama atmosfera rozmównicy, ale w zaciśnięciu celi potrafiła świetnie opowiedzieć swoją historię. Ja widocznie przypominałam jej zbyt natrętnie o przeszłości, co stanowiło kolejny powód, dla którego nie potrafiła się otworzyć.

Tak naprawdę nie jestem pewna, co ona mi właściwie przysłała. Sądę jednak, że znajdę w tym pamiętniku podstawowe fakty, a gdy połączę je z informacjami uzyskanymi od innych, będę w stanie ułożyć wszystko w logiczną całość. Na razie otrzymałam tylko jedną paczkę, ale Maureen obiecuje, że wkrótce wyśle mi następną.

Pociąga mnie ta historia i - pomijając względy najzupełniej oczywiste - nie bardzo rozumiem, z jakiego powodu. Zawiera tyle realistycznych,

przykrych elementów, ale sędzę, że przy zachowaniu odrobiny taktu można z niej zrobić coś fantastycznego. Nie jestem też pewna, czy wszystkie zagadnienia związane z tą sprawą poruszano już w innych środkach masowego przekazu, więc mamy szansę być pierwsi. Aż trudno uwierzyć, że coś tak strasznego przytrafiło się właśnie tym ludziom. Chyba wszyscy doznaliśmy szoku - przecież oni oboje tutaj pracowali. Jeśli pan się zgodzi, potrzebuję na ten artykuł około pięciu tysięcy słów.

Powinam od razu wyjaśnić, że nie zdołałam się skontaktować z Jackiem Stroutem, bo on po prostu nie wyraził zgody na wywiad. Można się jednak obyć bez tej rozmowy.

Proszę mi jak najszybciej dać znać, co pan o tym myśli. Chciałabym zacząć pisać.

RS

ROZDZIAŁ 3

Mary Amesbury

3-4 grudnia 1970

jechałam na północny wschód. Tak daleko na wschód, jak się dało. Cały czas miałam przed oczyma obraz auta spadającego w przepaść - ale to był tylko obraz, a nie plan. Wzdłuż drogi stały rzadko rozmieszczone, stare, wyblakłe domy. Z wielu obłaziła farba. Wznosiły się majestatycznie nad ziemią aż po spiczaste dachy, a wokół nich pełno było rzeczy niegdyś przydatnych, takich, które znowu mogły stać się potrzebne, na przykład samochód na cegłach, rolka srebrzystej izolacji, zardzewiała kratka półciężarówki, zajmująca honorowe miejsce na zaśnieżonej ścieżce jak nie dokończona rzeźba. Nowe domy nie były tak piękne - wyglądały jak różowe albo niebieskie plamy na tle wzgórz - lecz widać było od razu, że mieszka w nich młodsze, bogatsze pokolenie. Na pewno instalowano tam lepsze grzejniki i kuchenki. Miasteczko, które wybrałam, leżało przy końcu tej trasy. Rzuciłam się na nie jak na drogowskaz podczas burzy. Znajdował się w nim port, szkoła, biały drewniany kościół. A także biblioteka, sklep spożywczy, poczta. Po wschodniej stronie, tyłem do portu, stały cztery wysokie białe domy w różnych stadiach zniszczenia. W porcie cumowały kutry rybackie, a przy końcu nabrzeża dostrzegłam niski, szeroki cementowy budynek - najprawdopodobniej pawilon handlowy. Fakt, że wszystkie najważniejsze punkty miasta można było ogarnąć zaledwie jednym spojrzaniem, uznałam za niezwykle obiecujący.

Zaparkowałam nieopodal sklepu. Na szyldzie wiszącym ponad logo Pepsi widniał napis: „U Shedda”. Wywieszka z listą towarów reklamowała buty nieprzemakalne, syrop klonowy, czasopisma, sprzęt rybacki. Tuż obok niej zauważyłam pamiątkę po wyborach lokalnych. „Głosujcie na Rowleya!” - zachęcał plakat. Chłopak w niebieskiej półciężarówce zaparkowanej przed stacją benzynową przysunął sobie do ust kubek z kawą, podmuchał i popatrzył na mnie. Odwróciwszy się od niego, położyłam rękę na mapie złożonej starannie na siedzeniu. Dotknęłam palcem kropki. Wydawało mi się, że jestem w St. Hilaire.

Błonia otulał śnieżny całun, różowiejący w promieniach popołudniowego słońca. Za wieżą kościelną czerwona wstążka przecięła niebo dokładnie między horyzontem a rzedniejącą kołdrą chmur. Purpurowa zorza padła na szyby w oknach po wschodniej stronie miasteczka, nadając budynkom nagłą jasność, wręcz zimową świetlistość. Niemniej jednak nad drewniane drzwi

kościół wkradł się paskudny dysonans w postaci krzyża oświetlonego niebieskimi żarówkami.

Zamieć ustała; pewnie przeniosła się dalej na wschód, w stronę oceanu. Uliczkę naprzeciwko Shedda odśnieżono, aczkolwiek niezbyt dokładnie. Wyobrażałam sobie, że widzę mróz.

Rozłożyłam mapę na siedzeniu i przejechałam palcem po trasie, którą udało mi się pokonać: od parkingu przy Osiemdziesiątej, poprzez West End, drogę wylotową z Nowego Jorku, autostrady widokowe, przelotowe i w końcu wybrzeże Maine. W dziesięć godzin przebyłam prawie osiemset kilometrów; doszłam do wniosku, że to wystarczy.

Musi wystarczyć - pomyślałam.

Odwrociłam się, żeby spojrzeć na dziecko. Caroline spała spokojnie w koszyku na tylnym siedzeniu. Popatrzyłam na jej buzię: jasne brwi, rude kosmyki włosów wystające spod wełnianej czapeczki, pulchne policzki, które nawet w takiej sytuacji miałam ochotę pogłaskać, a gdy to uczyniłam, moja córeczka poruszyła się przez sen.

Duszne ciepło nagrzewnicy zaczynało się powoli ulatniać. Poczułam chłód wokół nóg i otuliłam się szczelniej płaszczem. Horyzont płonął. Szare kłęby chmur ponad zachodzącym słońcem przedrzeźniały dym z ogniska. W domach powoli, zapraszająco, jedno po drugim zapalały się światła; ktoś ze sklepu Shedda włączył żarówkę nad drzwiami.

Oparłam się o siedzenie i popatrzyłam na domy. Prostokąty okien sięgały od podłogi do sufitu, a wypełniały je karbowane szyby. Przypominały mi okna, w które zaglądałam, kiedy jeszcze jako mała dziewczynka wracałam po ciemku do domu. Wszyscy siadali właśnie do kolacji, a ja patrzyłam, jak gromadzą się przy stole, i stałam tak w ciemnościach, rozkoszując się tym widokiem. Wyobrażałam sobie, że stanowią część tych żywych obrazów i gram rolę dziecka jedzącego kolację, dziewczynki siedzącej z ojcem przy kominku. I choć rodziny w oknach były zwodnicze jak wyretuszowane fotografie (w czasie tych moich spacerów nigdy nie widziałam, żeby mąż był żoną lub dziecko ani też żeby żona płakała w kuchni), zerknęłam jeszcze raz w te okna i pomyślałam, że gdybym mieszkała w którymś z tych domów, siedziałabym na drewnianym krześle w kuchni, jednym uchem słuchając wiadomości, a przy moim nakryciu stałby kieliszek wina. Caroline wsadziłabym na wysoki dziecienny fotelik i patrzyła, jak mój mąż otrzepuje śnieg z butów... a on wróciłby do domu z... (No właśnie, skąd? Rozejrzałam się po ulicy. Co to za budynek tam na nabrzeżu? Może biblioteka? Albo duży sklep?) Wróciłby do domu, przykucnął, żeby popieścić kota o barwie

miodu, pogładziłby dziecko po główce, nalał sobie wina i upijając pierwszy łyk, objął mnie ramieniem...

Dosyć. Ten fałszywy obraz był jak balon, z którego uchodzi powietrze. Popatrzyłam na swoje odbicie w lusterku wstecznym i szybko odwróciłam głowę. Włożyłam duże ciemne okulary, żeby zasłonić oczy, i omotałam wokół głowy wełniany szal, tak by zakrywał mi dolną część twarzy.

Znowu zerknęłam na szpaler białych budyneczków. Ganki tonęły w śniegu. Pomyślałam, że - podobnie jak moi pradziadowie koloniści - muszę pokonać niemało trudności, żeby się tu osiedlić.

Na pewno zdziwiła panią wiadomość ode mnie. Chyba byłam w stosunku do pani nieuprzejma. Może to przez ten magnetofon - natrętną czarną maszynę stojącą między nami na stoliku. Nigdy nie lubiłam magnetofonów! One odstraszały ludzi, zupełnie tak samo jak wykrywacze kłamstw. Kiedy jeszcze pracowałam, posługiwałam się wyłącznie notatnikiem i ołówkiem, a nawet to wprawiało moich rozmówców w stan lekkiego niepokoju. Zamiast patrzeć mi w oczy, wbijali wzrok w to, co napisałam.

A może podziałała tak na mnie po prostu pani obecność w tej sterylnej, oficjalnej rozmównicy. Coś, co pani zrobiła, przypomniało mi Harrolda. Bo on też czasem tak siadał - podobnie jak pani wczoraj - ze skrzyżowanymi nogami, twarzą pozbawioną wyrazu. I bębnił ołówkiem po stole, jakby grał na werblach.

Pani jednak w niczym go nie przypomina, prawda? Jest pani po prostu reporterką, taką samą jak ja kiedyś - z włosami odgarniętymi za uszy i w sukience pogniecionej w okolicy kolan. Próbuje pani po prostu wykonywać to, co do pani należy.

Albo też zareagowałam w ten sposób na samą rozmowę. Zapewne pani sądzi, że powinnam być do tego przyzwyczajona. Niestety, wiem za dużo o tej robocie. Znam wszystkie mechanizmy. Niby rozmawiamy, ja coś mówię, a pani patrzy mi w oczy, ale tak naprawdę szuka pani jakiegoś tropu, wylapuje cytaty. Wyczytuję to z łatwością z pani twarzy. Musi pani uchwycić samo sedno swojej historii, bo inaczej pani nie spocznie. Ma pani nadzieję na świetny reportaż, myśli już o liczbie stron. A ja wiem, że historia, jaką pani opisze, będzie się różniła od tej, którą pani opowiem. Inną zna również mój adwokat i sąd. Inną usłyszy kiedyś ode mnie moja córeczka.

Moje maleństwo, moja sierotka, moja słodka dziewczynka. Przybrałam imię Mary, zupełnie jak zakonnica, chociaż w niczym nie przypominam mniszki. Pani jednak i tak się o tym dowie, podobnie zresztą jak o tym, że

skończyłam dwadzieścia sześć lat. Do czasu, kiedy nadejdzie mój list, z pewnością zapozna się pani ze wszystkimi materiałami.

W swoim artykule na pewno mnie pani opisze, a ja bardzo bym chciała, żeby nie musiała pani tego robić, bo cały czas widzę się taką, jaką mnie pani zobaczyła, kiedy przyszła do mnie z pierwszą wizytą. Stwierdzi pani zapewne, że wyglądam staro i jestem blada, wymizerowana, zupełnie jak ktoś, kto całymi tygodniami nie wychodził na powietrze. W tym więziennym uniformie mam zupełnie bezkształtne ciało. Nikt się nawet nie domyśli, że kiedyś byłam naprawdę zgrabna. Już nigdy nie będzie mnie oglądał żaden mężczyzna. To jednak nie jest ważne, prawda?

Wiem, że na pewno pani nie rozumie, dlaczego zdecydowałam się do pani napisać. Sama zadaję sobie to pytanie. Mogłabym powiedzieć, że chcę w ten sposób zaoszczędzić cierpień innym kobietom. Lub też że jako reporterka zapalałam pragnieniem opowiedzenia swojej historii. Te wyjaśnienia byłyby jednak nieprawdziwe, a przynajmniej nie do końca prawdziwe. Właściwa odpowiedź jest prostsza, a jednocześnie o wiele bardziej skomplikowana. Opisuję tę historię wyłącznie dla siebie. To wszystko.

Wtedy sama niedokładnie siebie rozumiałam, więc tym bardziej nie potrafiłam nikomu niczego wyjaśnić. Tak jak nie mogłam udzielić pani wywiadu. Ale po pani wyjściu zaczęłam się rozglądać za kartką i ołówkiem. Może jednak jest pani dobrą reporterką.

Jeśli uda się pani wyłowić jakieś fakty z tych wspomnień, to ja nie mam nic przeciwko temu. A gdyby się okazało, że kiepsko piszę, niedokładnie przytaczam rozmowy czy też relacjonuję wydarzenia nie całkiem w zgodzie z chronologią, to pani i tak odnajdzie w moim opowiadaniu wszystko, co jest w nim najważniejsze, prawda?

Kiedy otwierałam drzwi do sklepu Shedda, zadzwonił dzwoneczek. Wszyscy obecni - kilku mężczyzn, kobieta, właściciel stojący za ladą - podnieśli na mnie wzrok. Trzymałam na rękach Caroline, a blask neonówek i ciepło pomieszczenia podziałały na mnie deprymująco. Światło zaczęło drgać, a potem wirować. Kobieta stojąca przy ladzie zrobiła krok naprzód, jakby zamierzała przemówić.

Odwróciłam od niej wzrok i weszłam między gabloty. Znów dotarły do mnie odgłosy rozmów. Mówili coś o niespodziewanym sztormie, zaginionej łódce i dziecku chorym na gripę. Po raz pierwszy w życiu słyszałam specyficzny akcent mieszkańców Maine - wydłużone samogłoski, dzielenie wyrazów na sylaby. Słowa i zdania cechował charakterystyczny rytm. Ten akcent przyczepia się do człowieka jak melodia znanego przeboju.

W takich sklepach można się łatwo nabawić klaustrofobii. Rozumie pani, co mam na myśli? Była pani u Shedda? Półka z chipsami i precelkami stała tuż obok zamrażarki. Pudełka z płatkami śniadaniowymi oraz konserwami zajmowały dwa długie rzędy regałów, ale większość miejsca przeznaczono na artykuły wędkarskie. Zdjęłam z półki na tyłach sklepu karton z mlekiem. Przyciskając do siebie dziecko i mleko, wolną ręką pochwyliłam paczkę ciastek kakaowych, a już zmierzając do wyjścia, nadziałam na palec uchwyt sześciopaku z piwem.

Przy ladzie stał mężczyzna z wąsami, mniej więcej równy mi wiekiem i wzrostem, w czapce baseballowej i zbyt wąskiej dżinsowej kurtce. Najprawdopodobniej nosił ją od lat, ale ostatnio przytył, więc zrobiła się na niego za mała. Mężczyzna był wyraźnie ożywiony, rozpieierała go energia. Bębnił palcami po ladzie, gdzie umieścił paczkę z chipsami rybnymi, puszkę fasoli, sześciopak z piwem i karton papierosów. Pomyślałam, że jest mu chyba za chłodno w takim ubraniu.

Przy kasie stał właściciel sklepu - starszy mężczyzna z zębami pożółkłymi od kawy i papierosów - chyba dobiegający sześćdziesiątki. Na kieszeni jego brunatnożółtej zamszowej koszuli widniała atramentowa plama. Wystukiwał ceny towarów, zerkając na klawiaturę tylko jednym okiem. Drugie, szklane, patrzyło na mnie. Szal ześlizgiwał mi się z głowy, a ja nie mogłam go poprawić, bo miałam zajęte ręce.

Jedyna kobieta w sklepie, ubrana w zielony, ręcznie robiony sweter i szarą parkę, stała przy maszynie do kawy, czytając gazetę. Wysoka, postawna, choć niezbyt teга, robiła imponujące wrażenie. Na jej czerstwej twarzy trudno było dopatrzeć się brwi. Miała niebieskawe, wodniste oczy i szparę - jaką często widywałam u ludzi z prowincji - między dwoma przednimi, bardzo białymi zębami. Siwiejące włosy przycięła krótko. Oceńłam ją na pięćdziesiąt lat, ale wydawało mi się, że nieznajoma należy do osób, dla których czas staje w miejscu. Tacy ludzie długo nie zmieniają wyglądu. Zamknawszy gazetę, obrzuciła mnie przelotnym spojrzeniem.

- Pięćset osiemdziesiąt dwa dolary - powiedział sklepikarz. Mężczyzna z wąsami wyjął portfel z tylnej kieszeni spodni i uśmiechnął się lekko, słysząc ten kiepski dowcip. Wręczył kupcowi banknot dziesięciodolarowy i zaczął się z nim przekomarzać. Nie wiem, czy dobrze zapamiętałam tę rozmowę, ale brzmiała chyba mniej więcej tak:

- Chcesz, żebym poszedł z torbami, Shedd?
- Nie denerwuj mnie, Willis. I tak jesteś biedny jak mysz kościelna.
- Pewnie. Co za parszywy sezon. Chryste! Nikt o tej porze roku nie może zarobić ani centa.

- Zholowałaś już łódkę?
- Zajmę się tym piętnastego, jak co roku. Przez te dwa tygodnie spróbuję jeszcze coś zarobić. Zostały mi już tylko jakieś nędzne grosze.

- Nie narzekaj, bo co będziesz robił, jak się zestarzejesz?

- Już się taki marudny urodziłem.

- To prawda - prychnął Shedd.

Mężczyzna z wąsami wziął resztę i papierową torbę z zakupami. Postawiwszy na ladzie mleko, ciastka oraz piwo, wolną ręką zacieśnił szal wokół głowy. Nieznajomy wahał się przez chwilę.

- Jak leci, Ruda? - spytał w końcu.

Skinęłam głowę. Byłam przyzwyczajona do tego przezwiska.

- Czym mogę służyć? - odezwał się Shedd, patrząc na mnie niebieskim szklanym okiem. Prawdziwe było szarozielone.

- Wezmę to - powiedziałam, wskazując na zakupy. - A poza tym chciałabym się dowiedzieć, czy nie zna pan jakiegoś motelu, w którym mogłabym przenocować razem z dzieckiem - wyrecytowałam szybko, jakbym się nauczyła tego tekstu na pamięć.

- Pani przejazdem? - spytał sklepikarz.

Dotknęłam stojących na ladzie produktów, po czym sięgnęłam po portfel. Pasek torebki zsuwał mi się z ramienia, więc musiałam ułożyć inaczej Caroline.

- Nie jestem pewna. Może zostanę - powiedziałam. Opuściłam wzrok na ladę, obłupany prostokąt szarej formiki ograniczony z jednej strony puszką gulaszu, a wystawą cukierków z drugiej. Wiedziałam, że sklepikarz z pewnością zachodzi w głowę, dlaczego samotna kobieta z dzieckiem chce w pierwszym tygodniu grudnia wynająć pokój w motelu na zachodnim wybrzeżu Maine, i to w dodatku prawdopodobnie na dłużej niż jedną noc.

- Cóż, obawiam się, że w St. Hilaire niczego pani nie znajdzie

- powiedział, jakby szczerze żałował, że sprawia mi zawód.

- Musi pani pojechać do Machias.

- W połowie drogi jest „Gateway” - powiedział mężczyzna z wąsami krążący wokół stojaka z prasą. Zerknęłam na czasopisma. Był wśród nich „Yankee”, „Rod and Gun”, „Family Circle” i wiele innych. Nagle dostrzegłam znajomy tytuł i zatrzymałam na nim wzrok, zupełnie jakbym zobaczyła nagle w lustrze swoje odbicie lub też twarz człowieka, o którym nie miałabym już ochoty pamiętać. - Muriel ma chyba z tuzin pokoi. Na pewno byłaby zadowolona z gościa.

- Rzeczywiście - poparł go sklepikarz. - Niech pani sobie daruje jazdę do Machias. Ten motel nie jest może najładniejszy, ale przynajmniej czysty.

Caroline zaczęła popłakiwać, więc zaczęłam kołysać ją w ramionach, żeby się uspokoiła.

- Trzy dolary trzysta centów - powiedział Shedd, co zabrzmiało jak „czy dolary czynacie centów”. Nigdy nie zapomnę tej jego wymowy, kiedy pomyślę o akcencie mieszkańców Maine.

Zapłaciłam i odpięłam płaszcz. Pot lał się ze mnie strumieniami.

- Skąd pani pochodzi? - spytał sklepikarz. Chyba wahałam się o sekundę za długo.

- Z Nowego Jorku - powiedziałam, a mężczyźni wymienili spojrzenia. - Jak mogę tam dojechać? - spytałam.

Sprzedawca włożył moje zakupy do papierowej torby i odliczył resztę.

- Proszę się kierować wzdłuż wybrzeża na północ aż do trasy numer jeden. Tam proszę skręcić w prawo i jechać na Machias. Na trzynastym kilometrze będzie motel. Na pewno go pani nie przegapi. Ma taki duży zielony szyld.

Włożyłam torebkę pod lewą pachę, przyciskając dziecko prawym ramieniem. Mężczyzna z wąsami otworzył przede mną drzwi i znów odezwał się dzwoneczek. Ten dźwięk wprawił mnie w przerażenie.

Horyzont połknął słońce. W twarz uderzyło mnie suche, gorzkie powietrze. Gdy szłam szybkim krokiem do auta, moje buty skrzypiały na śniegu. Ze szczytu schodów w chłodnej ciszy nocy dobiegły mnie głosy, już teraz znane i w pewien sposób życzliwe.

- Jest sama z dzieckiem.

- Widocznie uciekła od męża.

- Możliwe.

- Pewnie tak.

Everett Shedd

Poznałem, że ma kłopoty, od razu jak przekroczyła próg. Znaczy, zakutała twarz w szalik i miała ciemne okulary. Widocznie chciała się za nimi schować, ale wyglądała tak dziwnie, że wszyscy się na nią gapili. Rozumie pani, o co mi chodzi? Niechcący ściągała na siebie oczy wszystkich. Przecież był już wieczór, na dworze ciemno, a jak nawet w sklepie nie zdjęła tych szkieł, to mogłem się założyć, że coś z nią nie tak. W dodatku dziwnie trzymała to dziecko - jakoś tak kurczowo, jakby nie chciała go zgubić albo jakby się bała, że ktoś je ukradnie. A potem, jak szalik spadł jej z głowy, pomyślałem, że miała wypadek, bo było strasznie ślisko. Nie wszystkie drogi odśnieżono, więc tylko czekałem, jak powie, że się gdzieś rozbiła, ale te siniaki nie wyglądały na nowe, znaczy takie, jakby je sobie dopiero co nabiła. Poza tym chciała je schować. Po co by zakrywała siniaki

po wypadku? Ja przynajmniej, jak długo żyję, niczego takiego nie widziałem, a nabrałem trochę doświadczenia, bo pewnie pani wie, że w naszym miasteczku tylko ja reprezentuję prawo. Chyba że wyznaczę na swoje miejsce kogo innego. My z moją małżonką prowadzimy ten sklep, ale jak wyniknie jakiś kłopot, ja muszę sobie jakoś z nim radzić. A jak nie potrafię, dzwonię do Machias, a oni wysyłają wóz. I coś pani jeszcze powiem. Aż do tamtej pory nie widziałem tak pokancerowanej twarzy. Wcale nie chcę przez to powiedzieć, że u nas nie ma żadnych awantur. Czasem ktoś się upija, dostaje małego rozumu, podbija komuś limo albo nawet łamie rękę, ale ona wyglądała jeszcze gorzej. Dolną wargę miała siną i opuchniętą, a na policzku czerwonego guza, wielkiego jak indycze jajo. I myślę sobie, że gdyby zdjęła te szkła, zobaczylibyśmy parę niezłych siniaków pod oczami. Muriel i Julie mówiły, że wyglądała naprawdę fatalnie, a widziały ją z rana następnego dnia. To było bardzo ważne, bo potem musieliśmy opowiadać o wszystkim w sądzie. Julia chyba zapytała ją nawet, czy dobrze się czuje, a ona powiedziała, że tak, chociaż ledwo trzymała się na nogach. Może nawet kulą. Zdaje się, że na prawą nogę. Stałem więc za kasą, pakowałem jej zakupy i tak sobie kombinowałem. Mówiła, że przyjechała z Nowego Jorku. Rzadko się u nas trafia ktoś stamtąd. Więc tylko popatrzyliśmy po sobie, znaczy ja, Willis i Julia, a ona poszła. I tyle.

Nieraz się zastanawiałem, czy dobrze wtedy zrobiłem. Mogłem ją przecież wziąć na spytki i podpuścić, żeby w końcu powiedziała, co jest grane. Ale wątpię, czyby mi się to udało. Nikt zresztą nie miał szans. Poza tym uważaliśmy, że w „Gateway” będzie bezpieczna, chociaż nie chcieliśmy, żeby tam jechała w taki ziąb. Zapowiadali siarczysty mróz, chyba z piętnaście stopni, zimny wiatr, więc zadzwoniłem do Muriel, żeby jej powiedzieć, że będzie miała gościa. A potem Muriel odesłała ją do Julii i chyba wszystkim nam się wydawało, że Julia trzyma rękę na pulsie, o ile to w ogóle możliwe w takiej sytuacji. Ale rozmawialiśmy o tym później, kiedy one już wyjechały. Interesowała nas ta sprawa, nie mogę powiedzieć, że nie.

Chuda była, sama skóra i kości, jak te wszystkie niedożywione modelki z Nowego Jorku, ale powiem pani coś jeszcze. Wyczuwałem, że jest ładna. Pewnie się pani po mnie czegoś takiego nie spodziewała. Ale ona naprawdę miała coś w sobie, nawet w tych okularach i z podpuchniętą wargą. I te rude włosy, prawdziwe, nie pomarańczowe, ale złotorude, naprawdę ładne, w kolorze wiśniowego drewna. Taaa... właśnie w kolorze wiśniowego drewna. I tak dużo tych włosów, opadały jej na twarz, okalały jak wianek. (Bardzo lubię rude, moja była ruda, spinała włosy z tyłu głowy. Ale to dawne

dzieje). Z tamtą było dziwnie... znaczy... spróbuję to pani jakoś wytłumaczyć. Widzi się piękną rzeźbę w książce z obrazkami i naraz się okazuje, że ta rzeźba jest zniszczona. Brakuje jej ręki albo kawałka twarzy. Jak patrzyłem na Mary, to właśnie miałem takie wrażenie. Jakby coś wyjątkowego zostało uszkodzone. A jej córeczka też miała takie włosy. Wychodziły jej spod czapeczki. Widziała pani to dziecko?

Mary bardzo się zmieniła od zeszłej zimy. Ale proszę mi uwierzyć na słowo i napisać w artykule, że ona naprawdę była ładna.

Co jej wcale nie wyszło na dobre. No, chyba że z Jackiem... Ale to już inna sprawa.

Musi pani z nim porozmawiać. Jak go pani odpowiednio podejdzie, to na pewno opowie różne ciekawe rzeczy. Tak mi się przynajmniej wydaje, ale on jest strasznie skryty, ten nasz Jack.

Willis chętnie z panią pogada. On z każdym chętnie gada, Bardzo to lubi. No i był tutaj. Mieszka w takiej różowej przyczepie z dziećmi i żoną, Jeannine. A skoro już mowa o Jeannine, to powiem pani coś w sekrecie. Tylko proszę tego nikomu nie powtarzać ani nie pisać o tym w artykule, ale na pewno usłyszycie pani takie plotki. Więc ludzie gadają, że Jeannine ma trzy... no... ma trzy piersi. Mówią, że ta trzecia jest przyrośnięta po prawej stronie, w tym wgłębieniu gdzie bark styka się z ramieniem. Ja oczywiście nigdy tego nie widziałem i nie wiem, skąd ludziska wiedzą takie rzeczy, ale im wierzę, że to prawda, chociaż nigdy by mi do głowy nie przyszło, żeby rozmawiać na ten temat z Willisem. Dobra żona z tej Jeannine i świetna matka. Nikt nie powiedziałby na nią złego słowa. A ta trzecia pierś to pewnie dlatego, że jej ojciec był bliskim krewnym matki, ale proszę o tym nie pisać. Niepotrzebnie się rozgadałem.

Pytała mnie pani o to miasteczko. Znalazła się pani w odpowiednim miejscu. Ja jestem takim trochę kronikarzem jego dziejów, ale to już chyba pani wie i dlatego tu pani przyjechała.

Tu się urodziłem i tu spędziłem całe życie. Tak samo jak Julia, Jack i Willis. Muriel przyjechała z Bangor zaraz po ślubie. Znaczą się, mąż puścił ją w trąbę, ale to już całkiem inna sprawa. Ona została z nami. To typowo rybacka miejscina. Łowimy kraby, krewetki, małże, a w sezonie nawet homary. Z tego żyjemy. Wysyłamy nasze połowy do Bostonu. Niektórzy uprawiają też borówki i w sierpniu ładują je na statki, ale tak naprawdę zależy nam na homarach. Nawet nie mówię o sobie, bo odziedziczyłem ten sklep po ojcu i zawsze wiedziałem, co będę robić. Ale Willis i Jack to rybacy. Mąż Julie przed śmiercią też łowił homary. To zupełnie inny gatunek ludzi. Znaczą się, niezależny. Połowy mają we krwi, to przechodzi

z ojca na syna, podobnie jak praca w kopalni w górniczych miasteczkach, gdzie nie ma innego zajęcia. Proszę mnie źle nie zrozumieć, tu się właściwie dobrze żyje. Ale trzeba być twardym, bo inaczej się nie przetrwa.

Poławiacze krabów zholowują kutry na keję tuż przed świętami i nie wypływają aż do końca marca, czy coś w tym rodzaju. Willis na przykład pracuje jako kierowca dla firmy przewozowej w styczniu i w lutym. A w marcu zacznie się sposobić do roboty. Niektórzy nie zholowują kutrów aż do połowy stycznia. Na przykład taki Jack. No, ale on to co innego. Jego żonę, Rebeccę, naprawdę wzięło, rozumie pani? Nie? Po prostu niektóre kobiety wariują na zimę, płaczą, ścinają włosy do gołej skóry, ale potem przychodzi wiosna i znowu jest wszystko dobrze. Ale Rebecce nigdy nie przechodzi. Jack ma z nią prawdziwy krzyż pański, chociaż między nami mówiąc, Rebecca chyba nie powinna była za niego wychodzić. On jest taki skryty, zamknięty w sobie. Trochę zgorzkniały. Udało mu się załapać na uniwersytet w Maine. No, oczywiście to było ze dwadzieścia lat temu, dali mu nawet stypendium, ale wtedy jego stary złamał rękę na kutrze i rodzinie skończyła się forsa. Jack wrócił do domu, zaopiekował się tatą, przejął interes i ożenił się z Rebecca. Jest dobrym ojcem. Ma dwójkę, jedno dziewiętnastoletnie, drugie dwunastoletnie. Fajne dzieciaki. Chłopak jest chyba teraz w college'u w Bostonie. Jack chce zrobić z niego człowieka.

W każdym razie Jack wraca na wodę, jak tylko zaczyna się odwilż i przestaje wiać. Przez resztę czasu pracuje w domku rybaka na cyplu. Niedaleko stamtąd trzyma łódź, nazwał ją „Rebecca Strout”. Wszyscy nadają łodziom imiona swoich żon. Przynajmniej po tej stronie wybrzeża. Gdzie indziej wolą, żeby łajby miały imiona najstarszych synów. Mary Amesbury też tam mieszkała. Znaczy, na cyplu. Widziała pani ten dom?

Jak oni wypływają w morze, wszystko jedno, czy latem, czy zimą, woda jest naprawdę lodowata, więc nie można w niej wytrzymać nawet paru minut. To właśnie się przydarzyło Billy'emu Stroutowi - znaczy, mężowi Julii, kuzynowi Jacka. Billy zaplątał się w linę holowniczą i wypadł za burtę. Takie rzeczy niestety się zdarzają. O ile mnie pamięć nie myli, był listopad. Gadają, że zanim się utopił, umarł z zimna. Te łapiduchy z Machias umieją to rozpoznać, jak dostaną zwłoki. Czasem nie udaje się nam wydobyć ciała, ale Billy w końcu wypłynął. Aż przy Swale's Island. Znaleźli go tego samego dnia. To okropny widok... znaczy, silnik pracuje, a łódka krąży w kółko. A Billy lubił sobie pociągnąć, był pół-Indianinem, po matce, więc pewnie dlatego tak wszystko wyszło.

Julia nawet specjalnie się tym nie przejęła. Ale proszę o tym nie pisać.

Teraz parę słów o naszej mieścinie. Mieszka tu ze czterysta osób, no, mogłem się pomylić o parę w jedną albo w drugą. Dzieciaki, jak tylko skończą szkołę, biorą nogi za pas i zwiewają gdzie pieprz rośnie. Niektórzy wracają, mieszkają w domu przez parę miesięcy, potem znowu wyjeżdżają, próbują się utrzymać na powierzchni, aż wreszcie mają wszystkiego dość i osiedlają się tu na dobre. Wystaliśmy czterech chłopaków do Wietnamu i dwóch straciliśmy. Ich nazwiska może pani przeczytać na tablicy pamiątkowej. Większość młodych to jedyni żywicieli rodziny, więc nie idą do wojska. Mieliśmy tu paru patriotów, ale na ogół ludzie uważają, że wojna ich nie dotyczy.

Nasze miasteczko założyli Francuzi na początku osiemnastego wieku. Dlatego ma taką francuską nazwę, jak Calais czy Petit Manan dalej na południe. Podczas wojny o niepodległość mieszkali tu niestety głównie Anglicy i dlatego chcieli zmienić nazwę na Hilary, ale to się nie przyjęło. Korzenie niektórych rodzin sięgają wojny, ale są i tacy, co pochodzą z Bangor czy nawet z Calais. Mieszkali tu też Indianie, ale teraz żyją w rezerwatach niedaleko Eastport. Niby mówię, że w rezerwatach, ale tak naprawdę to są takie okropne osiedla. Aż się nie chce patrzeć. Bezrobocie, alkohol... To naprawdę grzech. Znaczą, to, co z nimi zrobiliśmy. Ale ja tego problemu nie rozwiążę.

W mieście jest biblioteka, czynna dwa razy w tygodniu. Mamy też podstawówkę, bo do średniej dzieciaki jeżdżą do Machias. Jest też i kościół, poczta, mój sklepik. Tomowi Bonneyowi znudziło się łowienie homarów, więc próbował założyć sklep marynistyczny, ale gdzie tam, nic mu z tego nie wyszło. Przeważnie ludzie mają tu własne interesy, które przechodzą z ojca na syna. Elna Coffin chciała prowadzić gospodę, ale spółdzielnia nie weszła w ten interes, bo mieszkamy w kiepskim punkcie, znaczą, przy drodze donikąd.

A te domy pochodzą z czasów, kiedy mieliśmy tu jeszcze stocznię. Sto pięćdziesiąt lat temu w St. Hilaire budowało się dużo statków, aż trudno uwierzyć, prawda? Był tu też i hotel, po przeciwnej stronie błoń, ale się spalił. W tym mieście mieszkało dwa i pół tysiąca ludzi. Przy drodze wzdłuż wybrzeża zobaczy pani wiele takich domów. W dwóch nadal ktoś mieszka, ale to biedota, nie mogą związać końca z końcem, więc w zimie gnieźdzą się w jednej izbie. Resztę zamykają na cztery spusty. Trzeci to dom nauczyciela, a czwarty zajmuje Julia. Dziewczyna staje na głowie, żeby jakoś utrzymać standard, ale tam jest jeszcze wiele do zrobienia. Jej rodzina nigdy nie klepała biedę, więc Julia też była w college'u. Matka ją wysłała. O mało nie umarła, jak jej córeczka wyszła za Billa. Tak czy owak, Julia

zatrzymała dom i ma jeszcze trzy domki letnie. W lecie przyjeżdża do nas trochę wczasowiczów. Ale niewielu, bo woda jest za zimna, St. Hilaire leży za daleko na północy. A w czerwcu tną te okropne końskie muchy. Mimo wszystko nie uwierzyłaby pani, jakie ciężkie pieniądze ludzie płacą, żeby tylko się od wszystkiego oderwać. Julia wynajmuje swój dom letnikom od czerwca do sierpnia. W pozostałe miesiące sama tam mieszka.

W folderach turystycznych prawie wcale nie piszą o St. Hilaire. Nikt się też z niczym nie ogłasza, bo tu po prostu nic nie ma.

No to mniej więcej tyle o historii. Nie bardzo wiem, co by tu jeszcze pani opowiedzieć. Jak daleko pamięcią sięgnę, nie mieliśmy tu jeszcze morderstwa. Co najwyżej parę napadów. Kiedyś musiałem się wtrącić, jak rybacy dali wycisk kłusownikom. Dennis Kidder miał złamane obie ręce. A Phil Gideon oberwał kulkę w kolano. No cóż. Dostało się draniom za swoje. Jak się odbiera ludziom chleb, to trzeba się liczyć ze wszystkim.

I coś jeszcze. Użyłem słowa „morderstwo”, ale nikt tutaj tak by tego nie nazwał. Ludzie mówią raczej o tej „okropnej historii” albo „strasznej aferze w domku Julii” czy nawet „wypadku na cyplu”. Niewielu zdecydowałoby się określić te zdarzenia jako „morderstwo”. I żeby powiedzieć prawdę, ja w głębi serca też tak czuję.

ROZDZIAŁ 4

Mary Amesbury

Jechałam drogą wylotową z miasta prowadzącą wzdłuż wybrzeża. Wlokłam się niecałe pięćdziesiąt na godzinę, ale nie dalej jak dwa kilometry za sklepem poczułam, że tylne koła wymykają mi się spod kontroli, a auto zaczyna tańczyć na szosie. Żołądek podskoczył mi do gardła, tak jak to zwykle bywa wtedy, kiedy traci się równowagę. Szybko złapałam koszyk z dzieckiem, postawiłam go na miejscu, opanowałam samochód, wrzuciłam jedynkę i znów ruszyłam przed siebie, jeszcze wolniej niż przedtem. Wokół panowała niemal kompletna cisza. Wyrastające nagle przede mną auta przypominały okręty, więc starałam się je omijać tak szerokim łukiem, że kilka razy mój wóz o mało nie wpadł w zaspę. Nie widziałam równie głębokiego śniegu chyba od dziecka. Zaspy miały kilka metrów wysokości - widok nieczęsto spotykany na wybrzeżu. Ciężkie od białego puchu gałęzie sosen pochylały się wdzięcznie ku ziemi.

Tak jak mi kazano, wypatrywałam skrętu na drogę numer jeden. Od czasu do czasu migało mi przed oczyma jakieś światełko wśród sosen - jedyna oznaka, że ta okolica jest w ogóle zamieszkana. Zaczęłam niemal tęsknić za ciepłem sklepu, jasnymi lampami nad głową i poczuciem bezpieczeństwa, jakie mi stwarzały zwykłe przedmioty: gazeta, filiżanka kawy, puszka z zupą. Zrozumiałam, dlaczego mężczyzna z wąsami kręcił się nieopodal stojaka z prasą, i z jakiego to powodu kobieta w ciemnoszarej parce postanowiła przeczytać gazetę, stojąc tuż przy ladzie. Szukałam wzrokiem tych punkcików świetlnych jak żeglarz zagubiony we mgle, tęsknie wypatrujący lądu.

Na zakręcie stał znak stopu, a droga prowadząca do Machias stawała się szersza. Skręciłam więc w prawo dokładnie według instrukcji i jechałam stanowczo za długo - chyba ze dwadzieścia minut. Byłam absolutnie przekonana, że pomyliłam kierunki albo przegapiłam motel - więc natychmiast zawróciłam. Kiedy Caroline zaczęła płakać, ogarnęło mnie zdenerwowanie. Przyspieszyłam do pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, potem do sześćdziesięciu i siedemdziesięciu. Przygarbiłam się za kierownicą, jakby taka pozycja mogła przykleić samochód do szosy. Ale gdy znów dojechałam do miasteczka, zrozumiałam, że nie popełniłam żadnego błędu. Przez chwilę chwyciłam i puszczałam kierownicę, jakby moje palce były na sprężynach, starając się zdecydować, czy powinnam wrócić do sklepu i poprosić o lepsze wskazówki. Wyobraziłam sobie jednak spojżenia tych ludzi, po czym postanowiłam, że spróbuję jeszcze raz.

Prześliznęłam się po przybrzeżnej szosie, skręciłam na drogę numer jeden i patrzyłam uważnie na wszystkie mijane domy, na wypadek gdyby motel okazał się nie oświetlony. No i oczywiście znalazłam go w końcu jakieś dwa kilometry od miejsca, w którym się wtedy zatrzymałam. Mignęła mi podświetlona nazwa „Gateway”, wjechałam na nie odśnieżony parking i zatrzymałam auto pod pierwszym jasnym oknem.

Gdy weszłam do środka, tęga właścicielka motelu, która czytała właśnie pismo dla kobiet, natychmiast zgasiła papierosa i podniosła na mnie wzrok. Na różowym swetrze zastygła jej kropla sosu pomidorowego. Siwawe, mocno zaondulowane loki spięta po bokach spinkami. Przed nią stały resztki kolacji. Z oddali dobiegał szum telewizora i dziecięce głosy.

Kobieta oddychała przez nos, zupełnie jakby męczył ją katar.

- Czekałam na panią - wysapała. - Everett do mnie dzwonił. Ale od tego czasu minęła już chyba godzina.

Trochę mnie to zdziwiło. Zaczęłam jej tłumaczyć, dlaczego nie zjawiłam się wcześniej, ale od razu mi przerwała.

- Mam tylko pokoje z dwoma pojedynczymi łózkami - powiedziała. Znowu zerknęła na czasopismo, jakby chciała się lepiej skoncentrować na artykule.

- W porządku - powiedziałam. - Ile?

- Dwanaście dolarów. Płatne z góry.

Rzuciła klucz na ladę i odwróciła w moją stronę książkę hotelową, wypowiadając słowa „nazwisko i adres” jakby z bardzo daleka.

Caroline płakała rozpaczliwie. Kołysząc ją na ramieniu wzięłam pióro do ręki; starałam się nie wahać ani też nie zdradzić. Wiedziałam, że muszę zmienić personalia. Przyłożyłam pióro do papieru i zaczęłam bardzo wolno układać słowa. Mary Amesbury - pisałam - Syracuse, stan Nowy Jork, ulica Willard 425. Wybrałam sobie imię mojej ciotki. Brałam jednak pod uwagę również inne ewentualności. Zawsze chciałam nazywać się jakoś inaczej, bardziej tajemniczo. Może Alexandra albo Noel? Ale w przeblysku rozsądku, świadoma, że powinnam zachować anonimowość, natychmiast z tego zrezygnowałam.

Nad „Amesbury” w ogóle nie musiałam się zastanawiać. Taką nazwę miasta zauważyłam wcześniej przy autostradzie. Nie miałam natomiast pojęcia, czy w ogóle istnieje jakiś dom przy ulicy Willard 425, bo nigdy tam nie byłam.

Odłożyłam pióro i zerknęłam na świeżo wypełnioną rubrykę w rejestrze hotelowym.

A więc tak - myślałam. Oto kim teraz jestem.

- Jak ma na imię dziecko? - spytała otyła kobieta, odwracając do siebie księgę.

To pytanie bardzo mnie zaskoczyło. Otworzyłam usta, ale nie potrafiłam skłamać. Nie mogłam nazwać mojej córki jakimś fałszywym imieniem.

- Caroline - szepnęłam.

- Ładnie - powiedziała właścicielka motelu. - Tak jak córka mojej siostry. Nazywamy ją Caro.

Objęłam Caroline, próbując się uśmiechnąć. Położyłam na ladzie dwanaście dolarów.

- Pokój numer dwa - powiedziała kobieta. - Godzinę temu włączyłam tam piecyk. I zaniiosłam dodatkowe koce. Ale proszę mnie zawołać, gdyby pani albo dziecku zrobiło się zimno. Dziś w nocy ma być kilkanaście stopni mrozu i lodowaty wiatr.

Gdy tylko znalazłam się w pokoju, od razu zamknęłam drzwi na klucz. Usiadłam na jednym z łóżek, szybko rozpięłam płaszcz, potem bluzkę i przystawiłam Caroline do piersi. Pila łakomie, wydając donośne odgłosy ssania. Nikt mnie tutaj nie znajdzie - pomyślałam. Ta konstatacja pozwoliła mi odetchnąć pełną piersią.

Otworzyłam oczy i zerknęłam na córkę, która wciąż miała na sobie kombinezon oraz czapkę. Było strasznie zimno.

Wydawało mi się, że pokój jest zagracony i ciemny, choć na suficie paliła się lampka. Kapa na łóżku oraz zasłony miały zielono-czarny jadowity kolor. Ściany obito boazerią, imitującą sękatą sosnę. Pomyślałam, że sklepikarz chyba trochę przesadził, twierdząc, że w pokoju jest czysto.

Kiedy skończyłam karmić Caroline, od razu ją przewinęłam, umyłam ręce i zjadłam parę ciastek kawowych, popijając je mlekiem tak łąpczywie, jak to przed chwilą robiła moja dziewczynka. A potem, opierając głowę o łóżko, otworzyłam jedno piwo i szybko je wypiałam. Przemknęła mi przez głowę myśl, że nie powinnam pić, bo karmię, ale jakoś nie wzięłam sobie tego do serca. Caroline leżała na plecach i z zadowoleniem przebierała nóżkami w powietrzu. Zdjęłam jej czapkę, pogłaskałam po główce, rozkoszując się przez chwilę ciepłym puszkim na ciemiaczku. Ręce nadal mi drżały; otworzyłam kolejne piwo i wypiałam wszystko aż do ostatniej kropli.

Lubiłam patrzeć na Caroline, czasem nawet wystarczało mi to całkowicie do szczęścia. Tej nocy jednak pod tą przyjemnością tkwiło coś jeszcze - coś, czego nie wolno mi było zignorować.

Jedna nie chciana myśl pociągała za sobą następne, więc potrząsnęłam mocno głową, by je odpędzić. Odstawiłam puszkę, wyjęłam Caroline ze

śpiwora i położyłam ją obok siebie w zagłębieniu ramienia. Pomyślałam, że jeśli będę ją tak tulić, to koszmar zniknie. A dziecko stanie się moim talizmanem, moim amuletem.

Czy to możliwe, że tej nocy zostawiłam Caroline na środku łóżka, weszłam do łazienki, zdjęłam ubranie i obejrzałam swoje ciało oraz twarz w lustrze zawieszonym na drzwiach? Nie będę pani nudzić opisem tego, co zauważyłam, ani też uczuciami, jakich doznałam po dokonaniu tych oględzin w pustej, zimnej łazience z metalową klatką prysznicą. Powiem tylko tyle, że na ciele miałam kwiaty - jaskrawe, kwitnące kwiaty we wszystkich kolorach tęczy.

Kiedy się obudziłam, spałyśmy obie na łóżku przy zapalonym świetle. Przewróciłam Caroline na brzusek i zastawiłam ją poduszkami oraz torbą podróżną. Nawet gdyby się obudziła, nie zawędrowałaby daleko - nie skończyła jeszcze sześciu miesięcy i nawet nie zaczęła raczkować. Chociaż potrafiłaby się przeczołgać na skraj łóżka, gdyby tylko się postarała.

Włożyłam płaszcz, szalik, rękawiczki, upewniłam się, że nie zapomniałam kluczy, i wyszłam w noc, zamykając za sobą drzwi. Mróz stał w powietrzu, oddychanie sprawiało mi ból. Wyłączono neon z nazwą motelu. Nie miałam pojęcia, która godzina. Nie wzięłam zegarka. Dotarłam na skraj parkingu, po czym przeszłam na drugą stronę drogi, do lasu. Jedynie w blasku gwiazd i przy świetle księżyca mogłam bez trudu obserwować drzwi do pokoju w motelu.

Dotknęłam kłujących igieł niemal niewidocznej sosny. Chłód zaczął wdzierać mi się w buty. W rzadkim powietrzu czułam zapach morza lub też słonej mielizny przy odpływie. Z dala dobiegał krzyk mewy czy też jakiegoś zwierzęcia, czegoś nieludzkiego.

Czułam się pusta w środku. Mimo zjedzonych ciastek nadal byłam głodna. Kiedy spojrzałam na motel, wydało mi się, że dziecko jest daleko. Ta odległość bardzo mnie zaskoczyła; czułam się jak na łodzi, która nagle zaczęła wypływać z portu na pełne morze. Ujrzałam złą, zaciętrzewioną twarz, kobietę uderzającą plecami o ścianę, osłaniającą głowę ramionami. Usłyszałam płacz dziecka i nie byłam pewna, czy dochodzi on z motelu, czy też raczej stanowi część tego snu na jawie.

Przypomniałam sobie kobietę, która rodziła w tym samym czasie co ja. Zajmowała sąsiedni pokój na oddziale porodowym i choć nigdy nie widziałam jej twarzy, nie zapomnę dźwięków, które dochodziły zza ściany. Straszliwe odgłosy - zupełnie jak nie z tego świata - przypominały bowiem wycie przerażonego zwierzęcia, i gdybym nie wiedziała, że to krzyczy kobieta, nie byłabym w stanie zidentyfikować tego upiornego zawodzenia.

Wrzaski stawały się coraz głośniejsze i odnosiłam wrażenie, że rzucają rodzącą po łóżku. Pielęgniarki na oddziale porodowym zamilkły. Nawet inne kobiety przestały jęczeć z bólu, strachu i zdziwienia. Lekarz - najwyraźniej przerażony - usiłował przywołać pacjentkę do rozumu, wykrzykując raz po raz jej imię, ale ona najwyraźniej nie zauważała niczyjej obecności. Dostałam dreszczy, chciałam z kimś porozmawiać o tej kobiecie, ale jakoś nikt się nie kwapił, aby o niej mówić. Widocznie wycie miało zbyt osobisty charakter.

A jednak to był tylko ból, po prostu ból w czystej postaci i nic ponadto. Pomyślałam, że stał się on dla mnie użytecznym wzorcem, według którego mogłabym zmierzyć własne cierpienie, choć zdawałam sobie sprawę, że nigdy nie byłabym w stanie wyć tak nieskrępowanie jak tamta kobieta. Nie wiedziałam, jak ona naprawdę wygląda, ale do końca życia zapamiętam swoje wyobrażenie jej twarzy.

Zapałam się w śnieg i otuliłam płaszczem. Chyba gdzieś na skraju ciszy słyszałam nieustający szum morza i uderzanie fal o skalisty brzeg. Zerknąwszy na motel, pomyślałam o Caroline śpiącej za ścianą obitą boazerią.

Proszę mi wybaczyć, ale jestem ciekawa, czy ma pani zwyczaj redagować wypowiedzi swoich rozmówców. Na samym początku, kiedy jeszcze rozmawiałam z Harroldem, bardzo często poruszaliśmy ten problem. Ja chyba byłam gorętszą zwolenniczką dosłowności. Uważałam, że nie powinno się niczego zmieniać, nawet jeśli słowa brzmią dziwnie, są niestosowne lub nie wyrażają dokładnie tego, co ich autor chciał przekazać. Harrold natomiast wyznawał prawo do swobody. Odnajdywał bez trudu jądro wypowiedzi, ale resztę upiększał, toteż jego reportaże były zawsze wnikliwe, napisane z rozmachem, pełne błyskotliwych uwag. Tak, błyskotliwość stanowiła ich główną zaletę. Te teksty przypominały szlifowane diamenty. A w dodatku nikt poza nim, czasem mną i z pewnością zawsze osobą, o której pisał, nie zdawał sobie sprawy z tego, że wydrukowane słowa nigdy nie padły z niczyich ust.

Nie zdarzyło się jednak, by stawiano mu z tego tytułu jakieś zarzuty. Wręcz odwrotnie: im śmielej sobie poczynał, tym większy odnosił sukces. Sądzę, że jego rozmówcy byli najpierw zaszokowani zmianami, jakie wprowadzał, ale później czytali z przyjemnością gładkie, celne, z pewnością bardziej interesujące spostrzeżenia, które Harrold wtłaczał im w usta.

Jak na ironię, to do mnie - dokładnej stenotypistki - mieli na ogół pretensję bohaterowie moich reportaży. A działo się tak dlatego, że ich wypowiedzi nie były ani dowcipne, ani mądre, ani znaczące, więc wszyscy

najchętniej by się ich wyparli. Ale ja miałam notatki, więc w razie reklamacji mogłam im zawsze powiedzieć: „Tak to zostało powiedziane, takich pan użył słów”. Wiedziałam jednak, przeciw czemu tak się buntują. Po prostu to, co znalazło się w tekście, nie równało się temu, co chcieli powiedzieć.

Ten właśnie problem omawialiśmy często z Harroldem. Czy w jego reportażach gubiła się prawda obiektywna, czy też właśnie to on potrafił wydobyć ją lepiej niż ja?

Kiedy była pani u mnie w rozmównicy, pytała o moje korzenie. Nie jestem pewna, co właściwie powinnam pani napisać, co jest istotne.

Moja matka pierwsza z rodziny przeniosła się na przedmieście i do klasy średniej, ale bardziej w sensie geograficznym niż finansowym. Wychowywała mnie sama, więc musiała pracować, podczas gdy matki moich koleżanek zajmowały się wyłącznie prowadzeniem domu. Nigdy nie wyszła za męża, a mój niespełna dwudziestoletni ojciec opuścił ją zaraz potem, jak mu powiedziała, że jest w ciąży. Wolał wstąpić do wojska niż założyć rodzinę. Sądzę, że nigdy nie szukał kontaktu z mamą, chyba nawet do niej nie napisał. Zginął we Francji, zanim przyszedłam na świat. Dziadkowie ze strony ojca mieli bar w południowym Chicago, niedaleko dzielnicy, w której wychowywała się matka. Po śmierci syna wspomagali ją finansowo, żeby nie musiała pracować na moje utrzymanie. Ona jednak przeznaczyła te pieniądze na spłatę małego domku za miastem, a sama pracowała jako sekretarka prezesa firmy zajmującej się sprzedażą materiałów biurowych. Zanim poszłam do szkoły, opiekowała się mną sąsiadka. Matka bowiem zdecydowała, że za wszelką cenę musi uchronić swoje dziecko przed niebezpieczeństwami, jakie niesie ze sobą życie w mieście. Znała je zbyt dobrze z własnego doświadczenia.

Codziennie wieczorem, za pięć dziesiątą, szłam wąską ulicą na skromną stacyjkę i czekałam na matkę - w kapeluszu i długim wełnianym płaszczu, z torebką i notesem pod pachą - wracającą po czterdziestosiedmiominutowej podróży z biura w Chicago. A przedmieście nie było jeszcze wówczas takim prawdziwym przedmieściem, ale raczej osiedlem przedwojennych parterowych domków, podobnych do siebie jak dwie krople wody, co nadawało ulicy znamiona ładu, jakich brakowało miastu, z którego uciekłyśmy. Z całego dnia najbardziej lubiłam nasz spacer wzdłuż pastelowych budyneczków, gdyż czas stawał wtedy w miejscu - miałam matkę tylko dla siebie, ona miała mnie i nic nie zakłócało nam spokoju. Mama zawsze wracała z biura uśmiechnięta, ożywiona, a czasem przywoziła mi z miasta niespodzianki - gumę do żucia owiniętą w celofan,

pisemko dla dzieci - a nawet jeśli nie czuła się najlepiej, nigdy tego nie okazywała. Pewnie zatrzymywała dla siebie wszystkie zmartwienia albo to ta podróż pociągiem pomagała jej wymazać wspomnienia kłopotów w pracy.

Zawsze szła wolno, by przedłużyć ten nasz spacer. Ja zaś wybiegałam naprzód lub też kręciłam się jak fryga, a gdy przemawiała do mnie poważnie, wkładałam ręce do kieszeni, próbując dotrzymać jej kroku. Wypytywała mnie o szkołę, koleżanki, a czasem opowiadała o swoich przygodach - w nadziei, że będę potrafiła odnaleźć płynący z nich morał. Lubiła mi również udzielać szczerych i serdecznych lekcji życia, których słuchałam jak Ewangelii. Mówiła, że w świecie istnieje pewna hierarchia, a ja mogę być szczęśliwa jedynie wówczas, gdy odnajdę swoje miejsce na ziemi. Lecz nieszczęścia chodzą po ludziach i trzeba je akceptować. Za bunt przeciw prawom naturalnego porządku musielibyśmy zapłacić nieustannym poczuciem winy lub samotnością.

Rozkoszowałam się tymi kilkunastoma minutami spędzonymi w jej towarzystwie, gdyż wiedziałam, że kiedy tylko matka przekroczy próg naszego domu, będzie miała mnóstwo zajęć. Nigdy nie narzekała, ale wraz z upływem wieczoru cichła jak nie nakręcana pozytywka, aż w końcu musiałam iść spać. Wtedy przychodziła do mojej maleńkiej sypialni, połączonej łazienką z jej pokojem, i szczotkowała mi włosy. Miałyśmy identyczny kolor i gatunek włosów, a rytuał stu uderzeń szczotką towarzyszył nam co wieczór nawet wówczas, gdy dorosłam i mogłam się sama sobą zajmować.

Gdy w końcu położyłam się do łóżka, matka siadywała na kanapie w salonie, szyła, oglądała telewizję lub słuchała radia. Czasem czytała, ale często, kiedy wstawałam po szklanek wody lub po prostu po to, aby jej powiedzieć, że nie mogę spać, zastawałam ją z książką lub robótką na kolanach, wpatrzoną w jakiś odległy punkt na ścianie. Nie wiem, o czym marzyła.

Ilekróć mama zdejmowała długi płaszcz oraz kapelusz i przebierała się z urzędniczej garsonki w domowe ubranie, myślałam, że jest piękna - ale teraz nie zamierzam się rozwodzić nad tą smutną konstatacją. Wówczas zresztą nie dostrzegałam w niej nic smutnego. Dopiero teraz. Być może zresztą wszystkie córki uważają, że ich matki są piękne. Nie wiem. Włosy i kolor oczu - taki jasnozielony, którego po niej nie odziedziczyłam - nigdy jej nie zawiodły, nawet wtedy kiedy się już zestarzała. A najpiękniejsza wydawała mi się parnymi wieczorami, gdy przerywała na chwilę zajęcia, żeby odpocząć, i siadywała na aluminiowo-plastikowym krześle w drzwiach

wychodzących na ogród. Miała wtedy zawsze na sobie plażową sukienką, a jej skóra lśniła lekko od potu. Włosy w swej nieporządnej, rozpasanej masie wymykały się szpilkom, a ona śmiała się z plotek o naszej sąsiadce, które jej opowiadałam, popijając lemoniadę. Lubiała te złośliwostki, dzięki nim była mniej zazdrosna o kobiety, która matkowała jej dziecku.

Sprawiałam Hazel - bo tak miała na imię moja opiekunka, matka trojga dzieci z piekła rodem - masę kłopotów, toteż ona specjalnie za mną nie przepadała. Niechęć zresztą była obopólna, choć być może to ja buntowałam się przeciw konieczności spędzania dzieciństwa u obcych ludzi. Kiedy już trochę podrosłam, ubłagałam matkę, żeby pozwoliła mi wracać po szkole do domu, a ona się na to zgodziła, gdyż wierzyła, że nie będę pić, palić ani też robić żadnych innych rzeczy, o jakie podejrzewała dziewczęta w moim wieku. Oczywiście w końcu nie oparłam się temu szaleństwu i wypiałam kilka piw oraz wypaliłam parę papierosów, zarówno u siebie w domu, jak i poza nim. Niemniej jednak nie wpadłam w pułapkę tych w gruncie rzeczy niewinnych rozrywek.

Czasem matka zapraszała do domu mężczyzn. Nie myślałam jednak o nich nigdy jako o jej narzeczonych, zresztą do dziś tak nie myślę. Byli raczej znajomymi czy przyjaciółmi, na ogół kawalerami - odsnieżali podjazd, na którym i tak nie stał żaden samochód, lub też naprawiali zepsute okna. Czasem przyjeżdżali w niedzielę na kolację. Kiedyś jednak w życiu matki zaistniał mężczyzna, którego - jak sądzę - darzyła miłością. Pracował na jakimś kierowniczym stanowisku w tej samej firmie, znali się więc całkiem dobrze i matka napomykała o nim czasem między wierszami, co sprawiało jej zresztą wyraźną przyjemność. Philip miał ciemne włosy, wąsy i jeździł lśniącym czarnym lincolnem. Przez pewien czas przyjeżdżał do nas w każdy weekend, a po obiedzie zabierał nas na przejażdżki. Siadywałam na tylnym siedzeniu, a matka obok niego, więc Philip mógł od czasu do czasu ścisnąć jej rękę. Jeździliśmy często na lody, nawet w środku zimy. Po powrocie do domu ja szłam do swojego pokoju, a Philip zostawał z matką w salonie. Kiedyś stanęłam nagle w drzwiach i zobaczyłam, jak ją całuje. Wydawało mi się nawet, że położył jej rękę na piersi, ale kiedy mama mnie usłyszała, natychmiast się od niego odsunęła, więc nie mogę przysiąc. Z pewnością się jednak zarumieniła, a Philip wstał z kanapy, jakbym to ja była dorosła. Udawałam, że niczego nie dostrzegam, i zadałam jej jakieś pytanie, które sprowadziło mnie do pokoju. Nie czułam zazdrości ani żalu. Przeciwnie, cieszyłam się bardzo, że po tylu latach matka wreszcie znalazła miłość. Byłam raczej wściekła na siebie, że im przeszkodziłam.

Po jakimś czasie Philip porzucił matkę. Przez wiele miesięcy sądziłam, że po prostu nie chciał się wiązać z kobietą „z bachorem na karku”, jak się wówczas mówiło. Kiedy przychodzili do nas inni mężczyźni - po Philipie niezbyt wielu - nie wystawiałam nawet nosa ze swojej sypialni.

Matka pochodziła z katolickiej irlandzkiej rodziny, wychowywała się w zatłoczonym pokoju wraz z sześciorgiem braci i sióstr. Była dewotką i przez całe życie nie opuściła żadnej niedzielnej mszy. Jestem przekonana, że urodzenie panieńskiego dziecka uważała za swój największy grzech. Ja jednak nigdy nie czułam się równie głęboko związana z kościołem i zdaje sobie sprawę, że ten mój minibunt stanowił dla matki poważny problem. Jeśli w ogóle się kłóciłyśmy - a pamiętam zaledwie kilka takich sytuacji - zawsze chodziło o moje nieregularne uczęszczanie do kościoła. Dużo później, kiedy pracowałam już w Nowym Jorku i miałam poważne kłopoty, co rano w drodze do biura mijałam stary ceglany kościół Świętego Augustyna. Wielokrotnie ogarniało mnie wówczas pragnienie, aby wejść do środka i uklęknąć. Nigdy jednak tego nie zrobiłam. Prześladowała mnie bowiem myśl, że nie zasłużyłam na pocieszenie ze strony kościoła, którym pogardzałam. Tak czy inaczej, zawsze spóźniałam się do pracy.

Często zaglądali do nas inni goście, przeważnie krewni z miasta. Mieszkałyśmy bowiem na tyle daleko, że można było potraktować taką wizytę jak wypad na piknik. Dziadkowie, ciotki, wujowie i kuzyni przyjeżdżali pociągiem na stację położoną przy końcu ulicy, a potem całe rozgadane towarzystwo udawało się na wzgórze do naszego domku, gdzie tymczasem matka przygotowywała posiłek. Wiedziała, że rodzina nie aprobuje jej statusu matrymonialnego, kupna domu za miastem oraz posady sekretarki - prywatnej sekretarki, co często z dumą podkreślała - ale i tak zapraszała wszystkich serdecznie na weekendy, a kiedy nie chcieli przyjechać, starała się ich skłonić do zmiany zdania. Nie dane mi było posiadanie rodzeństwa, toteż matka pragnęła z całego serca, abym czuła, że należę do jakiejś całości większej niż tylko my dwie. Jej radość rosła wraz z hałasem i zgiełkiem w naszym domu.

Nalegała, żebym zapraszała do siebie znajomych, i zawsze zostawiała dla nas jedzenie w lodówce, a czasem częstowała moich przyjaciół kolacją i proponowała im nocleg. Wszędzie jej było pełno, jakby chciała stworzyć wrażenie, że w naszym domu mieszka więcej osób, że stanowimy całkiem zwyczajną rodzinę, podobną do wszystkich innych przy tej ulicy. Miałam dużo koleżanek, potem kolegów, i pamiętam te szalone lata dorastania, kiedy skupiałam całą swoją energię na nauce i zdobywaniu popularności większej niż ta, która mi się „ustawowo” należała. Moje fantazje -

aczkolwiek mgliste - dotyczyły jednak głównie tego odległego punktu w przyszłości, gdy po ukończeniu szkoły średniej zamieszkam z dala od domu. Kochałam matkę, nie chciałam, żeby została sama, ale wiedziałam, że żadna z nas nie będzie szczęśliwa, jeśli nie uda mi się osiągnąć tego, czego ona nie miała.

W te dni, kiedy matka wyjeżdżała do Chicago, a ja nie szłam do szkoły, wybierałam się na długie spacery, sama lub w towarzystwie koleżanek. Celem naszych wypraw były pobliskie miejscowości, do których łatwiej się dochodziło torowiskiem niż drogą. Słyszac nadjeżdżający pociąg, zeskakiwałyśmy na pobocze i czułyśmy się jak bohaterki. Na torach panował spokój, ale główną atrakcję tej rozrywki stanowiło złudzenie wolności. Tam, na bezkresnych torach i podkładach kolejowych, doznawałam wrażenia, że mogłabym tak iść bez końca. Nawet teraz, gdy słyszę rytmiczny stukot pociągu pasażerskiego, myślę o matce, podróży i o tym odległym punkcie, w którym szyny wyglądają tak, jakby się ze sobą stykały.

RS

ROZDZIAŁ 5

Muriel Noyes

I o co tak naprawdę chodzi w tej historii? Jeżeli zamierza pani oczernić Mary Amesbury, to z góry mówię, że nie chcę mieć nic wspólnego z tym artykułem. Mary Amesbury jest niewinna. Niby skąd wiem? Ano wiem. Każda, która przez to przeszła, powie pani to samo.

Mój mąż też mnie bił. Ten przeklęty sukinsyn zniszczył mi życie, cholera. Zabrał mi najlepsze lata. Kto mi je teraz odda? Rozumie pani, o co mi chodzi? Miałam dzieci, a nie mogłam ich nawet kochać. Co ja plotę?! Jasne, że je kochałam, ale nie potrafiłam się z niczego cieszyć, bo cały czas trzęsłam się ze strachu. Bałam się za każdym razem, kiedy ten łajdak przekraczał próg. Bałam się i o dzieciaki, i o siebie. Ten bydlak ośmielił się uderzyć mojego synka. Dzieciaczek skończył dopiero co siedem miesięcy. Siedem miesięcy! Boże złoty! No i co pani na to? Musiałam go zabrać do lekarza. I oczywiście łągałam jak z nut. Kłamałam codziennie, w każdej minucie tego przeklętego życia, ze wstydu i ze strachu.

Ale coś pani powiem. Już się nikogo nie boję. I nie będę się bała.

Wiem wszystko o takich sprawach. Nic nie jest dla mnie zagadką.

Tej Amesbury nie rozgryzłam aż do rana, ale jak ktoś mi przerwie czytanie kobiecych pism, w ogóle przestaję się orientować, na jakim świecie żyję. Tak czy owak, wtedy wieczorem patrzyłam raczej na dziecko, a nie na nią.

Następnego dnia zjawiała się w biurze w tym szaliku i okularach, więc od razu wyczulałam pismo nosem, a ona zrozumiała, że ja się domyślam, i o mało nie zemdląła. Zaraz potem zaczęła mnie pytać, czy nie słyszałam o jakimś domku, w którym mogłaby zamieszkać, jak wyzdrowieje. Zaczęłam kombinować i powiedziałam jej o Julii Strout, bo ona przecież wynajmuje, tyle że w lecie.

Sama w końcu zadzwoniłam do Julii. My tu sobie właściwie nie zawracamy głowy przyjezdnymi, ale z tą dziewczyną było inaczej. I jeszcze to dziecko...

Nie mogłam oderwać od niej oczu. Próbowwała się jakoś zasłonić, ale i tak wszystko było widać. Nawet by pani nie uwierzyła. Co za koszmar... Musiała wyjść na światło dzienne z twarzą, na której miała wypisaną całą historię swego życia.

Jest pani reporterką, prawda? Cóż, prawdy i tak pani od nikogo nie usłyszysz, więc opowiem pani historyjkę. Straciłam dwa przednie zęby. Zostałam pobita do nieprzytomności. Miałam złamaną rękę i pękniętą kość

goleniową. Do końca życia zostaną mi w różnych dziwnych miejscach blizny po przypalaniu papierosem. Przez pięć lat nic, co nazwałaby pani intymnym zbliżeniem, nie dało mi przyjemności. Nawet teraz nie potrafię myśleć o seksie, nie przypominając sobie tego, co ten łajdak mi zrobił. To też mi odebrał. Raz, jak myślał, że jedzie do nas policja, ukradł dzieciaki i zwiął do Kanady. Nie widziałam moich dzieci przez pół roku. A jak wrócił, umierałam ze strachu, że je znowu zabierze, więc na wszystko mu pozwalałam. Ale potem on zaczął dobierać się do dzieciaków i tego już nie zniosłam. Wezwałam policję, a on uciekł. Modliłam się, żeby nigdy nie wrócił. Od tamtej pory minęło osiem lat. Łudzę się, że drań nie żyje.

Sprzedaliśmy nasz udział w plantacji borówek i kupiłam ten motel. Nawet pani sobie nie wyobraża, co się tu działo. Poprzedni właściciel wyjechał chyba w latach pięćdziesiątych... Ludzie z miasta pomogli mi w remoncie. Mam troje dzieci, ale jakoś daję sobie radę. To dobre dzieciaki, ale niech pani popróbuje sama utrzymać taką rodzinę... Nie jest łatwo.

Bardzo kocham dzieci, ale kiedy powiedziałam, że ten łajdak zniszczył mi życie, nie żartowałam. Nadal jestem na niego wściekła. Widuję inne rodziny, przyjeżdżają tu do motelu i sprawiają wrażenie szczęśliwych. Z początku zaczynam się nad sobą litować, a później dochodzę do wniosku, że nie wierzę w to całe szczęście.

ROZDZIAŁ 6

Julia Strout

Tak, znałam Mary Amesbury. Wynajmowała ode mnie domek przy Fiat Point Bar numer cztery od czwartego grudnia do piętnastego stycznia.

Czynsz był minimalny. To takie ważne?

Widziałam ją po raz pierwszy trzeciego grudnia po południu, kiedy przyszła do sklepu Everetta Shedda.

Tak, chyba tak. Już wtedy coś mi nie grało. Wydawało mi się, że ona jest w bardzo kiepskim stanie. Była też chyba chora i niedożywiona. A tego dnia zrobiło się akurat strasznie zimno. Strasznie. Prezenter pogody zapowiadał minus trzynaście stopni i silny wiatr. Dochodziło nawet do minus piętnastu. Nie jesteśmy przyzwyczajeni do takich temperatur, nawet tu, na dalekiej północy, bo mieszkamy na wybrzeżu.

Może i ją pytałam, jak się czuje. Nie pamiętam.

Tak, rozmawiałam o niej z Everettem, jak wyszła ze sklepu. Myśleliśmy, że może przed czymś ucieka. Wiem, że wpadło mi coś takiego do głowy, a Everett chyba twierdził, że ktoś ją pobił, ale nie mogę przysiąc.

Mój mąż zginął w wypadku na morzu wiele lat temu. Wolałabym jednak o sobie nie opowiadać. Przecież pisze pani artykuł o Mary Amesbury, a nie o naszym miasteczku, prawda?

Chyba nie będę mogła pani pomóc, jeśli chce pani pisać o nas. Jestem tu po to, żeby opowiedzieć o Mary, bo chcę, żeby prawda wyszła na światło dzienne. To znaczy, mam na myśli tę interpretację wydarzeń, którą ja uznałam za prawdziwą. Nie znam wszystkich faktów. Nikt ich chyba nie zna.

Tak, oczywiście. Zdaję sobie sprawę z tego, że ona wcale nie nazywała się Amesbury. Ale pod tym nazwiskiem wszyscy ją tutaj zapamiętali. Chociaż teraz Mary Amesbury zniknęła na zawsze, prawda?

Widziałam ją znowu rano. Zatelefonowała Muriel, żeby zapytać, czy któryś z moich domków jest ogrzewany. Miałam taki jeden. Na cyplu.

Nie zależało mi na pieniądzach. Zwykle zimą nie trudnię się wynajmem. Domek przy Fiat Point przygotowało na zimę małżeństwo, które po przejściu na emeryturę zamieszkało w St. Hilaire. Wkrótce potem starszy pan umarł i wdowa wróciła do Bostonu. Później wynajęłam go inżynierowi zajmującemu się bagrowaniem rzeki w Machias, ale on wyjechał przed

Świętem Dziękczynienia. Można powiedzieć, że Mary Amesbury pojawiła się w samą porę, bo jeszcze nie zdążyłam wyłączyć pieców ani zamknąć wody.

Przyszła do mnie do domu. Stała w drzwiach.

Ubrana była w szary tweedowy płaszcz i szary szalik. Potem w domku zdjęła okrycie. Pod spodem miała dżinsy i sweter, a na nogach czarne długie buty. Była bardzo szczupła.

Zakładam, że pani ją zna.

Przypominała mi rasową klacz. Mogła się poszczycić patrycjuszowskim podbródkiem, jakby to określiła moja matka.

Nie uczyniłam nic ponad to, co zrobiłby na moim miejscu każdy przyzwoity człowiek. W naszym miasteczku mieszkają ludzie, którym należy pomagać, ale nikt raczej nie troszczy się o obcych. Jej jednak nie można było nie pomóc. Dlatego i ja, i Everett postąpiliśmy trochę nietypowo. No i w dodatku to dziecko...

To naprawdę okropna historia, ale w głębi serca wierzę, że te sześć tygodni, które Mary Amesbury spędziła w St. Hilaire, było najważniejsze w jej życiu. I zapewne najszcześniejsze.

RS

ROZDZIAŁ 7

Mary Amesbury

Rano odsunęłam firanki. Oślepiło mnie światło, blask słońca odbijający się od śniegu we wszystkich kierunkach. Caroline leżała na łóżku, patrząc mi w oczy, a spod jej dolnej wargi wystawały dwa maleńkie ząbki. Wzięłam ją na ręce i zaczęłam chodzić po pokoju. Bardzo to lubiła - podobał jej się widok z wysokości mojego ramienia albo też kołysanie, a ja czułam się świetnie z dzieckiem w objęciach, tak jakby moja brakująca część została nagle odbudowana.

Spacerując po pokoju, próbowałam robić jakieś plany na najbliższą przyszłość. Pokój nie przypadł mi do gustu, ale wiedziałam, że nie mogę się wyprowadzić, dopóki nie znajdę czegoś bardziej odpowiedniego. Pomyślałam, że powinnam pojechać do Machias - w większym mieście z pewnością było łatwiej o mieszkanie do wynajęcia. Musiałam też kupić gazetę i jakieś jedzenie, co wiązało się z koniecznością pójścia do sklepu, a tego chciałam za wszelką cenę uniknąć.

Postanowiłam, że zostanę w motelu na jeszcze jedną noc - w ten sposób Caroline mogłaby się tu zdrzemnąć w ciągu dnia, dopóki nie znajdę nowego mieszkania.

Ubrałam ją, potem siebie, włożyłam szalik oraz okulary i poszłam do recepcji. Właścicielki nie zastałam, ale gdy przycisnęłam dzwonek, natychmiast się zjawiała. Na mój widok zrobiła taką minę, jakby mnie nigdy przedtem nie widziała.

Zapytałam, czy mogę zostać na kolejną noc, i w tej samej chwili zrozumiałam, że ona wie.

Kiedyś chciałam, żeby ludzie znali prawdę, ale nie mogłam jej wyznać. Gdy jednak tę prawdę można było odczytać z mojej twarzy, za wszelką cenę pragnęłam ją ukryć.

Spojrzałam tej kobiecie prosto w oczy i spytałam, czy nie słyszała o jakimś mieszkaniu albo domu do wynajęcia. Właścicielka motelu przypatrywała mi się tak badawczo, jakby chciała potwierdzić swoje podejrzenia. Otaczała ją chmura dymu, wpadająca przez otwarte drzwi do pokoju na zaplecze.

- Znam kobietę, która wynajmuje domy letnikom - powiedziała, zaciągając się papierosem.

- Jak mogę się z nią skontaktować? - spytałam. Zawahała się, ale zaraz potem podniosła słuchawkę i zaczęła wykręcać numer. Przez cały czas nie odrywała ode mnie oczu.

- Nazywa się Julia Strout - mówiła ze słuchawką w rękę. - W zimie raczej nie bierze lokatorów, bo nikt tu nie przyjeżdża. Ale tam na cyplu, na południowym krańcu miasta, jest taki dom, w którym można by zamieszkać zimą. Należał do starszego małżeństwa z Bostonu, ale on zmarł, a wdowa wróciła do miasta. Przedtem jednak sprzedała go Julii... Julia? Tu Muriel. U mnie wszystko w porządku. Ale nie wiem, czy zapalę wóz. Przeżyłaś jakoś te mrozy? To dobrze. Bardzo dobrze. Słuchaj. Mam tu u siebie kobietę z dzieckiem. Potrzebują mieszkania. Mówiłam jej o tym domu na cyplu. On się chyba nada, bo jest przysposobiony na zimę. Inaczej nie dałoby się wytrzymać z tym wiatrem od morza, nie? Wspominałam ci już o dziecku.

Rozmowa trwała jeszcze chwilę, a w końcu właścicielka motelu odłożyła słuchawkę.

- Ona mówi, że widziała panią wczoraj w sklepie.

Pomyślałam o wysokiej kobiecie w szarej parce. Zastanawiałam się, czy Muriel zadzwoni do niej jeszcze raz, kiedy już wyjdę na parking. Na pewno chciała powiedzieć jej dokładnie, co widziała albo też jakie odniosła wrażenie. Miałam ochotę uciec. Oby jak najdalej.

- Zajmę się dzieckiem, a pani niech tymczasem uruchomi samochód - powiedziała. - W taki dzień jak dziś nie można wsadzić małej do zimnego auta. Odmroziłaby sobie nóżce.

Podziękowałam i wyszłam na parking. Zakręciłam bez powodzenia chyba ze trzy razy, ale przy czwartej próbie silnik zakaszał anemicznie. Wbijając z całej siły stopę w pedał gazu, próbowałam przywrócić do życia zamrożony samochód. Przez szybę absolutnie nic nie było widać, więc zostawiłam wóz na luzie, wyszłam i zeskrobałam szron. Nawet to jasne słońce okazało się całkowicie bezradne wobec tak niskiej temperatury.

Kiedy auto wreszcie się nagrzało, zapakowałam torbę i wrzuciłam ją do bagażnika. Potem wróciłam do biura. Właścicielka bawiła się z Caroline. Podrzucała jej rączki wysoko w powietrze a moja córeczka rechotała ze szczęścia. Natychmiast ogarnęło mnie poczucie winy. Wieki minęły od czasu, kiedy po ras ostatni próbowałam ją rozbawić.

Kobieta niechętnie oddała mi dziecko.

- Urodziłam trójkę własnych, są teraz w szkole średniej. Tęsknię za nimi. Ile ta mała ma?

- Sześć miesięcy - odparłam.

- Wie pani, jak wrócić do miasteczka? Przytaknęłam.

- To dobrze. Zobacz tam pani cztery stare domy w stylu kolonialnym. Julia mieszka w tym z zielonymi drzwiami i okiennicami. Już na panią czeka.

- Dziękuję pani.

Zapaliła kolejnego papierosa.

- Proszę nie zapomnieć o kluczu - powiedziała. Wyjęłam klucz z kieszeni płaszcza i położyłam go na kontuarze.

Objechałam plac i zaparkowałam naprzeciwko jedynego domu z zielonymi okiennicami. Właśnie ten prezentował się najlepiej ze wszystkich. Zostawiwszy Caroline w samochodzie, weszłam na schodki okazałego ganku i zapukałam. Kobieta, która stała w drzwiach, była już ubrana do wyjścia: miała na sobie parkę, czapkę i rękawiczki, a w długie buty wepchnęła nogawki granatowych sztruksowych spodni.

- Nazywam się Julia Strout - powiedziała i uściśniła mi rękę. - Widziałam panią wczoraj w sklepie.

Przytaknęłam i podałam swoje nowe nazwisko. Czułam, jak staje mi w gardle. Po raz pierwszy musiałam wypowiedzieć je na głos.

- Udało się pani zapalić - powiedziała Julia, zamykając za sobą drzwi. - Ma pani szczęście. Odwołali lekcje, bo nie mogli uruchomić autobusów. Pojedziemy pani wozem, jeśli można. Mój nadal stoi w garażu.

Wyraziłam zgodę, a ona usiadła obok na przednim siedzeniu. Była postawną kobietą, więc zajmowała masę miejsca. Zerknęłam dyskretnie na Julię, ale ona nie odwzajemniła spojrzenia, jakby obejrzała już wszystko, co było do obejrzenia, i chciała zachować dyskrecję.

- Ten dom stoi przy bocznej drodze, bardziej na północ - powiedziała. - Przykro mi, że musi pani tak jeździć w kółko, ale nie umiem pani wytłumaczyć, jak tam trafić. Jedynym charakterystycznym punktem w okolicy są dwie sosny, a chyba nie jestem w stanie ich dobrze opisać.

Julia Strout również mówiła z akcentem z Maine, przedłużając samogłoski, lecz używała zdecydowanie bardziej wyrafinowanych zwrotów niż sklepikarz, mężczyzna z wąsami czy właścicielka motelu.

Droga prowadziła prosto do wyżłobionego falami wybrzeża, a stamtąd już roztaczał się widok na błękitną, zimną zatokę usianą wysepkami, wychodzącą daleko na Atlantyk. Wiał wiatr, grzywacze rozlewały się po plaży.

- Jesteśmy na miejscu. Teraz w prawo - powiedziała. Wyjechałyśmy na skalistą ścieżkę pokrytą warstwami śniegu oraz lodu, otoczoną z obu stron żywopłotem, który - jak się okazało - tworzyły dorodne latem krzaki malin. Przemknąwszy się ostrożnie wąską dróżką, znalazłyśmy się nagle na otwarte, przestrzeni.

Bezlitosne fale lizały przybrzeżne wodorosty. Patrzyłyśmy na kawałek łądu z plażą po jednej stronie i całą masą muszelek po prawej. Pomiędzy

nimi ciągnął się pokos zeschniętej trawy, pokryty cienką warstwą śniegu. Na trawie leżała łódź, z pewnością wyrzucona na brzeg w czasie sztormu; pokryta wyblakłą niebiesko-białą farbą wydawała się niemal zbyt malownicza na opustoszałej plaży. Kawałek dalej stała szopa wielkości jednej izby. A za szopą cumowały cztery kutry - jeden zielono-biały.

- Trzej czy czterej rybacy trzymają tutaj swoje łodzie - powiedziała. - Ale oni nie będą pani niepokoić. Wszyscy, oprócz mego kuzyna Jacka, za dwa tygodnie odstawiają łodzie do portu. Zresztą i on przerywa połowy mniej więcej od połowy stycznia. W sezonie wszyscy wypływają przed świtem i znikają na cały dzień. A w tej szopie, zwanej domkiem rybaka, naprawiają sprzęt.

Nie zamieszkaną skrawek łądu pokryty sosnowym lasem stanowił ciemnozielone tło dla łodzi, a dalej rozciągał się porwany naszyjnik identycznych wysepek, z których każda kolejna wydawała się jaśniejsza niż poprzednia.

- Dom jest za panią, po prawej stronie - powiedziała. Skreśliłam w wyźwirowaną alejkę prowadzącą prosto do domku położonego na cyplu, a gdy go zobaczyłam, od razu pomyślałam: Tak.

To był skromny dom z białym szalunkiem i werandą z boku, a jego jedyną ozdobę stanowiło mansardowe okno na drugim piętrze. Szalunku nie zasłaniały żadne krzewy ani krzaki, więc sprawiał wyjątkowo schludne wrażenie. Kwadratowy trawnik wycięto w gąszczu dzikich róż, o tej porze roku głęboko uśpionych, uginających się pod ciężarem śnieżnych czap. Dom wyglądał jak nagi, przesiąknięty słońcem, dopiero co umyty.

- Klucz jest za framugą - powiedziała Julia.

Wyjęłam dziecko z auta i weszłam za nią na małe wzniesienie, na którym stał dom. Julia walczyła przez chwilę z kluczem, w końcu otworzyła drzwi.

Wnętrze dzieliło się na salon, kuchnię, sypialnię na dole, większą na górze, korytarz. Dom był raczej skromny, prawie nie umeblowany. Z pewnością od razu zauważyłam białe firanki w oknach, bo musiały mi się spodobać, ale z tych pierwszych kilku minut zapamiętałam jedynie lśniąca czystość kątów, okien i cieni. Podążałam za Julią Strout, a ona wskazywała mi po prostu, co gdzie się znajduje.

Wróciliśmy do kuchni. Na sosnowym stole leżała zielono-biała cerata, a wokół stały nie pasujące do siebie krzesła, z których jedno pomalowano na czerwono. Julia bardzo się zmartwiła, że w domku jest tak zimno, więc przez kilka minut regulowała termostat, a potem zeszła do piwnicy sprawdzić piec. Pokazała mi, gdzie jest bojler, i od razu go włączyła. Rozmawialiśmy o podjeździe - Julia powiedziała, że każde go odśnieżyć.

Bardzo chciałam odpocząć, więc usiadłam. Nadal nie zdejmowałam Caroline kombinezonu ani czapeczki, ale kiedy zaczęła marudzić, odpięłam płaszcz i przystawiłam ją do piersi. Siedziałam bokiem na kuchennym krześle, opierając ramię o stół. Przez okno widziałam, jak mewa z małża lub innym mięczakiem w dziobie wznosi się na wysokość kilkuset metrów, po czym zrzuca skorupę na piasek.

Julia sprawdziła hydraulikę w łazience i pozapalała światła. Pochyliła się właśnie nad piecykiem, gdy ją zapytałam, czy jej mąż jest rybakiem. Zamierzałam po prostu być miła. Długo patrzyłam na złotą, lśniącą obrączkę na jej palcu, a potem zerknęłam na puste miejsce po własnej.

- On nie żyje - powiedziała, odwracając do mnie głowę. W przeciwieństwie do innych postawnych kobiet trzymała się prosto i miała dużo wdzięku. - Był szkwał - wyjaśniła - noga zaplątała mu się w sieci i wypadł za burtę. Zdarzyło się to dokładnie w Dzień Weterana, woda miała tak niską temperaturę, że zanim się utopił, dostał ataku serca. Tak to zresztą zwykle bywa.

Bąknęłam, że bardzo jej współczuję.

- Dawne dzieje - odparta, machając ręką, i urwała. Sądziłam, że powie coś jeszcze, ale podeszła do kredensu i zaczęła szukać żarówki.

Znów skierowałam wzrok do okna. W powietrzu krążyło już kilka mew z łupem w dziobach. Wyglądały jak piórka miotane przez wiatr. Dzięki ciszy panującej w kuchni wreszcie usłyszałam coś, co przedtem zupełnie do mnie nie docierało - charakterystyczne odgłosy poranka nad morzem: krzyk ptaków, uderzanie fal o brzeg, warkot motorówki gdzieś daleko na wodzie, klekot okiennic targanych wiatrem. Miarowość tych dźwięków podziała na mnie usypiająco.

Julia Strout skończyła inspekcję i podeszła do stołu, przy którym siedziałam. Ręce trzymała w kieszeniach parki.

Wciąż miałam na sobie szal i okulary. Do tej pory istniało między nami nieme porozumienie; ja nie zdejmowałam szala, a ona o nic nie pytała. W końcu jednak zrobiło mi się niewygodnie, więc wolną ręką odplątałam szal i zdjęłam okulary.

- Uległam wypadkowi - powiedziałam.

- Widzę. To musiało być z pewnością coś poważnego.

- Rzeczywiście.

- Nie trzeba zabandażować tej wargi? Albo nawet zeszyć?

- Nie - odparłam. - Doktor mówi, że wszystko będzie dobrze. Kłamstwo przyszło mi łatwo, choć nie mogłam jej spojrzeć prosto w oczy.

Usiadła na przeciwległym krześle. Odnosiłam wrażenie, że usiłuje sobie wyrobić jakąś opinię na mój temat.

- Skąd pani jest? - spytała.

- Z Syracuse.

- Chodziłam do szkoły z dziewczyną stamtąd - powiedziała wolno. - Ale pani pewnie nie zna tej rodziny.

- Pewnie nie - szepnęłam, unikając jej spojrzenia.

- Długo pani jechała.

- Tak. Nawet to czuję.

- W Machias jest szpital - zaczęła. Spojrzałam na nią ostro.

- Chodziło mi o dziecko - wyjaśniła szybko. - Pani oczywiście również może z niego skorzystać, gdyby zaszła taka konieczność. Dobrze wiedzieć, co robić w razie potrzeby.

- Dziękuję - powiedziałam, sięgając po notes. - Chciałabym teraz pani zapłacić. Ile wynosi czynsz?

Zawahała się, jakby zaczęła głośno myśleć.

- Siedemdziesiąt pięć dolarów miesięcznie. Pomyślałam, że nawet w St. Hilaire o tej porze roku mogłaby zażądać dwa razy więcej. W portfelu miałam trzysta dolarów. Obliczyłam, że jeśli będę bardzo ostrożna, przetrwam przynajmniej ze dwa miesiące, zanim znajdę pracę i wymyślę, w jaki sposób dobrać się do konta, nie zdradzając jednocześnie nikomu miejsca pobytu. Julia wzięła pieniądze i wetknęła je do kieszeni kurtki.

- Tu nie ma telefonu - powiedziała. - Aż strach pomyśleć, że jest pani sama z dzieckiem i nie może nigdzie zadzwonić. W razie potrzeby proszę pojechać do LeBlanców, to ten niebieski dom tuż przed zakrętem. Jeśli chodzi o inne rozmowy, może pani korzystać z mojego aparatu, bo w St. Hilaire chyba nie ma budki. Automat znajdzie pani dopiero w A&P w Machias.

Poprawiła się na krześle i zerknęła na Caroline.

- Myślę, że uzna pani St. Hilaire za bardzo spokojne miejsce. Przytaknęłam.

- Będzie pani potrzebne łóżeczko.

- Mam koszyk.

Jeszcze raz przyjrzała się dziecku. Wyrażnie nad czymś myślała.

- Przywiozę pani coś odpowiedniego.

Wyrażnie wołała patrzeć na moją córkę niż na mnie.

- W takim razie już pójdę - powiedziała. - Oczywiście, jeśli zechce mnie pani odwiedzić do miasta.

- Z przyjemnością - powiedziałam, biorąc kluczyki.

- Chyba zrobiło się trochę cieplej, prawda? Przytaknęłam. Temperatura naprawdę się podniosła.

Idąc do drzwi, Julia popatrzyła na ocean. Ja szłam za nią z dzieckiem na ręku.

Gwałtowny poryw wiatru uderzył w okna. Zerknęłam na nadmorski pejzaż za oknem, a moim oczom ukazała się trawa pokryta śniegiem, szaroczarne skały, głęboki granat zimnej zatoki. Pomyślałam, że widok jest piękny, lecz mało zachęcający.

Doznałam wrażenia, że Julia myśli o oceanie albo też o swoim mężu, który zginął w zatoce. Stała przy drzwiach dłużej, niż nakazywała konieczność.

Właśnie chciałam się odezwać, zapytać ją, czy przypadkiem czegoś nie zapomniała, kiedy odwróciła się nagle i spojrzała na moją twarz, a potem na dziecko.

- To pewnie nie moja sprawa - zaczęła, a ja poczułam, jak ściska mi się serce - ale mam nadzieję, że ten, kto to zrobił, siedzi w więzieniu.

Jestem zmęczona. Pewnie zrobiło się późno, chociaż tutaj nigdy nic nie wiadomo. Na korytarzu palą się światła. Panuje straszny gwar.

Jutro i pojutrze będę pisała, a potem to do pani wyślę. Na pewno pani się zdziwi.

Odbyłam daleką podróż - dalszą, niż się pani wydaje. Czasem przypominam sobie swoje życie sprzed roku i myślę, że to nie mogłam być ja.

Jechałyśmy do miasta w ciszy - warkot silnika lub też wibracje auta uspiły Caroline, jak tylko skręciłyśmy na drogę biegnącą wzdłuż wybrzeża. Kiedy dotarłyśmy do miasteczka, Julia kazała mi zaparkować przed sklepem. Obiecała, że popilnuje Caroline, żebym nie musiała jej budzić. Było to logiczne rozwiązanie, więc natychmiast się zgodziłam. Wrzuciłam luz, zostawiając włączony silnik i ogrzewanie.

Manewrując małym wózkiem między półkami, robiłam zakupy szybko, pobieżnie; starałam się pamiętać o najważniejszych rzeczach. Za kontuarem stał właściciel sklepu i pisał coś w notesie. Skinął mi głową, mrugnął prawdziwym okiem, po czym zapytał, czy podobało mi się w „Gateway”. Odpowiedziałam mu, że tak, i dodałam, że Julia Strout wynajęła mi domek.

- Domek? - spytał. - Ten przy Fiat Point Bar?

- Tak mi się wydaje - odparłam. - Na północy, na małym półwyspie. Właściwie na cyplu.

- Mhm - mruknął z satysfakcją. - O ten mi chodziło. Taki maleńki i przytulny. Będzie tam pani dobrze. No, no. Bardzo się cieszę.

Na zakupy wydałam dwadzieścia dolarów. Czułam przyspieszone obroty własnego motoraka, który chodził wraz z silnikiem stojącego na zewnątrz auta, i chciałam jak najszybciej wyjść ze sklepu. Właściciel nie zdradzał jednak ochoty, żeby mnie wypuścić, tak jakby miał na końcu języka parę pytań, ale musiał najpierw zrobić do nich stosowny wstęp. Tyle że ja wcale nie zamierzałam mu odpowiadać i mocno się niecierpliwiłam, patrząc, jak wolno wkłada moje zakupy do papierowej torby. Podejrzewałam, że sklepikarz pełni w tym miasteczku rolę głównego źródła informacji, toteż wszyscy będą go wypytywać o kobietę, która przybyła nocą do miasta, w ciemnych okularach i szalu zasłaniającym twarz. A może on już znał odpowiedzi na te pytania. Czyżby Muriel telefonowała do Julii, a Julia do Shedda? Pomyślałam, że chyba jednak nie. Nie wiedziałam właściwie dlaczego, ale ufałam Julii i nie uważałam jej za plotkare gotową wypaplać wszystko, czego zdołała się dowiedzieć.

Sklepikarzowi najwyraźniej nie podobała się kolejność, w jakiej włożyłam zakupy do torby, więc wyrzucił wszystko na ladę, po czym zaczął pakowanie od nowa. Całą siłą woli powstrzymałam się od głębokiego westchnienia, gdy wolno i starannie odliczał mi resztę. Pomyślałam o Julii z Caroline w samochodzie. Nie chciałam nikomu niczego zawdzięczać. Zanim Shedd zakończył upychanie zakupów w torby, porwałam jedną z nich z kontuaru.

- Zacznę je nosić do samochodu - rzuciłam szybko, wychodząc.

Włożyłam wszystko do bagażnika, przejechałam na drugą stronę placu i odwiozłam Julię pod sam dom. Na ulicach pojawili się ludzie - grupka uczniów ciskająca śnieżki w pomnik Ofiar Wojny, starsza kobieta odśnieżająca podjazd sąsiadujący z podwórkiem Julii. Staruszka, okutana w kilka warstw wełny, zgięła się w pół nad łopatą i przesuwiała naprzód w ślimaczym tempie. Obok spółdzielni na nabrzeżu stały ciężarówki w ziemistych, rdzawych kolorach.

Julia bezceremonialnie wyszła z auta, powtarzając, że ktoś wpadnie odśnieżyć podwórko. Nie miałam ochoty myśleć o tym, że ta kobieta widziała moją twarz i nie uwierzyła w ani jedno słowo, więc odjechałam od krawężnika szybciej, niż to było konieczne. Dopiero pod koniec jazdy, kiedy zostałam sama z Caroline, zaczęłam rozluźniać spięte mięśnie karku.

Przed domem pochwyliłam Caroline w ramiona, wzięłam koszyk i szybko weszłam do środka. Delikatnie, żeby nie obudzić małej, ustawiłam koszyk na dywanie w salonie. Dopóki dziecko spało, miałam czas na wniesienie i rozpakowanie zakupów.

To zajęcie wprawiło mnie w dobry humor, często czułam się podobnie, opiekując się córką. Umieściłam mniej trwałe produkty w lodówce, puszki i kartony włożyłam do kredensu. Obejrzałam zastawę i sztucce. Talerze były białe, plastikowe, z niebieskimi słonecznikami na brzegach, takie, jakie sprzedaje się na wyprzedażach w supermarketach. W szafce pod kuchenną ladą znalazłam komplet garnków, patelnie i wazy.

Kiedy już skończyłam z zakupami, poszłam obejrzeć dom, jakbym robiła to po raz pierwszy. Wydawało mi się, że teraz on należy do mnie, do mnie i do Caroline, i nikt nie może mi tutaj niczego zabronić ani nakazać.

Salon wyglądał przytulnie - stała w nim powypychana kanapa obita poprzecieranym i wyblakłym perkalem, drewniane krzesło na biegunach ze zniszczonym, wyplatany siedzeniem, klonowy stół podobny do tego, jaki stał w domu mojej matki, a na podłodze leżał pleciony, wyłysiały dywanik. Ściany były zupełnie zwyczajne, wielokrotnie malowane, ostatnia warstwa farby miała jasnoniebieski odcień. Imponujące wrażenie natomiast zrobiły na mnie ogromne, podwójne okna zasłonięte firaneczkami zwiewnymi jak mgiełka. Na ścianach wisiały prymitywne obrazki przedstawiające głównie górskie krajobrazy. Podejrzewałam, że namalowali je po prostu turyści. Zdjęłam je ze ściany i upchnęłam za szafą, a potem przyniosłam z kuchni młotek, żeby usunąć gwoździe. Ogołociłam ściany, gdyż uważałam, że nic nie powinno konkurować z widokiem na morze.

Otworzyłam drzwi i weszłam do sypialni z pojedynczym łóżkiem przykrytym jasnokremową kordonkową kapą i z wysoką klonową komodą. Pomyślałam, że mogłabym tu ustawić koszyk Caroline albo jej łóżeczko, ale wolałam raczej mieć dziecko przy sobie, w sypialni na piętrze.

Weszłam więc na górę, żeby sprawdzić, czy w moim pokoju znajdzie się trochę wolnego miejsca. W samym środku pyszniło się ogromne, podwójne łóżo z rzeźbionym, mahoniowym zagłówkiem. Łóżko było wyjątkowo wysokie - mogłam usiąść bez zginania kolan - i leżała na nim ciężka narzutka uszyta z różnokolorowych kawałków: białych, różowych i zielonych. Przejechałam ręką po kapie, podziwiając precyzję, z jaką została wykonana. Próbowałam sobie wyobrazić, kto ją uszył: matka Julii czy sama Julia we wczesnej młodości? A może wdowa, która wróciła do Bostonu? Po prawej stronie wezgłowia stał stolik nocny, a na nim lampka. Z lewej rozciągał się widok na zatokę, usiadłam więc na łóżku i wyjrzałam na zewnątrz przez podwójną szybę. Pomyślałam, że w lecie te cienkie firaneczki wyfruną na zewnątrz.

Stąd widziałam przycumowane łodzie z zupełnie innej perspektywy - pomalowane pokłady, jakieś rzeczy upchnięte na rufie, żółte płaszcze

nieprzemakalne pod pomostem. Widziałam również najbardziej wysuniętą w morze część cypla, to miejsce wdzierające się ostro w wodę, gdzie plaża kamienista stykała się z piaszczystą. Mogłam sobie z łatwością wyobrazić mapę wybrzeża wraz ze skałą wyrastającą nagle ponad powierzchnię oceanu. Daleko na wodzie zauważyłam błysk - być może była to latarnia morska? - choć równie dobrze mogłam ulec halucynacji.

RS

ROZDZIAŁ 8

Anita Shreve

Utkwiłam wzrok w linii horyzontu, odrywając go od okolicy, w której pojawiło się światło, tak jakbym chciała, by ten sygnał - o ile w ogóle rzeczywiście coś błysnęło - sam ponownie zwrócił na siebie moją uwagę. I wtedy właśnie usłyszałam ten cichy dźwięk zakłócający ciszę. Chwyciłam róg kapy i wstrzymałam oddech, by lepiej słyszeć. Rozpoznałam charakterystyczny szcęk klucza w zamku i ciężkie odgłosy kroków w korytarzu. Pomyślałam, że on wrócił do domu wcześniej, niż sądziłam, więc muszę udawać, że śpię. I koniecznie zgasić światło.

Ale to był tylko warkot silnika na podjeździe. Wypuściłam z uścisku kapę i spojrzałam na swoje ręce.

Sądząc z odgłosów, kierowca wycofał auto, a potem coś twardego uderzyło o żwir lub lód. Zrozumiałam, że najprawdopodobniej przyjechał mężczyzna, który miał odśnieżyć podjazd. Wstałam, żeby wyjrzeć przez okno, ale ze swego miejsca nie mogłam go dostrzec.

Caroline poruszyła się w swoim koszyczku w salonie. Odwróciłam więc uwagę od okna i zajęłam się własnymi sprawami. Przewinęłam małą, nakarmiłam ją, a potem pochowałam rzeczy do szuflad. Z podwórza dobiegały odgłosy odśnieżania.

Usłyszałam, jak auto wjeżdża na wyźwirowaną alejkę. Z Caroline w ramionach podeszłam do okna w salonie i popatrzyłam w dół, gdzie zatrzymała się właśnie czerwono-brązowa półciężarówka, bardzo podobna do tej, którą widziałam nieopodal spółdzielni. Pod oknem kierowcy widniała ślimacznica namalowana złotą, łuszczącą się farbą. Z szoferki wysiadł mężczyzna w czapce baseballowej Red Soxów na głowie i w przyciasnej dżinsowej kurtce.

Zastukał w szybę. Podeszłam z Caroline do drzwi i natychmiast je otworzyłam. Stał na schodkach, trzymając pod pachą łóžeczko, i patrzył na mnie, najwyraźniej niezdolny się poruszyć.

Od razu sobie wszystko przypomniałam.

- Miałam wypadek samochodowy - wyjaśniłam.
- O rany! I jak się pani czuje? Gdzie to się stało?
- W Nowym Jorku. Niech pan wejdzie. Nie chcę, żeby dziecko się przeziębiło.

Wniósł łóžeczko do środka i zapytał, gdzie chcę je postawić. Odparłam, że w sypialni na górze, po czym przeprosiłam za dodatkowy kłopot.

- Nie ma problemu - powiedział.

Ułożywszy Caroline w koszyku, chciałam mu pomóc, ale zanim wyszłam na korytarz, on był już w połowie schodów. Słyszałam, jak zamyka siatkę, a potem zobaczyłam, że schodzi na dół, wyciągając z kieszeni paczkę marlboro. Był niski i krępy, wydawał się silny.

Szedł po schodach tak, jakby wystukiwał jakiś wewnętrzny rytm.

- Można? - spytał już na dole.

Potrząsnęłam głową i skręciłam do salonu. On poszedł za mną.

- Tak w ogóle to nazywam się Willis - powiedział. - Willis Beale.

Widziałem panią wczoraj w sklepie.

Skinęłam głową, ale nie wymieniliśmy uścisku dłoni.

- Mam na imię Mary - powiedziałam. - Mary Amesbury.

- Kiedy to się stało?

Popatrzyłam mu prosto w oczy i instynktownie uniosłam rękę do policzka, ale od razu ją opuściłam.

- Dwa dni temu - odparłam, biorąc dziecko w ramiona.

- Aha - mruknął. - A ja myślałem, że to przez tę burzę.

Miał twarde, chropowate ręce i połamane paznokcie. Zauważyłam również, że na jego zniszczonych, powycieranych dzinsach widnieje w okolicach prawego uda spora plama z farby. Podszedł do dużego okna wychodzącego na cypel i wyjrzał na zewnątrz. Na policzkach wyhodował jednodniowy zarost, a popiół strząsał do otwartej dłoni. Choć bez przerwy kręcił się po pokoju, odniosłam wrażenie, że wcale mu się nie spieszy.

- To moja łódka - powiedział. - Ta czerwona. Popatrzyłam we wskazanym kierunku. Na rufie widniała nazwa „Jeannine”.

- Ja i paru innych kumpli cumujemy na cyplu. Wyspa chroni przed wiatrem i na łowiska stąd niedaleko. Można łatwo wypłynąć na morze. Wszyscy Bealowie trzymali tu swoje łajby.

Więc jak przyszła moja kolej, też zacząłem korzystać z tego miejsca.

- Dziękuję za odśnieżenie - powiedziałam. - I przyniesienie łóżeczka.

- Nie ma za co - odparł, odwrócił się i niemal zrobił przerażoną minę, ponownie ujrawszy moją twarz. Zadrżał. - Zimno tutaj, no nie?

- Powinien był pan włożyć cieplejszą kurtkę.

- Nawet mam taką jedną, ale ni cholery nie rozumiem, dlaczego zawsze wkładam to samo. Widocznie z przyzwyczajenia. Moja żona ciągle ciosa mi kołki na głowie. „Włóż parkę, bo dostaniesz zapalenia płuc” - mówi, a ja wiem, że ona ma rację.

- Z pewnością.

- Ile ma to dziecko?

- Pół roku.

- Milusie.

- Dziękuję.

- Ja chowam dwóch chłopaków - cztery i dwa latka. Moja żona by dała sobie rękę uciąć za dziewczynkę, ale na razie musimy poczekać. Zeszłego lata obniżyli ceny krabów i zrobiło się ciężko, no nie? A pani tu sama? Stary nie przyjedzie?

- Nie. Teraz jestem sama.

„Teraz” wyrwało mi się zupełnie mimo woli. On jednak chwycił wszystko w lot.

- Zostawiła go pani, czy jak?

- Coś w tym rodzaju.

- Rany! W zimę? I da pani sobie radę?

- Zobaczą - odparłam enigmatycznie.

Wyciągnął rękę i podrapał Caroline pod brodą. Poszukał wzrokiem popielniczki, ale niczego takiego nie znalazł, więc podszedł do zlewu, odkręcił wodę, a potem otworzył szafkę i wrzucił niedopałek do kosza na śmieci. Oparł się o ladę, krzyżując ramiona na piersi. Pomyślałam, że w zamian za odsnieżenie podjazdu oczekuje zaproszenia na kawę. Może taki tu był zwyczaj.

- Mogę poczęstować pana filiżanką kawy? - zapytałam.

- Nie, dziękuję, ale chętnie napiłbym się czegoś mocniejszego. Przypomniałam sobie od razu, że widział, jak kupuję piwo w sklepie.

- Mam w lodówce trochę piwa. Proszę się poczęstować. Otworzył lodówkę i wyjąwszy piwo przyjrzał się uważnie puszcze, a potem otworzył sprawnie wieczko. Pił długo, głośno, ze smakiem. Potem oparł się o ladę - jedną rękę trzymał w kieszeni, drugą miał zajęętą piwem. Odniosłam wrażenie, że się uspokoił.

- Przyjechała pani z Nowego Jorku?

- Nie. Z Syracuse.

- Z Syracuse - powtórzył. - Na północy?

- Tak.

Popatrzył na swoje ciężkie, brudne buty robocze.

- Dlaczego wybrała pani St. Hilaire?

- Nie wiem - odparłam. - Po prostu jechałam przed siebie, zapadł wieczór i musiałam się zatrzymać.

Kłamałam. Zdecydowałam się na St. Hilaire, bo wyobrażająca je kropka na mapie była wyjątkowo mała i daleko położona.

Otworzył usta, jakby chciał jeszcze o coś zapytać, ale nie dopuściłam go do głosu.

- Co to jest więcierz? - spytałam, żeby zbić go z tropu. Roześmiał się głośno.

- Od razu widać, że pani nietutejsza. To taki no... taka jakby sieć na homary, nie?

- Ach, tak - powiedziałam ze zrozumieniem.

- Kiedyś, jak będzie cieplej, zaproszę panią na łódź.

- Dziękuję, może skorzystam.

- To się będzie musiała pani zdecydować przed piętnastym, bo później odstawiam łajbę na keję.

W kuchni zapanowała cisza.

- Chyba już pójdę - powiedział po chwili. Zatrzymał się z ręką na kłance.

- Dobra, Ruda, idę. Ale jak będzie pani czegoś potrzebować, proszę dzwonić. I uważać na kadzie z miodem.

- Co takiego? Roześmiał się głośno.

- Proszę podejść, to pokażę.

Gdy stanęłam obok niego, położył mi rękę na ramieniu, a drugą wyciągnął przed siebie.

- Widzi pani to słone bajoro, nie? Za dwie godziny będzie odpływ. Do kolacji plaża prawie całkiem wyschnie. Ale teraz gdzieś wyłożą takie szare łaty, prawda?

Wyteżywszy wzrok, dostrzegłam małe szare kółka o mniej więcej metrowej średnicy. Skinęłam głową.

- To są właśnie kadzie z miodem. Przypominają ruchome piaski. Jakby pani weszła na taką łatę, od razu ugrzęzłaby pani w tym błocie. Jak w kadzi z miodem, no nie? I trudno by było panią wyciągnąć. A gdyby jeszcze zaczął się przypływ...

Zdjął rękę z mojego ramienia, otworzył drzwi, odwrócił się i zamknął je barkiem.

Silny wiatr wiał mu mocno w plecy, a on kiwał tylko głową jakby do własnych myśli.

- Wszystko będzie dobrze - mruknął.

ROZDZIAŁ 9

Willis Beale

Nazywam się W-i-l-l-i-s B-e-a-l-e. Mam dwadzieścia siedem lat. Zacząłem łowić jako siedemnastolatek. Dziesięć lat temu. O rany!

Moja łódka jest w porządku. Nie chcę się chwalić ani nic takiego, ale to świetna łajba. Co roku na Czwartego Lipca urządzają ten wyścig do Jonesport, a ja mieszczę się zawsze w pierwszej trójce, no nie? W tym roku byłem drugi. Łódź należała do mojego taty, ale jak on przeszedł na emeryturę, trochę ją wyrychtowałem. Łowią na północny wschód od Swale. Przedtem łowili tam mój ojciec i dziad. To moje tereny, rozumiecie. Nikt z miasteczka nawet by się nie ośmielił tam popłynąć. Tak to już bywa - łowiska przechodzą z ojca na syna. Jak tam łapię kłusownika, robię węzeł na jego boi. Za drugim razem nie ma przebaczenia. Przecinam mu więcierze. Łowisko to moje życie. Zapuszczasz się na mój teren - to tak samo jakbyś wszedł bez pozwolenia do mnie do domu i ukradł mi jedzenie. Rozumie pani?

Kiedy wydrukują ten artykuł? Wymieni pani moje nazwisko?

Tak, jasne, że ją znałem. Kręciłem się trochę po okolicy. Trzymałem tam łajbę, a czasem musiałem kobiecie trochę pomóc. Na przykład odśnieżyć podjazd. Coś w tym rodzaju, nie?

Wydawało mi się, że jest ładna, naprawdę ładna. I była zawsze dla mnie miła. W innej sytuacji może bym do niej wystartował. Ale kocham żonę, więc takie numery nie wchodziły w rachubę.

Widzi pani, na temat tej całej afery mam własne zdanie. To bardzo skomplikowana sprawa, no nie?

No bo o tym biciu to wiemy tylko od niej, prawda?

Nie mówię, że kłamała ani nic tych rzeczy, ale niech pani weźmie Jeannine i mnie. Chociaż ją kocham, bywało różnie. Ze dwa razy trochę się jednak poszturchaliśmy. Nic poważnego, ale zawsze. Do tanga trzeba dwojga, no nie? Mówię tylko, że nigdy nie dowiemy się wszystkiego. I zabrała dzieciaka. No cóż, powiem pani prawdę. Gdyby moja żona wykrciła taki numer, rozwalilibym jej łeb. A kto by nie rozwalił? Ukradła facetowi dzieciaka, nie mógł jej znaleźć i dostał małego rozumu. Nie obchodzi mnie za bardzo, czyja to była wina. W małżeństwie chyba zawsze można się jakoś dogadać. Nie trzeba uciekać. Zawsze zostaje rozwód, nie?

No i jeszcze jest parę spraw, o których trzeba by przy okazji powiedzieć.

Dużo myślałem. To było spokojne małe miasteczko, zanim ona tu przyjechała. Nic szczególnego, ale ludzie tutaj są w porządku, szanują

prawo i tak dalej... Rozumie pani, o co mi chodzi? A potem zjawia się ona, zupełnie jak huragan. Proszę mnie źle nie zrozumieć. Naprawdę ją lubiłem. I nie twierdzę, że chciała narobić kłopotów. Ale narobiła, nie?

Popatrzmy na to w ten sposób. Zanim ją zabrali, mieliśmy tu morderstwo, gwałt, napad, samobójstwo, a trójka dzieciaków straciła matki.

Znaczy, że ona ma za co odpowiadać, no nie?

RS

ROZDZIAŁ 10

Mary Amesbury

Patrzyłam, jak Willis wraca do samochodu. Wsiadł do szoferki i zapuścił silnik. Zobaczyłam, że skręca, a potem zniknął mi z oczu. Z dzieckiem na ręku odsunęłam się od okna. Zaczynał się odpływ. Prawie widziałam sto pięćdziesiąt metrów słonej mielizny. A jeszcze dwie godziny wcześniej fale lizwały przybrzeżne wodorosty.

Nie wiedziałam, która godzina, ale sądziłam, że jest chyba wczesne popołudnie, i zakonotowałam sobie w pamięci konieczność zakupu zegarka, może nawet radia. Słońce już nie świeciło zbyt jasno, horyzont wygląda! zupełnie tak, jakby wzbijał się nad nim tuman kurzu. Pomyślałam, że do wpół do piątej zrobi się ciemno.

Stałam przy kuchennym stole, patrząc, jak gasnące słońce odbija się w kotwicach łodzi cumujących w kanale. Przede mną rozciągało się popołudnie i wieczór. Pusta przestrzeń, pusty czas. Cieszyłam się z tego, że dzień wkrótce dobiegnie końca i wcześniej zapadną ciemności. Wieczór żył swoim własnym rytmem. Trzeba było przygotować posiłek, położyć Caroline. Z tym mogłam sobie poradzić. Potem nagle sobie przypomniałam, że nie mam żadnej książki. Nie zabrałam przecież z domu nic do czytania.

Usłyszałam warkot silnika na podjeździe, więc pomyślałam, że to Willis czegoś zapomniał. Ale ten dostawczak był czarny. Patrzyłam, jak jedzie po twardym, mokrym piasku, aż w końcu zatrzymuje się przy końcu cypla. Wysiadł z niego mężczyzna, wiatr rozwiał mu włosy i wydał krótką kurtkę jak żagiel. Nieznajomy miał włosy koloru piasku i czarne długie buty na nogach. Odwracając się do mnie plecami, zdjął z półciężarówki jedno wiosło i kilka zwojów liny. Podszedł do rzędu małych łódeczek, odwiązał jedną z nich, zepchnął do wody, a potem wskoczył do środka i zaczął manewrować wiosłem tak, jakby stał na tratwie. Kiedy odpłynął już na dobre od brzegu, usiadł i powiosłował w kierunku bialo-zielonego kutra do połowu homarów. Widziałam, jak cumuje i trzymając pod pachą zwoje liny, wskakuje na pokład, znika w małej kabinie i znów się pojawia, ale już bez liny. Następnie nieznajomy odwrócił kolejność swoich dotychczasowych czynności - z większej łodzi przesiadł się na małą, po czym przycumował ją wysoko na plaży, a wiosło zaniósł do ciężarówki. Zobaczył moje auto na podjeździe, omiótł spojrzeniem dom, ale nie sądzę, żeby mnie dostrzegł. Potem wsiadł do szoferki, zawrócił i pojechał z powrotem.

Pejzaż nagle znieruchomiał. Morze - gładkie, spokojne - wyglądało zupełnie jak staw. Wiatr ucichł, mewy zniknęły. W domu zrobiło się cicho

jak w grobie - jedynie drobinki kurzu wirowały w ostatnich promieniach słońca. Dziecko usnęło mi w objęciach. I wtedy, mimo że tuliłam Caroline, odczułam coś na kształt strachu.

Postanowiłam posprzątać. To by mi zajęło co najmniej parę godzin, a przez ten czas nie mogłabym się bać.

W schowku obok bojlera znalazłam wszystko, czego było mi potrzeba: szczotkę, miotkę do kurzu i szmatki. W sklepie kupiłam pojemnik ajaxu i butelkę płynu do zmywania naczyń. Doszłam do wniosku, że to mi musi wystarczyć.

Zamiołłam wszystkie podłogi, odkurzyłam ściany. Przejechałam szmatką po meblach, wyszorowałam wannę i toaletę. W kuchni wyczyściłam zlew, a potem zmyłam linoleum gorącą wodą. Przetarłam gąbką ścianki lodówki i półki na garnki.

Kiedy było to możliwe, zostawiałam Caroline w koszyku, a gdy się budziła, kładłam ją na dywanie, żeby mogła się bawić. Zamiatając podłogę w kuchni, zobaczyłam, że moja córeczka usiłuje raczkować, i serce stanęło mi w gardle. Rozejrzałam się zupełnie tak, jakbym szukała wzrokiem kogoś, komu mogłabym opowiedzieć o jej wyczynie, o tym prawdziwym kamieniu milowym. Ale byłam sama. Nikt poza mną nie oglądał pierwszych sukcesów mojej dziewczynki. Wzięłam ją na ręce, pocałowałam i długo nie wypuszczałam z objąć.

Gdy słońce zaszło, pomyślałam, że dochodzi siódma. Ubrałam Caroline w piżamkę, po czym zaniiosłam ją do łóżeczka w sypialni.

Poczułam głód, więc przygotowałam sobie pierwszy posiłek w nowym domu - talerz zupy z puszki oraz sałatkę. W trakcie gotowania wypiłam jedno piwo, a drugie otworzyłam do kolacji przy biało-zielonym stole, który wyszorowałam do czysta gąbką nasączoną płynem do zmywania. Zupa bardzo mi smakowała. Z przyjemnością rozejrzałam się po domu. Czułam, że udało mi się czegoś dokonać.

Po kolacji zmyłam naczynia, a potem - w nagrodę - postanowiłam wziąć prawdziwą kąpiel. Weszłam do łazienki. Wanna wyglądała zachęcająco - lśniła czystością. Napelniłam ją gorącą wodą, zdjęłam ubranie i zanurzyłam się w kąpiel. Najpierw parująca woda żądliła boleśnie moje ciało, potem jednak przyniosła mi ukojenie. Oparłam się wygodnie o zaokrągloną krawędź, wzięłam myjkę i mydło, po czym zaczęłam delikatnie masować skórę - chciałam być tak czysta jak mój nowy dom.

Po wyjściu z wanny miałam zaróżowione ciało. Wytarłam się z animuszem pomarańczowym ręcznikiem zwisającym z półki. Włożyłam koszulę nocną i biały sweter, który miał mi zastąpić szlafrok. Kiedy

usiadłam przy stole, żeby wytrzeć włosy, zerwał się wiatr. Słyszałam, jak klekoczą okiennice. Pomyślałam, że naprawdę przydałoby mi się radio - miałabym trochę muzyki w tle. Nigdy nie zaznałam takiej ciszy i zaczęłam się zastanawiać, czy to na pewno jest dobre dla dziecka.

Sprzątanie, piwo, a najprawdopodobniej długa gorąca kąpiel - podziałały na mnie usypiająco. Nie wiedziałam, czy jest dziewiąta, czy dziesiąta, czy też może nawet później, ale pomyślałam, że to przecież nie ma znaczenia.

Gdy wyschły mi włosy, powiesiłam ręczniki na półce, a potem wyłączyłam światło w łazience i kuchni. Po omacku weszłam na schody i wdrapałam się po nich na górę. Już w sypialni usłyszałam delikatny oddech Caroline. Zaczekałam, aż oczy przyzwyczają mi się do skąpego światła księżycy wpadającego przez okno, a potem pochyliłam się nad łóżeczkiem. Rozpoznałam zarys dziecięcego ciała pod kołderką i ciemną główkę na prześcieradle.

Odrzuciłam narzutę z łóżka, zdjęłam skarpetki i sweter. Pościel była zimna, więc kiedy wreszcie się położyłam, wstrząsnął mną dreszcz. Sądziłam, że natychmiast zapadnę w sen - byłam zmęczona, bardzo zmęczona. Wiedziałam, że dziecko obudzi się wcześniej i trzeba je będzie nakarmić.

Ale nie usnęłam. Nie mogłam nawet zmrużyć oka. Leżąc na plecach w łóżku, zdałam sobie dokładnie sprawę z tego, gdzie się znajduję: w wysokim małżeńskim łóżu w domu na wzgórzu nad Atlantykiem. Dojechałam na kraj świata, nie miałam już dokąd uciec. Znów przeszył mnie dreszcz - tym razem silniejszy.

Wyobrażałam sobie, że jestem bezpieczna. Ależ byłam głupia! Zamiatłam podłogi i czyściłam stoły, jakbym wierzyła, że zetrę w ten sposób przeszłość z powierzchni ziemi. A przecież wiedziałam, że on tak tego nie zostawi. Nie pozwoli mi zabrać dziecka. Nie pozwoli się przechytryć. Znajdzie mnie, z całą pewnością mnie znajdzie. Być może już nawet teraz siedzi za kierownicą i jedzie do St. Hilaire.

Zakryłam sobie twarz poduszką, bo istniało coś jeszcze...

Nie miałam żadnych wątpliwości, że tym razem z pewnością mnie zabije.

ROZDZIAŁ 11

Mary Amesbury

8 czerwca 1967 - 3 grudnia 1970

Poznaliśmy się od razu pierwszego dnia, kiedy tylko zaczęłam pracę. Chciałam porozmawiać z naczelnym, a Harrold stał jak sęp nad biurkiem i przeglądał notatki. Na mój widok podniósł wzrok, patrzył, jak zmierzam powoli w jego kierunku. Miałam na sobie nową kremową bluzkę i coś na szyi - może paciorki? Uniosłam rękę i dotknęłam jednego z koralików. Już zdążyłam zapomnieć, po co właściwie przyszedłam, i próbowałam rozpaczliwie coś wymyślić. To był w końcu mój pierwszy dzień w pracy, więc miałam o co pytać. Naczelnym dokonał prezentacji, bo my nie powiedzieliśmy do siebie ani słowa. Widocznie więc nasz szef czuł się zobowiązany, by jakoś wypełnić tę ciszę: „Ona pochodzi z Chicago, dopiero co skończyła college. On rano wyjeżdża do Izraela”. Chyba zapytałam, co można robić w Izraelu o tej porze dnia, a Harrold odparł, że napić się dobrej kawy.

Był postawnym, mocno zbudowanym mężczyzną. Bujne ciemne włosy zachodziły mu lekko na kołnierzyk. Najlepiej jednak zapamiętałam jego oczy, czarne, głęboko osadzone, ukryte pod gęstymi, krzaczastymi brwiami. Te oczy przybierały zwykle tak nieodgadniony wyraz, że ilekroć na niego patrzyłam, czułam się zagubiona. A on od razu zorientował się w sytuacji. I to z pewnością sprawiło mu przyjemność, może nawet go podnieciło. Odrzuciwszy do tyłu poły sportowej marynarki, oparł ręce na biodrach. Miał na sobie niebieską koszulę, czerwony, lekko poluzowany krawat i spodnie koloru khaki - coś w rodzaju garnituru. Uśmiechnął się do mnie lekko. Ten uśmiech zaczynał się w kącie ust i tam też się kończył. Pani zapewne by powiedziała, że to taki charakterystyczny krzywy uśmiešek uroczego człowieka. I zapewne miałyby pani rację. Ale ja odebrałam to inaczej. Myślałam, że Harrold uśmiecha się na odczepne, bo bardzo się spieszy.

Wysłałam z pokoju naczelnego i jestem absolutnie przekonana, że już wówczas zdawałam sobie ze wszystkiego sprawę. To takie uczucie jak wówczas, kiedy na wiadomość o tym, że jesteś poważnie chora, od razu tracisz nadzieję na wyzdrowienie. Albo takie, gdy na widok jakiegoś pięknego domu czujesz, że marzyłeś o nim przez całe życie i będziesz tam mieszkać.

Dostałam swoje przepierzenie w labiryncie innych przepierzeń. Miałam telefon, maszynę do pisania, małe prostokątne biurko z kilkoma szufladami, półkę na książki. Pamiętam te wszystkie odgłosy: kakofonię dzwonek

przerwaną charakterystycznym staccato dalekopisów. Ale nawet w takich warunkach wszystko, co mówiłam, słyszeli sąsiadujący ze mną koledzy. Ja oczywiście również ich słyszałam. Mimo wszystko w naszym wspólnym pokoju redakcyjnym panował specyficzny rodzaj intymności.

Tego dnia przydzielono mnie do sekcji zwanej „Pożegnania” i kazano napisać nekrolog Dorothy Parker, zmarłej poprzedniego dnia. Mimo że włożyłam w te sześć zdań maksymalnie dużo wysiłku, skończyłam już przed lunchem, więc żeby jakoś zabić czas, czytałam stare numery naszego pisma. Na twarzach kolegów dostrzegłam całą gamę uczuć: życzliwość, niechęć, zazdrość. W ciągu jednego popołudnia zrozumiałam, kto ma władzę, kto jej nie posiada, kto żywi jakie ambicje. Zaczęłam się zastanawiać, gdzie jest moje miejsce w tej grupie. A oni ze mną rozmawiali, żartowali, zadawali mi pytania. Wykrzywiali usta w uśmiechu, ale w ich oczach nie było wesołości. Nawet ci najsympatyczniejsi zachowywali ostrożność. Widocznie ulegali jakimś naciskom, a grali o wysokie stawki. Tak mi się przynajmniej wtedy wydawało. Ta aura doniosłości panująca w redakcji była zupełnie niesłychana. Wszystko wydawało mi się wtedy niezwykle istotne.

Jego też obserwowałam - widziałam, jak idzie do swojego pokoju sąsiadującego z gabinetem naczelnego, jak przeciska się przez labirynt biurek do automatu z kawą, jak wychodzi na lunch, wraca, podchodzi do któregoś z kolegów. Za każdym razem dostrzegałam to przelotne spojrzenie z ukosa i wiedziałam, że w ten sposób dobijamy targu, więc kiedy około piątej zaprosił mnie na drinka na szóstą, wcale nie byłam zaskoczona. Po prostu skinęłam głową.

Poszliśmy do baru za rogiem. Siedziało już w nim wielu mężczyzn w sportowych marynarkach i poluzowanych krawatach. On znał dobrze tę knajpę, czuł się tam wyraźnie jak w domu, zajął stolik w rogu - odniosłam wrażenie, że go wcześniej zarezerwował. Zamówił martini, a ja poprosiłam o piwo, co bardzo go rozbawiło. Powiedział, że nie wyglądam na taką, co pije piwo. Zapytałam, jakie wobec tego sprawiam wrażenie, na co on wygłosił całą przemowę. A na dodatek trafił w dziesiątkę.

Mówił, że sporządzam listy spraw do załatwienia, nigdy się nie spóźnim i wykonam każdą pracę nawet wtedy, kiedy nie będę miała na to ochoty, bo programowo wywiązuję się ze wszystkich obowiązków. Stwierdził, że będę szybka i sprawna, choć nigdy nie polubię pracy reportera. Uważał, że jestem typem słuchacza, ale nie lubię być wścibska. Zgadł, że wołałabym redagować - miałabym wtedy spokojną pracę i święty spokój.

Kelnerka przyniosła mi oszronioną szklanę. Gładka, lodowata powierzchnia przyjemnie chłodziła moją rozpaloną dłoń. Czyżbym rzeczywiście była taka przezroczysta? A on kochał tę grę i zawsze w nią wygrywał. To było jak taniec - Harold oczywiście prowadził. Teraz się zastanawiam, czy on też nie był trochę oszołomiony tym, że się odnaleźliśmy. Stanowiliśmy idealną parę, zostaliśmy stworzeni do życia w symbiozie.

Zmieniłam temat i zapytałam go o Bliski Wschód. Wiedziałam, że na Synaju toczą się ostre walki. Oparł się o krzesło, a rozpięta marynarka odsłoniła mu pasek. Jego odpowiedzi były pełne nieudomówień, ale w tych nieudomówieniach krył się profesjonalizm. Miał plakietkę: Harold English, której przedtem nie zauważyłam. Patrząc na to nazwisko, mogłam go sobie lepiej wyobrazić. Zerknęłam na jego przegub, na nadgarstek wystający zza mankietu koszuli. Dostrzegłam na nim ślady opalenizny i podczas gdy on mówił, mnie prześladowała tylko ta jedna zgubna, fatalna, śmiercionośna myśl: że marzę, by go tam dotknąć.

Rozumie pani, że to miało czysto fizyczny charakter. Jeszcze przed nocą wyładowałam z nim w jednym pokoju. Nawet nie zjedliśmy kolacji. Pamiętam te jedwabne sznury, ale może to było później... Takiego filmu nigdy nie widziałam i pewnie nigdy bym nie obejrzała, gdybym nie odpowiedziała twierdząco na jego pytania. Byłam przerażona, a jednocześnie wygłodniała, chętna do współdziałania. Sądziłam, wierzyłam, że to miłość, i użyłam - a może to on pierwszy? - tego słowa. W końcu wypowiedzieliśmy je razem, chrzcząc to, co zrobiliśmy.

Rano pojechał do Izraela, a ja wróciłam do pracy. Wszyscy na pewno zauważyli, że przypominam zabawkę, którą ktoś nakręcił i zostawił. Nie wiedziałam, jak długo nie będzie go w kraju. Nic mi nie powiedział, a nie mogłam spytać naczelnego, bo to by było zbyt oczywiste. Wykonywałam swoją pracę, brałam następną i zostawałam do późna w redakcji, podobnie jak inni. A im dłużej tam przesiadywałam, tym większą miałam szansę, żeby usłyszeć cokolwiek na temat Harolda, wyłapać jego nazwisko w strumieniu innych plotek. Na niczym innym mi nie zależało. Wieczorami nie wychodziłam z domu. Siedziałam w swoim pokoju, odtwarzając bez przerwy w pamięci te same obrazy.

Przeniesiono mnie z „Pożegnań” do „Opinii”, co należało rozumieć jak awans.

Chyba wtedy powstał ten schemat: jego wyjazdy i powroty, a ja nigdy nie wiedziałam, kiedy się go spodziewać, więc zawsze żyłam w niepewności, czekałam na niego stęskniona. Wchodził zawsze nagle do

redakcji, kiedy siedziałam przy biurku i na przykład przeprowadzałam wywiad przez telefon. Za pierwszym razem wyjechał na siedem tygodni. Był w Izraelu, Nigerii, Paryżu i Sajgonie. Nawet nie wiedziałam, czy jest w jego życiu inna kobieta. Czasem sobie wyobrażałam, że do tej drugiej pisuje. Nie miałam wtedy pojęcia, że on nigdy nie da znaku życia, kiedy wyjedzie; to stanowiło część jego planu. Chciał, żebym na niego czekała.

Podszedł do biurka, a ja przysłoniłam dłonią mikrofon. Rzucił, że musi coś zrobić i potrzebuje na to dwóch, najwyżej trzech dni. Zapytał, co u mnie słychać. Czulałam, że wszyscy na nas patrzą. Powiedziałam, że w porządku. Stwierdził, że za trzy dni pójdziemy na kolację. Nie zapytał mnie o zdanie.

I tak to się zaczęło. Potrzebuje pani innych szczegółów? Miał duże mieszkanie w Upper West Side, duże i prawie puste. A ja wynajmowałam klitkę w Village, więc zamieszkaliśmy u niego. Skończył Yale, pochodził z bogatej rodziny. Wychował się na Rhode Island. Kiedy go poznałam, był dwudziestoosmioletnim dziennikarzem z ugruntowaną pozycją. Oczywiście zawsze kreowano go na gwiazdę. Jako mały chłopiec stracił matkę, ja nigdy nie poznałam swego ojca, więc stanowiliśmy symetryczne części całości.

Często przeczesywał palcami włosy, rzadko używał szczotki. Nie jadał śniadań, trudno było go dobudzić, a na lunch zamawiał zwykle jajka. Pisał na maszynie dwoma palcami, ale za to niezwykle szybko, więc wyrównywał w ten sposób straty.

Nałogowo chłonał wiadomości. Czytał cztery gazety dziennie i nigdy nie opuszczał serwisu telewizyjnego, jeśli tylko mógł go obejrzeć. Nawet podczas lektury włączał radio i słuchał muzyki lub programów informacyjnych. Twierdził, że to konsekwencja życia w samotności. Nienawidził ciszy.

Lubił pop, Dylana, Stonesów i gitarzystę Johna Faheya. Często puszczał ich płyty na cały regulator. Nadażał za modą, ale nigdy nie brał narkotyków. Mówił, że przyprawiają go o mdłości. Podobno tracił po nich wszelką kontrolę. Przepadał natomiast za pićciem w barach - zupełnie jakby pochodził z innej epoki. Najwyżej cenił sobie knajpy w nieznanymi miastach. Tamtejsze kobiety zawsze go intrygowały.

Często wyjeżdżał, mnie się to również czasem zdarzało. Kiedy był na miejscu, szliśmy do baru, potem do łóżka, a potem ja przygotowywałam coś do jedzenia. Nie spaliśmy do drugiej nad ranem. Nie zapraszaliśmy gości, nie chodziliśmy na przyjęcia. Musieliśmy być sami - to było bardzo istotne. W ten sposób stałam się całkowicie od niego zależna.

Teraz myślę o tej całkowitej izolacji, w której żyliśmy. Otaczający nas świat krzyczał z bólu, targany zamieszkami i wojną. Wiedzieliśmy

oczywiście o wszystkim, co się działo, często o tym pisaliśmy. Harrold był często naocznym świadkiem tych wydarzeń, ja znacznie rzadziej, ale nasze reportaże i artykuły jeszcze bardziej odgradzały nas od świata. To, co pisaliśmy, nie różniło się niczym od słów, które znaleźliśmy z innych gazet. Znajdowaliśmy się zawsze ponad tym lub obok tego, co komentowaliśmy. Uczucia nie są konieczne, by relacjonować fakty. Uważaliśmy, że powinniśmy się oderwać od rzeczywistości. I nawet jeśli w redakcji dyskutowaliśmy o protestach, zamieszkach czy zabijaniu, te sprawy traciły znaczenie nocą w pustej sypialni.

Różniliśmy się bardzo od innych par. Nie wiem, jak to pani wytłumaczyć. Czasem przeskakiwały między nami iskry i być może ludzie to dostrzegali, ale nigdy nie okazywaliśmy sobie uczuć. On szedł w swoją stronę, ja w swoją. Byłam miłsza dla zwykłych znajomych niż dla niego. Nie wychodziliśmy razem na lunch i nie upajaliśmy się sobą publicznie, jak to zwykle czynią zakochane pary. To, kim byliśmy i co robiliśmy, otaczaliśmy tajemnicą. Nawet po ślubie ten wspólny sekret odgradzał nas od świata, przypominaliśmy zakwefione Arabki zamknięte w haremie.

Wtedy myślałam, że nigdy nie będę mogła tego nikomu opowiedzieć.

Czasem, a nawet często, zadawałam sobie pytanie, dlaczego Harrold wybrał właśnie mnie, skoro wśród jego rzeczy niejednokrotnie natrafiałam na jasnobłękitne listy od kobiet z Madrytu czy Berlina.

On żartował, że to wszystko przez moje włosy; ich płomienny kolor przyciągał go jak ćmę. Ale zaraz potem dodawał, przypierając mnie do ściany, że najbardziej mu się podobają moje stopy. Lubił małe stopy, a moje były białe, zadbane... czyżbym sama tego nie zauważyła? A jeszcze później, gdy popadał w poważny nastrój, twierdził, że łączy nas praca. Myśleliśmy w podobny sposób o tym, co mieliśmy opisać.

Kiedyś nocą, gdy wracaliśmy taksówką do domu, a po mokrym od deszczu chodniku prześlizgiwały się światła, znów zadałam mu to samo pytanie.

- Bo pozwoliłaś się posiąść - odparł, opierając rękę na moim udzie, z charakterystycznym uśmiechem rozpoczynającym się i kończącym w kąć ust.

Napisałam do matki, że kocham pewnego mężczyznę. Dodałam, że mój wybranek ma spore osiągnięcia w swoim zawodzie. Napisałam, że on też mnie kocha, i jeszcze, że jest wysokim, przystojnym brunetem. Wyrzuciłam nadzieję, że jej się spodoba.

Wiedziałam, jak bardzo się ucieszy.

Nie kłamałam, ale nie napisałam ani słowa prawdy.

A prawda była taka, że dużo piliśmy. Najpierw w barach, gdzie otaczał nas świat, a potem stawialiśmy przy łóżku otwartą butelkę wina i dwa kieliszki. Albo szampan w wiaderku. Często piliśmy szampana. Wtedy nasze picie miało uroczysty charakter. Każdego wieczoru szukaliśmy okazji do świętowania. W pustych pokojach apartamentu Harrollda zapalaliśmy świece, a rano znajdowałam ubranie porzucane w korytarzu i delikatne kieliszki obok wanny. Gotowałam w sukni z granatowego aksamitu. Dostałam ją w prezencie od Harrollda. Suknia była na mnie za duża i czułam się w niej zagubiona. W kuchni stał okrągły stół z gładkim szklanym blatem, a wokół niego cztery krzesła podobne do tych, które często widuje się we Francji. Na stole nie mogło zabraknąć czerwonego wina do posiłku, a piliśmy aż do chwili, gdy wypalała się w nas erotyczna gorączka i mogliśmy spokojnie zasnąć.

Mój pierwszy kochanek - kolega z uczelni - w porównaniu z Harroldem był po prostu dzieckiem. Nie zamierzał odkrywać przede mną żadnych mrocznych tajemnic, bo ich nie posiadał. Ja oczywiście również byłam dzieckiem i chociaż piliśmy czasem w weekendy słodkie drinki, traktowaliśmy to wyłącznie jako pewien sposób spędzania czasu. Picie z Harroldem miało inny charakter. Toniliśmy.

Pamiętam, jak kiedyś w pewną gorącą noc siedzieliśmy w sypialni, ja w samych majtkach. Harrold zapalił papierosa i wyciągnął rękę, żeby mi go podać. Właściwie nie paliłam, chyba że dla towarzystwa. Lubiłam te jego zagraniczne papierosy, pachnące jak kwiaty w wilgotnym lesie.

On nadal miał na sobie ubranie. Pamiętam dokładnie sztywny niebieski materiał jego koszuli i poluzowany krawat. W milczeniu paliliśmy tego samego papierosa, ale ogarnęło mnie przeczucie, że coś się za chwilę wydarzy.

Siedziałam na skraju łóżka, ze skrzyżowanymi gołymi stopami. On rozwalił się nieopodal na krześle, opierając łokieć o kolano. Obserwował mnie uważnie, nie spuszczał oczu z mojej twarzy, śledził każdy mój gest, a ja miałam ochotę się roześmiać, żeby odwrócić od siebie jego uwagę.

Ale wtedy wstał, zabrał mi papierosa, od razu go zgasił, wziął mnie pod pachy, a następnie położył na łóżku. Pamiętam, że krążył nade mną jak ptak, nie zdjął nawet ubrania, tylko podniósł mi nadgarstki na wysokość węgłowia, a dopiero potem odwiązał krawat. Pasek od spodni Harrollda uderzył mnie lekko w żebra, szorstki materiał koszuli musnął twarz, a krawat owinał się wokół przegubu. Wdychałam z rozkoszą zapach jego ciała poprzez zgrzebną tkaninę, a później, gdy mówił, że mnie kocha, i

wykrzykiwał moje imię, prześladowała mnie tylko jedna myśl. Zastanawiałam się nad tym, czy Harrold wyczytał tę scenę z mojej twarzy.

Któregoś dnia rano stałam przed lustrem i ubierałam się do pracy. Włożyłam piękną, długą, bogato haftowaną sukienkę z indyjskiej bawełny. Harrold - w samych slipkach - szukał skarpetek w przepastnych szufladach komody. Odwróciwszy głowę, popatrzył na mnie badawczo.

- Powinnaś nosić krótsze spódniczki - powiedział - masz ładne nogi. I nie upinaj włosów. O wiele ładniej wyglądasz z rozpuszczonymi.

Wyjęłam szpilki z ust, włosy opadły mi luźno na plecy.

- Mogłabyś wyglądać całkiem seksownie - dodał po chwili. - Masz całkiem dobre zadatki.

Wtedy znałam go dopiero trzy miesiące, najwyżej cztery.

Tego dnia w porze lunchu poszłam do domu towarowego i kupiłam dwie spódnice, zdecydowanie krótsze od tych, które zwykle wkładałam. Wręczając pieniądze sprzedawczyni, myślałam, że Harrold próbuje mnie zmienić lub też raczej pragnie, żebym była inna, niż jestem.

Wtedy zaczęły się prezenty. Harrold miał pieniądze, więc przywoził mi najróżniejsze rzeczy z Europy, z Kalifornii, a nawet z Tajlandii i Sajgonu. Na samym początku obdarowywał mnie biżuterią, jedynie z rzadka ubraniami. Później przywoził głównie stroje z pięknych, kosztownych materiałów, na które sama nie mogłabym sobie pozwolić. Nigdy przedtem nie nosiłam tak zmysłowych, dziwnych sukien, ale gdy zaczęłam się w nie ubierać, czułam, że powoli staję się kobietą z jęgar marzeń.

Na samym końcu przyszła kolej na bieliznę. Harrold kupował erotyczne, wyuzdane komplety w Paryżu albo na Wschodzie i kazał mi je wkładać do biura. Mówił, że tylko on będzie o tym wiedział, a ja - by zagłuszyć niepokój - powtarzałam sobie bez przerwy, że to taka zabawa, nic więcej.

Powiedział, że powinnam trzymać się prosto, nie zaciskać nerwowo dłoni, nie przeczesywać palcami włosów.

- Zwracam ci na to uwagę wyłącznie dla twojego dobra - wyjaśnił. - Bo cię kocham. I bardzo mi na tobie zależy.

Opiekował się mną w redakcji. Nie mogłam się poszczycić zbyt wielkim talentem, ale on bardzo mi pomógł. Wziął mnie pod swoje skrzydła, co było oczywiście bardzo podniecające. Miał władzę, której czasem nie potrafiłam się oprzeć. W barze po pracy czytał często moje reportaże, wprowadzał do nich zmiany, proponował poprawki. A jak zdarzało mi się utknąć na martwym punkcie, zawsze wiedział, kogo poprosić o pomoc. Nauczył mnie też, jak rozmawiać z przełożonymi - powiedział, co wolno przed nimi

odsłonić, a co skrzętnie ukrywać. Kiedy zachorowałam, napisał za mnie reportaż. Udało mu się nawet podrobić mój styl.

Poradził mi, żebym odmówiła pisania wyłącznie o modzie. Ale ja się bałam, że stracę pracę. Harrold nie rezygnował i tak mnie podpuszczał, że w końcu zebrałam się na odwagę. Zrobiłam dokładnie tak, jak mi poradził, ale nic złego się nie stało. Przeciwnie, zostałam przeniesiona do działu krajowego i przydzielono mi więcej miejsca do pracy.

Przyjmowałam wszystko, co mi ofiarowywał, godziłam się na każdy plan. Taki w końcu zawarliśmy układ, prawda?

Kiedyś, mniej więcej po roku znajomości, wróciłam do domu przed Harroldem. Siedziałam w kuchni przy stole, czytałam gazetę. Nie miałam ochoty na drinka. Nie poszłam z nim do baru, bo bolała mnie głowa. Później się okazało, że złapałam grypę, ale jeszcze nie zdawałam sobie z tego sprawy. Usłyszałam jego kroki na schodach, przestałam czytać. Zgrzytnął klucz w zamku, a ja stwierdziłam ze zdumieniem, że nie chcę widzieć Harrolda. Pragnęłam zostać sama. A powód? Czy koniecznie zawsze trzeba szukać powodu? Może byłam zmęczona. Nie chciałam musieć niczego dawać ani też niczego brać. Czulałam się tak wtedy po raz pierwszy, odkąd go poznałam.

Wszedł do kuchni i widocznie to zauważył. Zapewne dlatego, że nawet na niego nie spojrzałam, nie odrywałam wzroku od gazety. Poczulałam nagły przypływ buntu przeciwko temu niespodziewanemu najściu.

Zdjął marynarkę, powiesił ją na krześle. Poluzował krawat, odpiął kołnierzyk koszuli. Oparł ręce na biodrach, popatrzył na mnie.

- Masz ochotę na drinka? - zapytał.

- Nie, boli mnie głowa - odparłam.

- Napij się, to pomoże - namawiał.

- Naprawdę dziękuję.

Zaszedł mnie od tyłu, położył mi ręce na ramionach i zaczął masować mięśnie u nasady karku. Powinnam była się odprężyć, ale nie mogłam. Wiedziałam, jak rozumieć ten gest. Harrold zamierzał mnie dotykać nawet wtedy, kiedy sobie tego nie życzyłam, a nawet szczególnie w takich sytuacjach.

Próbowałam siedzieć spokojnie i nie protestować. Cały czas sobie wmawiałam, że to się zaraz skończy. Ale jego palce uciskały mnie zbyt boleśnie. Odsunęłam się nagle, wstałam. Zamierzałam powiedzieć, że nie czuję się dobrze i chcę zostać sama, ale on chwycił mnie za rękę i mocno przytrzymał.

Nie pamiętam wszystkiego, co się działo - pokój zaczął wirować mi przed oczyma. On przyparł mnie do lodówki, metalowy uchwyt drzwiczek wbił mi się boleśnie w plecy. Harold był niesamowicie silny. Przedtem mogłam się jedynie tego domyślać. Zadarł mi spódnice aż do talii, chciałam go od siebie odepchnąć, ale przygwoździł mi nadgarstek do metalowych drzwiczek. Przeszył mnie nagły, ostry ból. Myślałam, że mam złamaną rękę. Bardzo się wtedy bałam. Zdawałam sobie dokładnie sprawę z tego, że Harold może zrobić mi krzywdę. On robił mi krzywdę. Był potężnie zbudowanym mężczyzną - chyba już o tym wspominałam - i chociaż próbowałam z nim walczyć, na nic się to nie zdało.

Zaprzestałam więc oporu i stałam się biernym uczestnikiem tej gry. Potem, kiedy już było po wszystkim, on mnie przytulał, a ja nie chciałam myśleć o znaczeniu tych kilku chwil, wydawało mi się, że miłość, seks i przemoc różnią się od siebie jedynie i natężeniem. Z pewnego punktu widzenia incydent przy lodówce nie różnił się niczym od tego, co miało miejsce wcześniej.

W końcu zaniósł mnie na łóżko i otulił kołdrą. Obłożył mi lodem ręce, były posiniaczone, ale na szczęście nie połamane. Dotknął ustami mego nadgarstka i powiedział, że mu przykro. Nie przeproszał. Raczej mi współczuł, gdyż wiedział, że cierpię.

Przygotował nam posiłek, jedliśmy na łóżku. Był mi chyba wdzięczny, a ja uświadomiłam sobie wtedy, że staliśmy się sobie bliżsi - widocznie im większe podejmowaliśmy ryzyko, im więcej mieliśmy tajemnic, tym dalej przesuwaliśmy granice tego, co dozwolone, i tym bardziej się ze sobą łączyliśmy.

W nocy dostałam gorączki. Możliwe, że myślę kolejność wydarzeń, ale chyba właśnie wtedy on napisał za mnie reportaż. I wtedy też poprosił mnie o rękę.

Potem, przez te kolejne miesiące i lata, już zawsze tak było:

Harold wyrządza! mi krzywdę, a następnie proponował sowitą rekompensatę. Jeśli już się godziłam ją przyjąć, rozumiał, że mu przebaczyłam.

Nigdy nie wypowiedział na głos słowa „gwałt”. Mnie ono również nie mogło przejść przez gardło. Obiecałam, że zostanę jego żoną. Wyjechał do Pragi. Miałam mieszkanie tylko dla siebie. Dręczyła mnie gorączka. Nie chodziłam do pracy.

Już wtedy czułam, że jestem uzależniona. Piłam sama, bo to była nić, która łączyła mnie z Harroldem. Podchodziłam do okien, okien bez firanek, wychodzących na ulice, i siedziałam przy nich godzinami, myśląc o nas.

Kręciłam się po pokojach, dotykałam jego rzeczy, szperałam mu po kieszeniach, szukałam notatek, dzięki którym mogłabym się dowiedzieć czegoś więcej. Czytałam jego notesy, próbowałam przyjąć jego sposób myślenia.

Ale nawet wtedy zdawałam sobie sprawę z tego, że w niczym nie przypominamy innych ludzi. A jeśli nawet byliśmy do nich podobni, to ja przynajmniej nie słyszałam o takim obliczu miłości. Harrold wyobrażał sobie, kim mogłabym być, po raz pierwszy miał tę wizję tego dnia, kiedy się poznaliśmy, a potem uparcie dążył do realizacji swych marzeń. Byłam jak glina w jego rękach - widział we mnie gwiazdę, swoją protegowaną, swoją własność. Być może dopuszczam się zbyt wielu uproszczeń, ale chyba jednak nie. Popadałam w tarapaty tylko wtedy, kiedy nie przystawałam do tej wizji - wyłącznie wówczas, gdy zachowywałam się lub czułam w sposób nie pasujący do jego planów.

A więc czyżbym to ja poniosła porażkę, ponieważ nie potrafiłam przyjąć bez zastrzeżeń tej nowej tożsamości, choć do redakcji wkładałam kosztowną bieliznę, skróciłam spódnice, chłonełam chciwie wszystkie jego rady?

Bo we mnie istniało zawsze coś trudnego do zidentyfikowania - coś, co sprzeciwiało się kategorycznie tej obróbce. Na początku ten opór wydawał mi się kłopotliwy; zagrażał bowiem moim interesom.

Potem jednak, gdy zaczęłam się otwarcie buntować, Harrold rozszerzył repertuar. Zaznałam subtelnej pogardy, zawołowanej kpiny, lodowatej ciszy, obecności, nieobecności... Był prawdziwym wirtuozem, wspaniałym pianistą. Ale nie chcę uprzedzać wypadków.

Bywało dobrze, nie jestem pewna, czy już o tym wspominałam. Przy kuchennym stole opowiadał mi o swoich podróżach, zabawnych nieporozumieniach, komediowych sytuacjach, ludziach, których na podstawie jego opisu z łatwością potrafiłam sobie wyobrazić. Harrold był typem gawędziarza, chował dla mnie wszystkie barwne szczegóły, których nie mógł zamieścić w swoich reportażach, więc kiedy wracał do domu z długiej podróży, miałam zapewnioną rozrywkę.

Czasem leżeliśmy na podłodze w salonie, dotykając się tylko ramionami, opieraliśmy głowy o poduszki i słuchaliśmy wybranej przez niego muzyki. Paliliśmy papierosy albo piliśmy wino i panował między nami zwodniczy rodzaj spokoju.

A czasem, zanim inni zdążyli się o nas dowiedzieć, siadaliśmy przy owalnym stole w sali konferencyjnej, wszyscy dyskutowali o okładce, pomysłach na reportaż, ktoś mówił coś, co wcale nie miało być zabawne, ale było, a ja udawałam, że odwracam głowę, by rzucić okiem na zegar lub

też wyrzec przez okno, chwyciłam jego spojrzenie, dostrzegałam leciutko uniesioną brew lub kącik ust i w tym ułamku sekundy posyłaliśmy sobie niewidoczny uśmiech, tak szeroki, iż mógł nam wystarczyć na cały ranek.

Kiedy wrócił z Pragi, oznajmił, że pojedziemy na Rhode Island, żeby zawiadomić ojca o ślubie. Niewiele mówił o ojcu; wiedziałam tylko, że starszy pan ma na imię Harrold, przez dwa „r”. To samo imię nosił jego dziad, pradziad, i tak dalej. Pewnie kiedyś ktoś popełnił błąd albo wpadł na ten afektowany pomysł - i tak już zostało, a Harrold, mój Harrold, nie mógł się absolutnie zmusić do tego, żeby zmienić pisownię swego imienia, choć sam nie znalazł jego genealogii.

Dom ojca, położony na wodzie, okazał się przepastny, pełen pustych pokoi i stanowił swoisty prototyp apartamentu na Manhattanie. Pochodził z połowy dziewiętnastego wieku lub też z przełomu wieków, nie mogłabym dać za to głowy. Miał szary szalunek, werandę i dużo okien różnej wielkości. Stały w nim ciężkie, ciemne, męskie meble. Już w chwili, gdy wjeżdżaliśmy na podjazd, wyczułam, że w Harroldzie zaszła jakaś zmiana. Ucichł, zamilkł. Wyłączył radio. Zmarszczył czoło, zaciął usta. Jeszcze zanim zaparkowaliśmy, powiedział, że to był kiepski pomysł. Ja jednak natychmiast zaprotestowałam i oświadczyłam, że marzę, by poznać jego ojca.

Jeszcze w mieście ogarnęła nas szalona radość, czuliśmy się tak, jakbyśmy otwierali okiennice i wpuszczali światło do zaciemnionego pokoju. Myśleliśmy - choć żadne z nas nie powiedziało tego głośno - że może w końcu, poprzez małżeństwo, uda się nam połączyć ze światem. Po tamtej nocy w kuchni walczyliśmy o poczucie normalności. Już poprzedniego dnia, kiedy tylko Harrold wrócił z Pragi, powiadomiliśmy o ślubie kolegów z pracy. A jeszcze bardziej niż samo przekazanie tej nowiny bawił nas widok ich zdziwionych twarzy.

Ojciec Harrolda był starszym, zasuszonym mężczyzną, najwyraźniej chorym. Niegdyś z pewnością wysoki i postawny, z wiekiem skurczył się wyraźnie i przygarbił. Zaczesawał włosy z czoła zgodnie z modą obowiązującą w minionej epoce. Miał oczy Harrolda - czarne i nieprzeniknione, bystre, lecz obojętne. Poplamione nikotyną palce, w których trzymał papierosa, lekko mu drżały. Siedział zatopiony w wygodnym fotelu z ciemnego drewna, ubrany w szary garnitur, kiedyś z pewnością szyty na miarę, teraz stanowczo zbyt obszerny.

Pamiętam, że przy oknie stała gospodyni. Harrold wyszedł na środek pokoju, ale nie zbliżył się do ojca. Odniosłam wrażenie, że ci dwaj mężczyźni nie dotykali się od lat, więc nie mogli tego uczynić i w tamtym

momencie. Harrold obejrzał się nagle, żeby na mnie popatrzeć - szłam za nim w obawie, że każe mi nagle wyjść z pokoju, jakby jego ojciec był kimś, kogo nie powinnam oglądać, czy też to on nie powinien oglądać mnie, nie wiem... Nigdy nie widziałam go w takim stanie - był wyraźnie zagubiony, zmałał. Teraz nawet jego ojciec wydawał się większy. Stałam u boku Harrolda, dokonał prezentacji. Podeszłam do starszego pana, wymieniłam z nim uścisk dłoni. Miał suchą, szorstką rękę.

- Zrób nam drinka, Harry - powiedział, ale nie zabrzmiało to jak prośba.

Zwróciłam uwagę na zdrobnienie. Nikt go tak przy mnie dotąd nie nazywał. Co najwyżej czasem ktoś z redakcji wołał: „Hej, tam, English!” Zobaczyłam, jak Harrold sięga po szklanke. Przyrządził po dużym scotch dla mnie i dla ojca. Nikt nie zaproponował, żebym usiadła, ale zajęłam miejsce na skórzanej kanapie. Ten pokój nie wyglądał jak typowy salon, przypominał raczej gabinet, choć pod oknem wychodzącym na wodę stała leżanka.

W całym domu panował spokój - jedynie w powietrzu wirowały nieustannie drobinki kurzu.

- Ty też piszesz do tego szmatławca - powiedział ojciec Harrolda zgrzytliwym głosem nadającym pytaniami charakter stwierdzeń.

Stojący przy barku Harrold wypił już drinka i szybko nalał sobie nowego. Mogłam się założyć, że jego ojciec to zauważył. Te oczy widziały wszystko, choć ciało było nieruchome. Odparłam, że owszem, pracuję z Harroldem. Harrold milczał, a ja bardzo się denerwowałam, więc powiedziałam jeszcze bezmyślnie - tylko po to, żeby jakoś wypełnić tę ciszę - że wiele o nim słyszałam, co nie było prawdą. Na koniec wspomniałam jeszcze o fabryce tekstyliów, którą English senior podobno stworzył od podstaw, czego rzeczywiście dowiedziałam się po drodze od Harrolda.

- Mógł przejąć interes, gdyby zechciał, ale teraz firma przeszła w obce ręce - stwierdził stary mężczyzna, jakby syna nie było w pokoju. W jego głosie wyraźnie przebijała gorycz.

- Pobieramy się - oznajmił szybko Harrold, jak uczeń, który pragnie tylko zmienić temat, a ja zmarszczyłam brwi, słysząc, że wykorzystuje tę informację właśnie w takim celu.

W pokoju zapadła cisza. Pomyślałam, że może Harrold za bardzo zaszokował ojca, który - zapewne nie przygotowany na taką ewentualność - z wrażenia zupełnie stracił głowę.

- Możecie zostać na kolacji, ale ja nie zamierzam wam towarzyszyć. Ostatnio jadam sam - powiedział w końcu nasz gospodarz po dłuższym milczeniu.

Zerknęłam na Harrolda, ale on się ode mnie odwrócił i popatrzył na wodę. Pomyślałam, że może jego ojciec jest głuchy, bo to by tłumaczyło grubiańskie zachowanie. Jeśli pan English naprawdę nie słyszał słów syna, to powinnam mu je powtórzyć i wyrazić nadzieję, że przyjdzie na wesele. Zamierzałam powiedzieć to wszystko na tyle głośno, by mnie zrozumiał. Już otwierałam usta, kiedy nagle mi przerwał.

- Czym się zajmuje twoja rodzina? - spytał ochrypłym głosem i odkaszlnął.

Zrozumiałam, że słyszał, ale nie zamierza udzielić synowi błogosławieństwa ani nawet przyjąć do wiadomości informacji o jego ślubie.

Harrold wyszedł z pokoju na werandę. Potem usłyszałam jego kroki na schodkach i zobaczyłam, jak zmierza w kierunku plaży.

Odpowiedziałam na pytanie. Mówiłam o rodzinie, o matce. Zauważyłam, że jest rozczarowany. Widocznie się ludził - mimo tej pozornej obojętności - że jego syn przynajmniej potrafi się dobrze ożenić. Skinął na służącą, żeby nałala mu drinka. Byłam ciekawa, czy on tak siedzi cały dzień, pijąc scotcha i nie ruszając się ani na krok z tego grobowca.

Przeprosiłam, powiedziałam, że zaraz wracam. Wysłałam poszukać Harrolda na plaży. Widziałam, jak spaceruje po piasku, nie zdejmując butów. Ręce trzymał w kieszeniach spodni, a płaszcz i krawat powiewały na wietrze. Oboje ubraliśmy się elegancko na to spotkanie. Zdjęłam buty i zaczęłam biec w jego kierunku. Krzyknął, że woli zostać sam. Wołałam mu jednak nie wierzyć, więc go dopędziłam. Harrold mrużył oczy przed słońcem, włosy rozwiewał mu wiatr.

- Nie powinniśmy byli tu przyjeżdżać - powiedział. - Zawsze tak się to kończy. Mój ojciec jest alkoholikiem.

Tak jakby to mogło wszystko usprawiedliwić, ten chłód, pogardę, kpinę... A przecież nie usprawiedliwiało.

- Jak umarła twoja matka? - spytałam.

Z początku nie odpowiadał. Odwrócił się, podszedł do wydmy i usiadł. Tam, na plaży, wyglądał niemal komicznie w tym eleganckim garniturze. Zrobiło mi się go żal. Miał okropnego ojca, ale nie mogłam mu tego powiedzieć.

Usiadłam obok.

Po jakimś czasie zaczął mówić. Kiedy miał dziesięć lat, jego matka zachorowała na raka. Na raka piersi. Nie zdawał sobie sprawy z tego, że ona umiera. Wiedział o operacjach, szpitalu, ale matka wciąż mu powtarzała, że wyzdrowieje, więc jej wierzył. Musiał. Przecież miał dopiero dziesięć lat.

Tego szczególnego dnia poszedł do kuchni po szklanekę wody. Popołudnie było wyjątkowo gorące, a on otworzył wahadłowe drzwi z rozmachem typowym dla chłopców i uderzył w plecy ojca tulącego w objęciach siostrę matki. To nie był przyjacielski uścisk. Teraz wie, że ojciec nie przywiązywał do tego incydentu żadnej wagi, ale wtedy - jako chłopiec - widział to wszystko nieco inaczej. Wiele już rozumiał, choć jeszcze nie wszystko. Uciekł z kuchni i pobiegł na wydmy. Płakał. Płakał z żalu nad ojcem, matką, płakał ze wstydu, gorącymi, szczerymi łzami dziesięcioletka.

Potem dodał, że tego dnia dokonał jedyne go straszliwego czynu swego dzieciństwa.

Wieczorem, myśląc, że matka jakoś to sobie wytłumaczy, zaczął jej opowiadać, co się wydarzyło. Gdy zrozumiał, że jednak nie może, nie potrafi mówić dalej, ona i tak już odczytała wszystko z jego twarzy. Słyszała zbyt wiele, żeby można to było cofnąć.

Od tamtej pory przestała rozmawiać z mężem. Umarła kilka tygodni później, nie odezawszy się do niego ani słowem, a ojciec nigdy mu nie wybaczył.

- Ja zwinilem bardziej - powiedział Harrold, patrząc mi prosto w twarz.
- Tak boleśnie ją zraniłem.

Zrozumiał swój błąd właściwie natychmiast i próbował porozmawiać na ten temat z ojcem. Ale English senior okazał się twardy. Zawsze był twardy. A rodzinę i firmę chciał stworzyć na wzór i podobieństwo swoje.

- Nienawidzę sukinsyna, zmywajmy się stąd - warknął Harrold na koniec.

W milczeniu pojechaliśmy do miasta. Po trzech szybkich drinkach wypitych w środku dnia nie był pijany, tylko trochę otepiały. Ja czułam się zawiedziona, to wszystko nie wyglądało tak, jak sobie wymarzyłam. Miałam nadzieję, że będziemy szczęśliwi. Nie wyobrażałam sobie tylko ślubu w kościele. To by do nas jakoś nie pasowało, chociaż sam ślub wydawał się nieunikniony.

Powiedziałam, że pojedę do Chicago zawiadomić matkę. Nie prosiłam go nawet, żeby mi towarzyszył, bo i tak na pewno by się nie zgodził.

Czyżby to więc był powód? Czy dlatego mężczyzna, którego darzyłam uczuciem, okazał się zły i brutalny? A jeśli nawet tak, czy możemy mu to wybaczyć?

Jak zatem wytłumaczyć oziębłość i brutalność jego ojca? Grzechem dziadka?

Dziedzictwem, którego ciągłość przerwałam?

Próbuję powiedzieć prawdę. Musi pani zrozumieć, że pragnęłam Harrolda, wierzyłam w nas i dlatego od niego nie uciekłam. Później bałam się odejść, to było proste, ale na początku, kiedy jeszcze mogłam temu wszystkiemu zapobiec - nie chciałam.

Widzi pani, ja kochałam Harrolda. Naprawdę go kochałam. Nawet tego dnia, kiedy go opuściłam, kiedy tak bardzo się go bałam.

A teraz się zastanawiam, czy to była choroba, czy też dała o sobie znać ta najlepsza strona mojej duszy?

Dostałam dzisiaj od pani wiadomość. Wiedziałam, że bardzo się pani zdziwi moją przesyłką. Widzę, jak kładzie pani paczkę na biurku i patrzy z niedowierzaniem na pierwszą stronę, zastanawiając się, co też to może być, a potem twarz się pani zmienia, bo wreszcie pani rozumie, że praca w Maine nie poszła na marne - leży przed panią gotowy artykuł.

Widzę panią w białej bluzce i spódnicy, bez zrzuconych w pośpiechu butów. Żakiet wisi za panią na krześle. Pochyliła się pani, czyta, co napisałam. W głębokim namyśle przykłada rękę do czoła. Jasne włosy, upięte szylkretowymi spinkami, odgarnęła pani za uszy. Być może, zaafierowana lekturą, odpina pani spinkę i poprawia palcami fryzurę.

A potem zamówi pani drinka do lunchu, może kieliszek wina. W głowie będą wirować tysiące pomysłów na tę historię. Ma pani reportaż, musi tylko dopilnować, żeby tekst poszedł do druku we właściwym momencie. A już na pewno przed ogłoszeniem wyroku. Potem nikt się już nim nie zainteresuje. Myśli pani, że dzięki tej historii zrobi karierę. Dzięki niej będzie mogła się wybić, pokaże światu, jaka jest dobra. Udowodni pani, że potrafi ocenić to sprawiedliwie.

Nawet jeśli tak, nie pozna pani prawdy, a już tym bardziej jej nie napisze. W końcu powstanie artykuł zawierający z konieczności pani własne poglądy - a zredagują go jeszcze pani zwierzchnicy - po czym trafi do rąk czytelników., z których każdy odbierze go zupełnie inaczej. Tak więc wkrótce, jeszcze zanim zacznie pani pisać kolejny reportaż, wszyscy zapomną, co się właściwie wydarzyło w St. Hilaire.

Pobraliśmy się w zimie. Moja matka promieniała, choć nie wzięliśmy ślubu w kościele. Wypełniłam nasz apartament kwiatami, chciałam, żeby wyglądał wesoło. A po ceremonii urządziliśmy przyjęcie dla kolegów z redakcji.

Nasi koledzy plotkowali i długo zastanawiali się nad tym, dlaczego Harrold wybrał Maureen. Miałam suknię w kolorze kości słoniowej, a na głowie wianek. Tego ranka pozwoliłam się uczesać mamie, która upięła mi włosy grzebieniami. Byłam pełna optymizmu i dałam się ponieść nastrojowi

chwili. Skoro wydawaliśmy się szczęśliwi, w pokojach świeciło słońce, a otaczali nas życzliwi ludzie z mamą na czele, czyż nie miałam powodów do radości?

Wkrótce po weselu musiałam pojechać do Los Angeles - na wybrzeżu rozlała się ropa, więc ja i moi dwaj koledzy, reporter i fotograf, mieliśmy dokumentować to wydarzenie.

Koledzy mieszkali razem, ja zajęłam sąsiedni pokój, ale często się odwiedzaliśmy, uzgadnialiśmy szczegóły, oglądaliśmy telewizję, zamawialiśmy jedzenie z restauracji.

Pewnego wieczoru zadzwonił do mnie Harrold. W moim pokoju był wtedy Robert, który akurat zapisywał, co chciałabym zjeść. Wychodząc, krzyknął od drzwi, że tym razem on płaci. Harrold usłyszał jego głos.

- Czy to Robert? - spytał, a ja odpowiedziałam, że tak. - Co robi w twoim pokoju? - indagował.

Wtedy się roześmiałam i to prawdopodobnie był błąd. Nie powinnam się była śmiać. Dosłyszałam chłód w jego głosie.

- O co chodzi, Harroldzie? - szepnęłam.

- Nic - odparł, ale ja znałam to „nic”. Zawsze tak mówił, jak był zły i nie chciał rozmawiać.

A ja jeszcze pogorszyłam sprawę, bo zaczęłam się tłumaczyć.

- Robert i Mike zawsze u mnie siedzą - wyjaśniałam. - Jadamy razem kolacje. To nic nie znaczy. Przestań się wygłupiać.

Przestań się wygłupiać.

- Dobrze - odparł krótko.

Na lotnisko dotarłam późno, wzięłam taksówkę. Czekał na mnie, siedział na krześle w sypialni. Widać było, że dużo wypił. Wstał, zawahał się i podszedł do mnie.

- Harroldzie... - zaczęłam.

- Z którym sypiasz? - spytał, robiąc krok naprzód.

Uniosłam ręce. Tak, naprawdę je uniosłam.

- Nie bądź śmieszny - powiedziałam, ale drżenie w moim głosie wyraźnie wskazywało na to, że chcę się jakoś z tego wykręcić. Przez niego czułam się winna, choć nie miałam ku temu żadnego powodu. - Harroldzie - powtarzałam, cofając się pod ścianę - na miłość boską...

Położył mi ręce na ramionach i mocno mną potrząsnął.

- Znam takie wycieczki, wiem, co się na nich wyprawia.

- Co to znaczy? - spytałam.

- To znaczy, że wiem, co się na nich wyprawia - powtórzył. Odepchnęłam jego ręce.

- Zwariowałaś - powiedziałam. - I w dodatku jesteś pijany.

Odrzuciłam się do drzwi, jakbym zamierzała odejść, ale przedtem zdążyłam wyprowadzić go z równowagi - nie wiem, czy przypuszczeniem, że zwariował, czy oskarżeniem o pijaństwo. Chwycił mnie z tyłu za włosy i odciągnął mi głowę. Nie wierzyłam, że to się dzieje naprawdę. Niczym na zwolnionym filmie widziałam, jak jego ręka zatacza łuk i trafia mnie w skroń. Runęłam na ścianę, zakrywając twarz ramieniem. Osunęłam się na podłogę.

Nie ruszałam się. Nie drgnął mi żaden mięsień. Bałam się nawet głębiej odetchnąć. Usłyszałam nad sobą głos.

- Boże - powiedział, widząc, że wybił dziurę w tynku. Chwycił płaszcz i klucze, po czym wyszedł z mieszkania. Przez trzy dni nie wracał do domu. Nie pojawił się też

w redakcji. Kryłam go, mówiłam, że jest chory. Powiedziałam, że taksówkarz z lotniska otworzył drzwiczki akurat w chwili, kiedy się nachylałam, i niechcący trafił mnie w twarz.

Już za pierwszym razem, kiedy pani kłamie tylko po to, żeby kogoś osłonić, zostaje pani jego współniczką i jest zgubiona na zawsze.

Chcę pani opowiedzieć o czymś, czego byłam świadkiem w St. Hilaire. A właściwie to w Machias, podczas zakupów w A&P. Caroline trzymałam w koszyczku na wózku i chodziłam po dziale owocowo-warzywnym, przeliczając pomarańcze, kiedy nagle usłyszałam za sobą hałas. Odrzuciłam się i zobaczyłam idącą szybko kobietę, a wraz z nią sześć- czy siedmioletniego chłopca. Mały płakał, starał się bezskutecznie za nią nadążyć. Kobieta była niska, raczej otyła. Miała na sobie krótki płaszcz i chustkę w kwiaty.

- To ty zgubiłeś pieniądze - warknęła. - Nic ci na to nie poradzę. Koniec ze słodyczami. Dałam ci dolara, a ty go od razu posiałeś.

Na jej twarzy wyraźnie malowała się wściekłość, nawet nie patrzyła na dziecko.

Chłopiec zaczął biec jeszcze szybciej, chwycił ją za rękę. Odrzuciła się na pięcie i wyrwała mu dłoń z takim obrzydzeniem, jakby dotknęła węża.

- Zostaw mnie! - wrzasnęła i znów zaczęła się od niego oddalać. Szedł za nią, bo nie miał dokąd pójść. Wiedziała, o czym myśli. Musiał ją odzyskać. Musiał ją jakoś przekonać, żeby go znowu polubiła, bo inaczej jego świat rozpadłby się nagle na drobne kawałki.

Miał na sobie stary zimowy płaszcz, pewnie po starszym bracie, bardzo krótko obcięte włosy, z nosa mu kapalo. Skręcił za nią w inną alejkę i straciłam go z oczu.

Zrobiłam zakupy, zapłaciłam i poszłam na parking, żeby je włożyć do samochodu. Obok mego auta parkowało powyginane, gdzieśgdzie zardzewiałe combi. Za kierownicą siedział mężczyzna z papierosem w ustach. Włosy wyraźnie mu rzedły, zauważyłam na jego policzkach ciemne ślady zarostu. Napotkana przeze mnie kobieta opowiadała mi, co zaszło. Gwałtownie gestykulowała, zerkając raz po raz w kierunku siedzącego z tyłu chłopca, który zwinął się w kłębek i naciągnął kaptur na głowę. Płakał, siąkał nosem, głowę położył na kolanach.

- Chryste Panie! - wrzasnął facet. - Co cię napadło? Skrętyniałaś? Jak jesteś taka głupia, żeby dawać dzieciakowi pieniądze, to masz teraz za swoje!

Syknął z niesmakiem i włączył stacyjkę.

Kobieta odwróciła głowę, niechcący w moim kierunku. Nie patrzyła na mnie, ale wyczytałam wszystko z jej twarzy. Tę mieszaninę gniewu, rezygnacji, pragnienie, żeby się stamtąd wyrwać. Była wyraźnie wyczerpana, opadła z sił. Nienawidziła siedzącego obok mężczyzny, ale nie była w stanie mu tego powiedzieć. Wyladowywała swój gniew na skulonym z tyłu chłopcu.

Myślałam, że podobnie jak ona, ja również nigdy nie odzyskam wolności, bo wolność przypominała ten odległy punkt, w którym łączą się tory. Nie było sposobu, by tam dojść.

Czwartego dnia Harrold pojawił się w pracy i tego wieczoru wrócił do domu. Nie wiedziałam, gdzie się podziewał, a on mi się nie tłumaczył. A ja już powoli uczyłam się ostrożności, nie zadawałam określonych pytań, nie używałam pewnego języka. Obiecał, że to się nigdy nie powtórzy, a ja mu uwierzyłam. Wyraził skruchę i zaczął się usprawiedliwiać - przede mną lub przed sobą - że sama myśl o mnie z innym mężczyzną doprowadzała go do szaleństwa. No i za dużo wypił. Postanowił ograniczyć picie, choć nigdy nie popadł w alkoholizm - w przeciwieństwie do swego ojca. W niczym go nie przypominał.

A mnie nie wolno nikomu o tym powiedzieć. Muszę mu przysiąc, że będę milczała jak grób.

Nie wyjeżdżałam więcej w delegacje. Wykręcałam się, jak mogłam. Twierdziłam, że cierpię na chorobę lokomocyjną, bardzo źle się czuję w samochodzie i samolocie. Pozostało mi opracowywanie materiałów.

Nie uderzył mnie przez kilka miesięcy, ale jest wiele poziomów przemocy, nie musi to być maltretowanie fizyczne. Istnieje coś znacznie gorszego, bardziej zdradzieckiego niż bicie. Wtedy jeszcze nie całkiem

rozumiałam, na czym to wszystko polega, on chyba również nie, ale nie potrafił się przed tym powstrzymać.

Cios jest niemal ulgą. Uzyskuje się przewagę, bo napastnik nie może się nie przyznać do winy. Może cię co najwyżej jeszcze trochę postraszyć, ale traci częściowo swoją moc. Bo nawet jeśli nigdy byś się na coś podobnego nie zdecydowała, to zachodzi obawa, że mogłabyś pójść na policję albo poskarżyć się znajomym. Patrzcie, co mi zrobił! Ale kiedy przemoc jest niewidoczna, nikt o niej nie wie. Staje się bardziej intymna niż seks, a o takich sprawach nikt przecież nie rozmawia. Ten sekret zaczyna was łączyć bardziej niż cokolwiek.

Nasze życie małżeńskie toczyło się według pewnego wzoru. Przez dzień, dwa, a nawet tydzień, byliśmy sobie bliscy, więc zyskiwałam podstawy, by wierzyć, że najgorsze już za nami. Zaczynałam się łudzić, że będziemy szczęśliwi i dochowamy się dzieci. A potem - ni stąd, ni zowąd - kiedy Harrold miał jakieś kłopoty z artykułem albo ja byłam dla niego niemiła, czy też po prostu dlatego, że coś wisiało w powietrzu, nie wiem - zaczynaliśmy się od siebie oddalać. Wtedy ja zaczynałam się bać, stawałam się spięta, a on mnie takiej nie lubił. Wszystko go denerwowało. Twierdził, że mówię piskliwym, poirytowanym głosem, więc powinnam się więcej śmiać, wyluzować. Cytował opinie znajomych, którzy byli podobno tego samego zdania. Zresztą Harrold zawsze miał się do czego przyczepić. Byłam siedliskiem wad. A on mi je wytykał, bo mu na mnie zależało. Bo mnie kochał.

Śluchając, jak mnie krytykuje, przestawałam panować nad nerwami i to co mi zarzucał, zaczynało znajdować odzwierciedlenie w rzeczywistości. Naprawdę łatwo ulegałam irytacji. Istotnie rzadko się śmiałam. To bzdura, że gniew dodaje sił. Jest jak huragan, który pozostawia po sobie wyłącznie zniszczenia.

I tak mijały nam dni: prowokacja, wściekłość, drwina. „No, spójrz na siebie, sama chyba rozumiesz”. Łzy, milczenie.

Wtedy sobie przysięgałam, że od niego odejdę. Zastanawiałam się tylko, dokąd mam uciec i jak to zrobić. A teraz usiłuję uwierzyć, że z pewnością wprowadziłabym swój zamiar w czyn, gdybym nie zaszła w ciążę.

Wyniki testu znałam już rano, ale zachowałam tę wiadomość na wieczór. Miałam nadzieję, że ciąża raz na zawsze zakończy nasze problemy.

Kupiłam butelkę szampana, nie piliśmy go od wieków. Przygotowałam na kolację jego ulubione dania, postawiłam na stole świece. Kiedy to zobaczył, od razu się domyślił, że wydarzyło się coś szczególnego.

- Co się stało? - spytał, a ja odparłam, że będziemy mieli dziecko.

Wtedy mnie pocałował i położył mi rękę na brzuchu. Wydawało mi się, że jest szczęśliwy. Będzie dobrze - myślałam niefrasobliwie - wszystko się ułoży, po kolacji zadzwonię do mamy. Otworzył szampana i wzniesliśmy toast za dzieci.

Nie chciałam dużo pić, więc Harrold miał całą butelkę dla siebie. W trakcie kolacji spytał o moje plany zawodowe. Odparłam, że w stosownym momencie zrezygnuję z pracy.

- A co z nami? - spytał.

- Będzie lepiej, dzieci zbliżają - odrzekłam i dostrzegłam, że na chwilę spochmurniał. Zaraz mu to jednak minęło. Pomyślałam, że każdy mężczyzna niepokoi się o los przyszłej rodziny. To było całkiem naturalne.

Wycierałam naczynia w kuchni i zaczęłam się właśnie zastanawiać, jak zakomunikować tę nowinę mamie, kiedy on stanął nagle w progu. Zdążył się już przebrać w podkoszulek, pił, ale jakiś inny alkohol, bo szampana dokończył przy stole.

- Chodź do łóżka - powiedział.

Nie miałam na to ochoty. Chciałam załatwić wiele innych spraw. Pragnęłam się podzielić tą nowiną z całym światem. Pomyślałam jednak, że muszę mu teraz poświęcić wiele uwagi, a do mamy mogę zadzwonić później.

Usiadłam na brzegu łóżka i zaczęłam rozpinąć bluzkę, bardzo delikatnie, jakbym była kruchym naczyniem, z którym trzeba się obchodzić z należytą ostrożnością.

Doznawałam cudownego uczucia, że jestem kimś wyjątkowym, i delektowałam się tym stanem, rozpinając guziki wolno, marząco, myśląc wcale nie o Harroldzie, ale o dziecku w moim łonie.

Kiedy uniosłam wzrok, on stał nade mną, wciąż w ubraniu, a na jego twarzy malował się gniew. Patrzył na mnie szklistym, pociemniałym ze złości wzrokiem. Oparłam dłonie za sobą na łóżku i zaczęłam się cofać, ale on chwycił mnie za bluzkę i zatrzymał.

Nie opiszę pani, co mi zrobił; to są zbędne szczegóły. W każdym razie przycisnął mi głowę do ściany i zachowywał się jak dzika bestia, myślałam, że chce wydrzeć ze mnie dziecko...

Potem, kiedy skończył, przetoczyłam się na swoją stronę łóżka i czekałam całą noc na poronienie. Ale moja maleńka (silna z niej dziewczynka) nie chciała mnie opuścić.

Rano okrył mnie kołdrą, przytulił, podał herbatę, grzanki, powiedział, że zadzwonimy do mamy, i zaczął się zastanawiać, jak zakomunikować tę wspaniałą nowinę kolegom z biura.

Takie sytuacje zdarzały się jeszcze kilkakrotnie podczas mojej ciąży. Nie wiedziałam i nadal nie wiem, dlaczego tak bardzo irytował go mój stan. Głośno wszystkiemu zaprzeczał, twierdził, że nigdy nie był szczęśliwszy. Być może czuł, że ktoś mi go zastąpi. Albo się bał, że traci nade mną kontrolę. Nie wiem.

Bił mnie tylko po pijanemu. Kiedy wracał do domu z baru, wpadałam w panikę. Próbowałam się trzymać od niego z daleka, ale ta taktyka przynosiła czasem wręcz przeciwny skutek: zdarzało się, że jakieś niefortunne słowo wypowiedziane przy kolacji działało jak bomba z opóźnionym zapłonem. Znęcał się nade mną dopiero w sypialni. A potem zawsze okazywał skruchę i troszczył się o moje samopoczucie. Przynosił mi nawet prezenty.

Sądę, że nie mógł nad sobą zapanować. Otworzyłam przed nim drzwi, których nie potrafił zamknąć. Myślę, że bardzo chciał, ale naprawdę nie potrafił. W swoim pragnieniu, by przejąć nade mną całkowitą kontrolę, tracił kontrolę nad sobą. Oczywiście wszystkiemu zaprzeczał, a przynajmniej próbował zaprzeczać. Był jak alkoholik chowający butelki w szafie - ukrywał dowody. Jeśli nikt nie oglądał siniaków na moich nogach i rękach, znaczyło to zarazem, że on nic złego nie zrobił. Tak właśnie żyliśmy. Raz zobaczył, jak wychodzę spod prysznic, i zapytał, w jaki sposób tak się potłukłam.

Kiedy nie mogłam pokazać się w redakcji, brałam zwolnienie lekarskie. A potem wykorzystałam ciążę jako pretekst do tego, żeby w ogóle nie wrócić do pracy.

W lutym byłam już w piątym miesiącu. Doktor zobaczył ogromny siniak na moim udzie i spytał, co to jest. Miałam podobny na pośladku, ale tego nie mógł zauważyć. Odparłam, że przewróciłam się na śliskich schodach, a lekarz popatrzył na mnie badawczo. Powiedział, że gdyby taka sytuacja się powtórzyła, powinnam go od razu zawiadomić, bo musi sprawdzić, czy z dzieckiem wszystko w porządku. Po tej wizycie długo się u niego nie pokazywałam. Nie potrafiłabym mu wmówić, że znowu upadłam.

Pod koniec ciąży przybrałam na wadze, byłam duża i gruba. Harold już się do mnie nie zbliżał. Widocznie mój wygląd go przerażał. Właściwie tylko przez te dwa miesiące czułam się bezpieczna. Nie chodziłam do pracy. Cały dzień spacerowałam po parku i rozmawiałam z dzieckiem. Nie chciałam, żeby ciąża się skończyła. „Zostań we mnie - szeptałam. - Zostań we mnie”.

Harold zniknął na całe dni, nawet tygodnie. Mówił, że powinien być ze mną, kiedy urodzi się dziecko, ale ja przecież nie miałam wątpliwości, że bez niego jestem znacznie bezpieczniejsza.

- Nie martw się - mówiłam - przyjaciele mi pomogą.
Poszłam do psychiatry. W zawaolowany, ostrożny sposób opowiedziałam lekarce, co się dzieje.

- Dręczy panią melancholia - stwierdziła krótko. Popatrzyłam na nią pytająco.

- I to wszystko?

Nie odezwała się. Myślała, że coś jeszcze dodam.

- A co jest złego w melancholii? - spytałam.

Zaczęłam rodzić pewnej czerwcowej nocy. To była parna, cicha, słodko pachnąca noc, pamiętam, że pootwierałam wszystkie okna. Harrold robił reportaż w Londynie. Patrzyłam na zegarek, liczyłam skurcze, a rano zadzwoniłam do sąsiadki, która od razu wezwała taksówkę i pojechała ze mną do szpitala. Znałam ją zaledwie z widzenia, ale w tym wyjątkowym dniu postanowiłam skorzystać z jej pomocy. W aucie trzymała mnie za rękę i nakazywała kierowcy ostrożną jazdę. Spytała, czy wszystko w porządku; sądziłam, że chodzi jej o dziecko, więc skinęłam tylko głową.

- Myślałam... - zaczęła, ale popatrzyłam na nią znacząco, więc umilkła i potrząsnęła głową.

W szpitalu od razu się pożegnała. Obiecałam, że do niej zadzwonię.

- A co z mężem? - zapytała.

- Już jedzie - odparłam.

Obok mnie rodziła inna kobieta, ale o niej już pani pisałam.

Poród nie trwał zbyt długo - dwanaście czy trzynaście godzin. Przeciętnie. Kiedy moja córeczka przyszła na świat, położyli mi ją na piersi, a ona od razu na mnie spojrziała.

Po moim powrocie ze szpitala Harrold zachowywał się zupełnie inaczej, co obudziło we mnie nadzieję. Nie pił, wydawał się spokojniejszy. Wracał wcześniej do domu. Brał Caroline na ręce, karmił ją z butelki albo po prostu na nią patrzył. Czasem, kiedy budziła się w środku nocy, spacerował z nią po pokojach, dopóki znowu nie usnęła. Pewnie czuł, że ona też stanowi jego własność. Mówił nawet czasem o niej „moja córka”, ale wtedy brałam to za wyraz miłości i dumy. Odwiedziła nas mama.

- Powinnaś się cieszyć, że masz taką rodzinę - powiedziała, a ja w duchu przyznałam jej rację, sądząc, że przeszłość już dawno minęła.

Caroline skończyła dopiero sześć czy siedem tygodni. Był gorący, parny sierpień. Już trzeci dzień spędzaliśmy w domu, Harrold miał wprawdzie urlop, ale uznaliśmy wspólnie, że nie powinniśmy nigdzie wyjeżdżać, bo dziecko jest jeszcze za małe. Pamiętam, że na parapecie kręcił się wiatraczek, a Harrold nalał sobie drinka z dużą ilością lodu, potem jeszcze

jednego, a ja pomyślałam, że gdybyśmy spędzali wakacje za miastem, to też pewnie popijalibyśmy jakieś lekkie drinki, przesiadując wieczorami na werandzie.

Alkohol wprowadził go w nastrój - nie spaliśmy ze sobą od miesiący. Zapytał, czy już można, a ja przytaknęłam. Wydawało mi się, że jestem gotowa i że go pragnę. Pokazał głową drzwi sypialni, weszłam do środka. Dziecko leżało w łóżeczku na korytarzu. Spało.

Zaczęliśmy wolno, ostrożnie, starał się nie sprawić mi bólu. Pomyślałam marząco, że dzięki dzieciom można zacząć wszystko od nowa i to jest nasze nowe życie.

Wtedy Caroline zapłakała.

Westchnęłam i powiedziałam, że muszę do niej zajrzeć, ale kiedy chciałam się podnieść, przytrzymał mnie za ramię.

- Niech sobie płacze - powiedział. - Nie zwracaj na nią uwagi. Odparłam, że tak nie wolno. On jednak nie chciał mnie puścić.

- Harroldzie! - krzyknęłam ostro, kiedy maleństwo zaczęło zanosić się od płaczu.

Dostał szału. :

- Dziecko, dziecko, dziecko - przedrzeźniał. - Zawsze tylko dziecko. O niczym innym nie myślisz. W dalszym ciągu trzymał moją rękę jak w kleszczach.

Było znacznie gorzej niż zwykle. Przedtem chodziło wyłącznie o mnie, więc mogłam to jakoś znieść. Tym razem jednak cierpiała Caroline, która płakała, płakała, płakała coraz bardziej rozpaczliwie, a ja nie mogłam do niej pójść. Nigdy w życiu nie będę potrafiła opisać, co wtedy czułam.

Potem nasz związek się rozpadł. Mówiłam ostrym, rozdrażnionym głosem, bywało, że stawałam w drzwiach i wrzeszczałam, że go nienawidzę, zupełnie nie dbając o konsekwencje. Trzymałam córeczkę w objęciach i myślałam, że ona to słyszy. Harrold zrobił się potwornie zazdrosny, krzychał, że mam kochanków. Bardzo dużo pił. Zaczynał od martini do lunchu, a po pracy chodził do barów. Dostawał szału, kiedy mała budziła go w nocy, więc jeśli zaczynała płakać, musiałam ją od razu uciszać, bo się bałam, że ją też uderzy. Miałam nadzieję, że będzie więcej podróżyował, że może wyjedzie na kilka tygodni, a ja tymczasem zbiorę jakoś myśli, ale prawie nie ruszał się z domu. Widocznie sądził, że jeśli wyjedzie, odejdę z innym mężczyzną. Chciałam, żeby zginął w katastrofie lotniczej. Jest pani zaszokowana? Tak, to prawda. Modliłam się nawet o taką katastrofę. Nie przychodził mi do głowy żaden inny sposób, żeby się od niego uwolnić.

Opuścił się w pracy - może był w gorszym stanie, niż sądziłam, albo też przyczynił się do tego alkohol. Odrzucono mu jeden tekst, potem następny. W redakcji zatrudniono młodego dziennikarza, który stał się od razu protegowanym naczelnego. Czasem Harrold niemiłosiernie z niego kpił, ale ja wiedziałam, że nowy stanowi dla niego zagrożenie. Ten młody reporter nazywał się chyba Mark Stein, może go pani zna?

Harrold nigdy przedtem nie miał żadnych kłopotów, wszystko przychodziło mu z łatwością, więc całą winę za swoje niepowodzenia zwał na mnie. Mówił, że przez moje wieczne pretensje nie może się skupić na pracy, a nie przespane noce rujną mu karierę.

Co dziwne, wbrew samej sobie zaczęłam mu wtedy współczuć. Całkowicie stracił kontrolę nad swoim życiem.

W październiku zaczęły się niepokoje w Quebecu i Harrold musiał pojechać do Montrealu. Ograniczył wprawdzie pobyt do dwóch noclegów, ale nie mógł zrezygnować z wyjazdu. Dostrzegłam w tym swoją szansę. Byłam dla niego miła przez cały tydzień. Chciałam, żeby uwierzył, że będę mu wierna i nie ucieknę. Zachowywałam się jak słodka, naiwna nastolatka i starałam się go uwodzić. Pewnie pani sądzi, że mogło mu się to wydać podejrzane, ale Harrold tylko na to czekał. Zapewne był pewien, że w końcu się poddam i zrozumie swój błąd. Na pożegnanie pocałowałam go czule, a nawet poprosiłam, żeby szybko wracał.

Kiedy wreszcie wyszedł i nabrałam przekonania, że wsiadł w samolot do Montrealu, natychmiast spakowałam walizkę, po czym wezwałam taksówkę. Kupiłam bilet na lotnisku, a Caroline trzymałam w ramionach przez całą drogę do Chicago. Potem wsiadłam do pociągu, który miał mnie zawieźć do domu mego dzieciństwa.

- Niespodzianka! - krzyknęłam, kiedy mama wróciła z pracy do domu. Wytłumaczyłam jej zaraz, że poniosła mnie fantazja, a Harrold wyjechał na reportaż, więc nie chciałam być sama.

Uwierzyła, dlaczego by miała nie uwierzyć? Nie mogłam tego znieść, że wszystkie marzenia mojej matki obróciły się w pył.

O czym ja właściwie wtedy myślałam?

Może wierzyłam, że za dzień, dwa przyjdzie mi do głowy jakiś plan. Chciałam chyba powiedzieć matce, że nasze małżeństwo przeżywa kryzys, więc muszę spokojnie pomyśleć. Już nie pamiętam. Kiedy spojrzę na to wszystko z perspektywy czasu, wydaje mi się, że postąpiłam niezwykle naiwnie, wybierając dom matki za ostateczny cel swojej ucieczki. Bo przecież tylko tam mogłam pojechać, a Harrold doskonale o tym wiedział. Domyślił się wszystkiego w chwili, gdy otworzył drzwi do pustych pokoi.

Zatelefonował, a mama podniosła słuchawkę. Przecież nie mogłam jej zakazać odbierania telefonów we własnym domu.

- To Harrold! - szepnęła radośnie. Podeszłam do aparatu.

Łudziłam się, że gdy Harrold odkryje, co się stało, z pewnością zechce wszystko przemyśleć. A potem będzie nawet zadowolony z takiej niespodzianki. No bo w końcu wyswobodziłam go przecież ze strasznej niewoli. Zasłużyłam na wdzięczność.

Mówił lodowatym tonem, cicho, wyraźnie i jasno.

- Przyjadę po ciebie natychmiast, jeżeli nie wrócisz. A jak uciekniesz, to i tak cię znajdę. Spróbujesz jeszcze raz zabrać dziecko, to nie tylko cię znajdę, ale i zabiję.

Ze słuchawką przy uchu patrzyłam na matkę, a ona się do mnie uśmiechała i uczyła Caroline machać rączką.

- Ta-ta, ta-ta, twój tata dzwoni - szeptała jej do uszka.

Widzę, że kręci pani głowę. Jest pani przerażona i przestała cokolwiek rozumieć. Pewnie pani uważa, że mam równie chory umysł jak Harrold. Dlaczego wróciłam? Dlaczego nie zawiadomiłam policji?

Rzeczywiście.

Dlaczego?

Wierzyłam, że mój mąż mnie zabije, jeżeli nie wrócę. Albo nie mogłam się zdobyć na to, żeby powiedzieć prawdę matce.

Pewnie doszłam do wniosku, że rzeczywiście nie miałam prawa odbierać mu dziecka.

Może na swój tajemniczy sposób nadal go kochałam. Wszystkie te odpowiedzi są prawdziwe.

Kiedy wróciłam, zostałam uznana za pokonaną. Musiałam ponieść zasłużoną karę za ucieczkę, za udawane zaloty, za wykradzenie dziecka. Maltretował mnie fizycznie, traktował oziębło lub też niemiłosiernie kpił.

- No, spójrz tylko na siebie - szydził.

Często wychodziłam, rozmawiałam przez telefon z matką i wszystko, co jej mówiłam, było jednym wielkim kłamstwem.

Nie pisałam pani jeszcze o miejscu, w którym przebywam. A sędzę, że powinnam, choć właściwie nie bardzo jest o czym.

Zaraz po przyjeździe poddano mnie rewizji. Zdjęli moje odciski palców, zrobili mi zdjęcia.

W tej samej celi mieszka jeszcze jedna więźniarka, ale ona nie sprawia mi kłopotów. Skazano ją za zasztyletowanie wuja, który był jej alfonsem. W zamian za środki uspokajające świadczy teraz usługi seksualne kobietom i

przesypia resztę wyroku. Strażniczki orientują się świetnie w sytuacji, ale nie reagują. Śpiący sprawiają mniej kłopotów.

Choć w celi mogą się do pewnego stopnia odizolować od otoczenia, w naszym bloku panuje ogłuszający hałas. Nawet w nocy słycać gwar rozmów, nawoływanie, śmiechy i wrzaski. Każą nam spać przy zapalonych lampach. Jeszcze się nie nauczyłam odgradzać od hałasu i światła. Jedyne pisanie mi pomaga, stało się dla mnie rodzajem buforu.

Siedzę razem z narkomankami i złodziejkami, ale nie boję się tych kobiet. Boję się natomiast strażniczek. To one mają nade mną władzę, decydują o wszystkim, co robię.

Więźniarki oczekujące na proces lub wyrok żyją w stanie zawieszenia, jak w czyścicu lub uśpieniu. Przy okazji posiłków lub spacerów padają pytania: „Dostałaś już wiadomości? Czekasz na następną randkę?”

W czerwcu przyprowadzono do mnie Caroline, która właśnie skończyła rok. Zaczęła chodzić. A ja nie widziałam jej pierwszych kroków. I chociaż patrzyłam z dumą, jak się do mnie zbliża, aby natychmiast potem paść mi w objęcia, serce ściszał mi żal. Czulałam, że moja córka mnie nie poznaje.

Przynieśli ciasto, a ja miałam dla niej własnoręcznie zrobiony prezent - lalkę z włóczki i szmatek. Śpiewaliśmy jej piosenki, a później zaczęliśmy ją karmić pokruszonymi kawałkami ciasta.

- Daj buzi mamusi. To twoja mamusia - powtarzali wszyscy zebrani.

Marzyłam, żeby wyszli, ale wiedziałam, że im nie wolno. Pewnie chce pani wiedzieć, czy było warto. A ja zadam sobie pytanie: Czy warto wyzwolić się z piekła za cenę utraty dziecka? I zaraz potem odpowiem, że nie miałam wyboru.

W pierwszym tygodniu grudnia koledzy z redakcji wydawali przyjęcie pożegnalne dla naczelnego. Nie pokazywałam się w pracy cały rok.

- Sądzisz, że powinnam pójść? - spytałam.

Harrold myślał chwilę, a potem doszedł do wniosku, że nadarza się wspaniała okazja, by pochwalić się dzieckiem.

Włożyłam nową kreację, czarną, z dużym dekoltem i długą spódnicą, a Caroline wystroiłam w czerwoną aksamitną sukieneczkę - prezent od mojej matki. Włosy upięłam grzebieniami z jadeitu, a kiedy patrzyłam na nasze odbicia w lustrze, pomyślałam, że nikt się nigdy o niczym nie dowie.

Harrold powiedział, że powinnam zawieźć Caroline do redakcji około piątej, na rozpoczęcie przyjęcia. Za kwadrans piąta włożyłam dziecko do koszyczka i wezwałam taksówkę. Kiedy dojechałam na dziewiętnaste piętro, Harrold kończył właśnie załatwiać jakąś sprawę, ale wyszedł ze swojego gabinetu i uśmiechnął się do mnie. Naprawdę się uśmiechnął. Objął

mnie gestem posiadacza, a potem wziął dziecko. Koledzy powychodzili zza biurka, żeby się ze mną przywitać. Spacerowaliśmy we trójkę po redakcji, otoczeni rodzajem świetlnego kokonu, i pewnie sprawialiśmy wrażenie szczęśliwej rodziny. Dumny mąż prezentował zebranym swą piękną żonę i uroczą latorośl.

Uśmiechaliśmy się, żartowaliśmy, a Caroline bawiła się świetnie razem z nami. Pomyślałam sobie wtedy, że ten sielankowy obrazek jest częściowo prawdziwy, bo kiedyś mieliśmy szansę na takie życie.

Wielu z obecnych nie znałam. Pani podeszła do nas dopiero w jadalni, przy szwedzkim stole. Harrold dokonał prezentacji, uściśniła pani moją dłoń. Już wtedy zdziwił mnie pani wzrost - ma pani chyba ponad metr siedemdziesiąt pięć, prawda? Potem zwróciłam uwagę na suknię - khaki, z paskiem, taką, jaką wkłada się zwykle na safari w afrykańskim buszu. Ta suknia bardzo do pani pasowała. Wzięła pani dziecko na ręce, a Harrold poszedł przynieść nam drinki.

Teraz się zastanawiam, czy coś pani wtedy zauważyła, czy może się czegoś domyślała.

Nie pamiętam, czy rozmawialiśmy. Być może luźno, o dziecku, ale potem pani odeszła i pojawił się jakiś nieznajomy mężczyzna. Powiedział, że ma na imię Mark. Był szczupłym, wysokim blondynem o niebieskich oczach. Nosił okulary w złoczonej oprawce. Pomyślałam, że jest przystojny. Zaczęliśmy rozmawiać. Mark mówił, że zna Harrolda i bardzo ceni jego reportaże. Wiedział, że ja też kiedyś pracowałam w tej redakcji. Nadal pozostawałam pod wrażeniem sielankowego obrazu mojej rodziny, stworzonego wyłącznie na użytek kolegów. Być może nawet się śmiałam, niewykluczone, że położyłam dłoń na rękawie marynarki Marka. Akurat wtedy zaczął się do nas zbliżać Harrold z drinkami. Przepychał się przez tłum z miłym uśmiechem, wysłuchując komplementów na temat swojej córki, ale kiedy zobaczył mnie w towarzystwie Marka, zatrzymał się jak wryty. Nie patrzyłam wprawdzie w tamtym kierunku, ale wyraźnie czułam na sobie jego wzrok. Wbrew zdrowemu rozsądkowi odwróciłam głowę, żeby go zawołać.

Stał bez ruchu, ze szklankami w rękach. Tego dnia włożył niebieski sweter i krawat w ciemne paski, poluzowany - pamiętam to dokładnie - przy kołnierzu. Nie spuszczał ze mnie wzroku. Podeszedł bliżej, nie zwracając uwagi na Marka, i wręczył mi drinka.

- Weź dziecko na ręce - powiedział.

Mark chyba wyczuł sytuację, bo natychmiast się oddalił. Niewykluczone, że po prostu zobaczył kogoś znajomego i poszedł z nim porozmawiać.

- Nie można cię nawet na chwilę zostawić, bo od razu flirtujesz z innym facetem - powiedział Harrold, kiedy tylko zostaliśmy sami.

Wolałam się nie odzywać. Wiedziałam, że powinnam zająć się dzieckiem i aż do końca przyjęcia rozmawiać wyłącznie z kobietami. Przy odrobinie szczęścia istniała niewielka szansa, że do wieczora Harrold o wszystkim zapomni.

Ale tak się nie stało. Podchodziło do mnie wielu mężczyzn. Wszyscy całowali mnie w policzek, co było jednak zupełnie naturalne - nie widzieliśmy się od ponad roku. Oni byli moimi przyjaciółmi, nie, nawet nie przyjaciółmi, po prostu znajomymi - Harrold wołał jednak tego nie dostrzegać. Każdemu z tych mężczyzn pragnęłam uświadomić, że tym uśmiechem lub pocałunkiem przypieczętowuje mi los, ale oczywiście nie mogłam tego zrobić. Po półgodzinie powiedziałam Harroldowi, że lepiej sobie pójść.

- Rzeczywiście - odparł. - Lepiej idź.

Wytłumaczyłam wszystkim, którzy pytali, dlaczego tak wcześniej wychodzę, że muszę położyć Caroline spać. Pojechałam więc do domu, zniosłam dziecko na górę i zmieniłam ubranie. Przygotowałam sobie drinka. Bardzo się bałam. Wiedziałam, że Harrold jest na mnie wściekły, więc na pewno się upije i wróci do domu w nastroju równie chmurnym jak jego spojrzenie. Po kolejnym drinku zaczęłam się zastanawiać, dokąd uciec.

Wrócił po północy, zupełnie pijany, ledwo się trzymał na nogach. Miał nieprzytomny wyraz twarzy, wydawało mi się, że wymiotował. Zgubił gdzieś krawat, wymięta koszula wychodziła żałośnie ze spodni. Pomyślałam, że był z inną kobietą. Bardzo się go bałam, ale jednocześnie ogarnął mnie gniew, więc odwróciłam się na pięcie, poszłam do sypialni i zatrasnęłam za sobą drzwi.

Czekałam.

Wpadł do środka jak jakiś olbrzym z koszmarnych snów dzieciństwa.

- Nigdy więcej się przede mną nie zamykaj! - wrzasnął. Tylko tyle pamiętam.

Popchnął mnie na ścianę. Próbowałam zasłonić twarz rękami. Chyba krzyczałam. Usłyszałam płacz małej. Modliłam się, żeby zamilkła, bo strasznie się o nią bałam. Przestałam krzyczeć, wysunęłam przed siebie dłonie, ale Harrold natychmiast sobie z nimi poradził.

Nigdy nie widziałam go w takim stanie. Był jak maszyna do bicia - napędzana gniewem i furją. Już nie zwracał uwagi na to, że siniaki będą widoczne. Instynktownie rozluźniłam wszystkie mięśnie. Nie mogłam z nim walczyć, ale nie chciałam stracić przytomności. Uderzał mnie na oślep,

potem zaczął się potykać, w końcu trafił pięścią w ścianę. Zaklął, chwycił się za rękę i wtedy mu się wymknęłam. Pobiegłam do pokoju Caroline, porwałam ją w objęcia i zamknęłam się razem z nią w łazience.

Stał pod drzwiami i szarpał jak oszalały za klamkę. Nie ruszałam się, czekałam. Usiadłam na podłodze, odpięłam bluzkę i przystawiłam do piersi małą, która zasnęła wkrótce potem, jak zaczęła ssać.

Nie mam pojęcia, ile czasu spędziłam w łazience, ale już go nie słyszałam. Nie wiedziałam, co się z nim dzieje. Mógł przecież wyjść, zasnąć, a nawet stracić przytomność w korytarzu. Albo zacząć się na mnie pod drzwiami.

Siedziałam po turecku na kafelkach, a każda minuta niemiłosiernie mi się dłużyła. Kiedy w końcu odważyłam się wstać, poczułam ból w kolanie, ale nie miałam wyboru - musiałam przecież się podnieść. Otworzyłam drzwi - Harrolda za nimi nie było. Weszłam do pokoju Caroline i położyłam ją w łóżeczku. Wolno, ostrożnie przemknęłam się do swojej sypialni, popatrzyłam na łóżko. Był w samej koszuli; spodnie i sweter rzucił na podłogę. Zasnął na brzuchu. Chrapał.

Nigdy nie działałam równie szybko, cicho i uważnie. Z dna szafy wyjęłam torbę podróżną, włożyłam do niej parę rzeczy, poszłam do pokoiku Caroline, spakowałam jej ubranka. Wróciłam do sypialni, z kieszeni spodni Harrolda wyjęłam portfel, zabrałam gotówkę, nawet jej nie licząc. Włożyłam płaszcz, szalik, rękawiczki, przerzuciłam przez ramię neseser oraz torebkę, owinęłam dziecko w koc i wybiegłam z mieszkania jak lis z kurą w pysku. Nie chciałam układać małej w śpiworze, bo mogłaby się obudzić. Zamierzałam to zrobić później, już w aucie.

Zjechałam windą na dół, pobiegłam z bagażem do samochodu. Koszyk Caroline stał na szczęście na tylnym siedzeniu. Nie zabrałam go do mieszkania. Włożyłam córeczkę do śpiwora. Obudziła się i rozplakała, ale kiedy uruchomiłam silnik, zaczęła się powoli uspokajać.

W baku było prawie pusto, więc podjechałam na stację benzynową.

- Ma pan mapę? - zagadnęłam kasjera.

- Mapę czego? - zapytał.

- Wszystko jedno - odparłam.

- Sprawdź.

Siedziałam w samochodzie i czekałam. Miasto znieruchomiało. Wreszcie kasjer wrócił.

- Mam tylko Nową Anglię.

- Dobrze. He płacę?

Włączyłam światło w aucie i rozłożyłam mapę na desce rozdzielczej. Długo błędziłam po niej wzrokiem, aż w końcu natrafiłam na kropeczkę, która wydała mi się bezpieczna. Zwinęłam mapę, przekręciłam kluczyk w stacyjce.

Opuściłam szybę, zdjęłam obrączkę i wyrzuciłam ją przez okno. Nawet nie usłyszałam, gdzie upadła.

Dochodziła czwarta nad ranem, a ja kierowałam się na południowy wschód.

RS

ROZDZIAŁ 12

Jeffrey Kaplan

Jak się miewa stary Hargreaves? Trzyma wszystko w kupie, prawda? Właśnie, właśnie.

A Mark Stein? Co u niego? Pewnie przejął schedę po Harroldzie.

Boże, co za okropna historia, Straszliwa, naprawdę. Byłem zupełnie zaszokowany, jak o tym usłyszałem. Nie miałem o niczym zielonego pojęcia.

Pracowałem, jak zapewne pani wie, do pierwszego grudnia. Maureen English odeszła jeszcze w poprzednim roku. Znałem ich całkiem dobrze. To znaczy, tak mi się wydawało. Dopiero później wyszło szydło z worka.

Ona była bardzo spokojna. Ale świetna, rzeczywiście świetna. Myślałem, że zacznie jeździć, wyrobi sobie nazwisko, ale dostała tej choroby lokomocyjnej. Wielka szkoda. Mówiła, że lekarze próbowali wszystkiego, ale na nic. Nie mogła z tego wyjść. Zdaje się, że miała kłopoty z błędnikiem. Musiałem ją przenieść do redagowania materiałów. Pracowała szybko jak błyskawica. Czasem potrafiła się uporać z artykułem w jeden dzień.

Ładna babka. Zresztą, przecież ją pani widziała. Od razu wiedziałem, że ktoś się nią zainteresuje. Nie wiedziałem tylko, że to będzie Harrold. W redakcji nie dawali niczego po sobie poznać. Sądziłem, że ona ma klasę. Nie mówię o pochodzeniu, bo nic na ten temat nie wiem. Tak na marginesie, jej panięńskie nazwisko brzmiało Cowan. Maureen Cowan. Ale wracając do klasy... Tak godnie się poruszała, niewiele mówiła, nigdy się nie wymądrzała.

Poznali się u mnie w gabinecie. Słowo daję. Siedziałem u siebie, wpadł Harrold. Rozmawialiśmy o nagłówku. Nie pamiętam. A to był akurat jej pierwszy dzień w redakcji. Przyszła zadać mi parę pytań. Odniosłem wtedy wrażenie, że jest bardzo zdenerwowana. Pamiętam, jak obracała koraliki, które miała na szyi, patrzyła w ziemię. Widziałem, że Harrold spogląda na nią z uśmiechem, ale wtedy nie zwracałem na to uwagi. Maureen mogła się przecież spodobać każdemu. Teraz rozumiem, że zaraz potem zaczęli się spotykać.

A teraz parę słów o Harroldzie. Napisał wtedy dla nas parę świetnych kawałków. W ogóle dobrze się nam wtedy wiodło. Mieliśmy Joego Warda, Alexa Wessingera, Barbarę Spindell. Złote czasy. Bardzo mi ich brak. Książki to zupełnie co innego. Skończyłem z prasą, bo bez przerwy zarywałem noce, a moja żona dostawała szału. Teraz pracuję w zupełnie

innym systemie. O wiele rzadziej widuję autorów, czasem nawet wcale. Ale tekst naprawdę musi ci się podobać. Czasem siedzi się nad jedną książką parę miesięcy albo nawet i lat. Ale dość już o tym. Chciała się pani przecież dowiedzieć czegoś o Haroldzie.

Niech no tylko sobie przypomnę... Zaczął pracę w redakcji chyba w sześćdziesiątym czwartym. Zaraz po studiach pracował w Bostonie, później chciał się załapać do któregoś z nowojorskich tygodników. Pojawił się akurat w dobrym momencie, w piśmie powstała próżnia, starzy odchodzili na emeryturę. Ja przeszedłem wtedy z „Timesa”. Jak już dostał etat, zaczął się bardzo szybko piąć. Prawie od początku wysyłałem go w teren. Okazał się doskonały. Bardzo napastliwy i skuteczny. Nie spoczął, dopóki nie zdobył materiałów. Uciekał się do wszystkich sposobów, prosił, groził, czarował. Chyba pomagała mu postura. Na pewno go pani widziała. Miał chyba z metr dziewięćdziesiąt.

Robił wrażenie. Ważył sto kilo, ale to nie był tłuszcz, tylko mięśnie. Grał kiedyś w drużynie Yale, o ile dobrze pamiętam. Ale nie robił wokół siebie takiego zamieszania jak te inne gwiazdy sportu. Nie mówił zbyt wiele. I te oczy... Czarne jak węgle. Niejeden zaczynał się wić pod tym spojrzeniem. Parokrotnie byłem świadkiem takich sytuacji. Niesamowite.

Ten facet naprawdę się znał na swojej robocie. Właściwie nigdy się z nim nie przyjaźniłem, ale czasem jadaliliśmy razem lunch. Zna pani takie sytuacje - po drugim martini zaczyna się prawdziwa rozmowa. Kiedyś się przyznał, że - mimo forsy - miał naprawdę nieszczęśliwe dzieciństwo. Jego matka umarła, kiedy był jeszcze małym chłopcem, nie mógł się dogadać z ojcem. Nie wyrażał się o nim najlepiej. O innej rodzinie nie j opowiadał.

Podobał mi się jego styl pisania. Czysty, prosty, nie przesadnie osobisty. Harold nigdy nie szpanował błyskotliwymi uwagami, choć odznaczał się wybitną inteligencją. Zawsze rzetelnie przedstawiał fakty.

Maureen pisała zupełnie inaczej. W bardziej kobiecy sposób, co sprawiało mi trochę kłopotów. Jakoś tak potoczyście. Czasem zadawała mi naprawdę trudne pytania. Kiedyś przyszła i powiedziała, że już jej się znudził dział opinii. Trochę się zdziwiłem, ale nie protestowałem i przeniosłem ją do krajowego. Muszę przyznać, że i tam się sprawdziła. Ale potem dopadła ją ta choroba lokomocyjna.

Chyba dopiero po pół roku do mnie dotarło, że oni się spotykają. I muszę przyznać, że wcale się z tego nie cieszyłem. Takie biurowe romanse nigdy do niczego dobrego nie prowadzą. Domowe kłopoty odbijają się na pracy. Ale oni zachowywali się tak, że nikt o niczym nie wiedział.

Chryste! Niewiarygodne! Nawet teraz to do mnie nie dociera. Słyszy się od czasu do czasu tego rodzaju historie, ale zazwyczaj chodzi o jakąś biedną kobietę z szóstką dzieciaków, żonę alkoholika. Tego rodzaju sprawy nie dotyczą ludzi pokroju Maureen czy Harrolda.

Ktoś by wreszcie coś zauważył. A Harrold nie był alkoholikiem. To znaczy, pił jak wszyscy. Martini do lunchu, może przy sposobności dwa. I jakiś koktajl do kolacji.

Chociaż przez te dwa ostatnie miesiące mojej pracy w redakcji on rzeczywiście przeżywał kryzys. Zdarza się to nam wszystkim, więc nawet specjalnie się nie zdziwiłem. Czy pił wtedy więcej? Nie pamiętam. Wydawało mi się, że może to Stein tak go wkurzał. Stein dopiero co skończył uniwersytet Columbia, świetnie się zapowiadał. Uważano go za młodego geniusza. Bardzo szybko nadepnął Englishowi na odcisk. Zaczął odnosić sukcesy i to się zbiegło z tym załamaniem Harrolda, ale miałem nadzieję, że on jakoś z tego wyjdzie. Dopiero co urodziło mu się dziecko. Pamiętałem, jak wygląda życie świeżo upieczonego ojca - nie przespane noce, zmęczenie w ciągu dnia. Sądziłem, że to minie. A potem musiałem wyjechać i nie miałem czasu, żeby się nad tym wszystkim zastanawiać.

Dopóki się nie dowiedziałem. Niesłychane.

A przy tym niesamowicie interesujące. Wyszłaby z tego książka. Coś w rodzaju „Z zimną krwią”. Nie wiem zresztą, jakie materiały uda się pani uzyskać. Najbardziej fascynujący jest ten element tajemnicy. A oni przypominają Scotta i Zeldę Fitzgeraldów.

Tak, istnieje taka możliwość. Coś pani powiem. Jak już pani pozbiera wszystko do kupy, proszę do mnie zadzwonić. Zerknę na to i powiem pani, co myślę.

Miała kochanka w Maine, prawda?

Jeśli ma powstać książka, musimy się tego dowiedzieć. Historia staje się ciekawsza. Trochę łatwiej zrozumieć pobudki Maureen.

ROZDZIAŁ 13

Mary Amesbury

5 grudnia 1970 - 15 stycznia 1971

Usłyszałam dźwięk. Stłumiony pisk opon na żwirze. Wąską uliczką - tak cicho, jak tylko mógł - jechał jakiś zaspany pojazd. Świtało. Odrzuciłam pościel i podeszłam do okna. Znalazłam sweter, zarzuciłam go sobie na ramiona. Czułam pod stopami zimną podłogę. Na zewnątrz rozciągało się pole szarości, ten krótki przedświt poprzedzający właściwy wschód słońca. Zobaczyłam, jak czarna ciężarówka podjeżdża do łódki. Wysiadł z niej mężczyzna. Ten sam co wczoraj - mogłabym przysiąc, choć tak naprawdę widziałam tylko żółtą plamę jego kurtki. Woda była spokojna; kiedy wiosłował w kierunku łodzi, powstawał na niej charakterystyczny, pomarszczony ślad.

Silnik zagrział z pretensją - zbyt wcześnie obudzona łódź narzekała na swój parszywy los. Żółta kurtka mignęła mi najpierw na dziobie, potem na pomoście, a łódź sunęła wdzięcznym łukiem ku porannej zorzy.

Siedząc na krawędzi łóżka, patrzyłam, jak znika. Byłam bardzo ciekawa, dokąd ten mężczyzna zmierza, skąd zna drogę i jaki widok ukaże się jego oczom, gdy wreszcie dopłynie na miejsce. Czy tam również jest tak szaro, a kolorowe boje unoszą się na wodzie? Nie wiedziałam, która może być godzina, ale sądziłam, że jest wcześnie. Nie później niż wpół do siódmej. Skoro mężczyzna znalazł się na wodzie o wpół do siódmej, musiał wstać o wpół do szóstej. Zona wciąż leżała w łóżku, dzieci spały. Ale tak było w grudniu, gdy noce są długie. Jak wyglądało życie poławiacza homarów w czerwcu, kiedy swiatało o czwartej lub wcześniej? Czyżby wszyscy rybacy jadali kolację późnym popołudniem i chodzili spać wcześniej niż ich dzieci?

Przesunęłam palcem po ustach - wciąż były napuchnięte, pokaleczone. Dokuczało mi kolano - paliło pod rzepką, jakbym je skręciła. Pomyślałam, że wczorajsze sprzątanie z pewnością mi nie pomogło. Bez przerwy musiałam kucać.

Usłyszałam, że Caroline zaczyna się kręcić, więc położyłam ją obok siebie na łóżku, po czym nakryłam nas obie kołdrą tak szczelnie, że wystawały nam tylko nosy. Przystawiłam córeczkę do piersi; zasnęła w trakcie jedzenia, a ja chyba też się zdrzemnęłam, chociaż pamiętam, że usiłowałam się przyzwyczaić do otaczających mnie dźwięków. Słyszałam, jak mewy zrywają się z furkotem do lotu, a potem pokrzykują nad cyplem, łowiłam szum wiatru towarzyszący wschodowi słońca.

Wyśliznęłam się z łóżka, ułożyłam pościel tak, żeby Caroline nie mogła spać, a potem poszłam na dół przygotować sobie filiżankę kawy i płatki owsiane. Słońce już wstało, zapowiadał się piękny dzień. Na moich oczach morze przybrało różową, a później lekko fioletową barwę. Usłyszałam, że pod dom znowu zajeżdża jakieś auto, a potem zobaczyłam, jak niebiesko-biała półciężarówka wyłania się z krzaków i staje pod szarym domkiem. Z szoferki wysiadł mężczyzna w zielonej kurtce, niosąc linę i jakiś sprzęt rybacki. Kierowca wszedł do szopy, a po chwili z komina buchnął dym. Kiedy drzwi auta znów się otworzyły, dotarł do mnie irytujący jazgot prezentera radiowego. Mężczyzna poszedł na tył ciężarówki, wyjął kilka pojemników na homary, po czym zaniósł je do szopy i już z niej nie wyszedł.

Caroline zaczęła płakać, więc zabrałam ją na dół, umyłam, włożyłam jej czyste śpioszki i posadziłam na plecionym dywaniku. Doskonalenie sztuki raczkowania - a raczej utrzymywania równowagi na czterech kończynach naraz - pochłonęło ją całkowicie. W głębokim skupieniu wysunęła lekko języczek, a kiedy poczucie równowagi ją zawiodło i upadła na brzusek, zrobiła bardzo zdziwioną minkę. Jakże byłam z niej dumna!

Wypiłam jeszcze jedną kawę, po czym sporządziłam listę spraw do załatwienia. Potrzebowałam zegarka i radia. Musiałam znaleźć pralnię samoobsługową. Rósł stos brudnych pieluch, Caroline nie miała się w co ubrać. Chciałam też poszukać nosidełka. Pomyślałam, że mogłabym w nim zabierać dziecko na plażę, gdyby choć trochę się ociepliło. Dźwiganie małej na rękach wydawało mi się niezbyt praktyczne, bo choć Caroline nie ważyła wiele, miałam zbyt słabe ręce, żeby ją utrzymać w tak niewygodnej pozycji.

Dzięki tym listom spraw do załatwienia odnajdowałam sens w bezcelowości, ratowałam dzień przed nawałem pustych godzin. Fakt, że nie miałam zegarka, tak naprawdę nie miał znaczenia, ważne było wpisanie tego zakupu na listę. To oznaczało jakiś postęp. Myślałam, że zaraz się ubiorę, znajdę notes, otulę Caroline w śpiwór i pojedę do Machias, ale na razie wystarczało mi siedzenie przy oknie, picie kawy, patrzenie na zmieniające się odcienie wody, obserwowanie mojej córeczki na dywanie. Zapomniałam o lękach poprzedniej nocy lub odłożyłam je gdzieś na bok. Unosiłam się z prądem chwili, cieszyłam się chwilą, nie musiałam się spieszyć do następnej. Rozkoszowałam się terażniejszością, czy też raczej pozwalałam jej trwać.

Machias było chyba uważane za małe miasto, ale na mnie sprawiło raczej wrażenie przedmieścia. Znajdowało się w nim na pewno więcej sklepów i domów mieszkalnych niż w St. Hilaire, ale panował tam podobny spokój.

Ot, zwykła miejscowość rybacka nad rzeką Machias. Odkryłam w niej tartak, fabrykę mebli, restaurację, sklep rybny, „5-10-15”, kiosk z pamiątkami, pawilon z artykułami metalowymi, supermarket i jeden zabytkowy dom otwarty latem dla turystów. I na szczęście pralnię. W „5-10-15” mieli wózki, jeden nawet mi się podobał, ale nie chciałam wydawać takiej sumy. Kupiłam zegarek z radiem, dzięki czemu mogłam wykreślić od razu dwa punkty z mojej listy. Na stelażu stały książki o nieszczęśliwej miłości. Wybrałam „Annę Kareninę”, „Ethana Frome'a” i „Kochankę Francuza”. W innym dziale skusiłam się na nosidełko oraz dwa prezenty dla mojej córki: grzechotkę do wózka i kudłatą żółtą kaczuszkę, której nie mogłam się oprzeć. Kładąc zabawkę na ladzie, pomyślałam, że na mnie - podobnie jak na Harroldzie - ciąży pewne dziedzictwo. Zostałam sama z dzieckiem, tak samo jak moja matka. Kobieta przy kasie, bardzo podobna do właścicielki „Gateway”, musiała mnie dwukrotnie prosić o pieniądze.

Idąc do samochodu z dzieckiem i zakupami, zaczęłam się zastanawiać, czy Harrold rozpoczął poszukiwania. Na pewno nie zwróciłby się do policji w obawie, że im powiem, co się stało. Postarałby się jakoś inaczej zdobyć informacje. Zatelefonowałby najpierw do moich koleżanek z redakcji, rozpytywałby sąsiadów, obserwowałby bardzo uważnie rachunek bankowy. Przypuszczałam, że raczej nie szukałby kontaktu z moją matką. Od razu by się domyślił, że po raz drugi do niej nie uciekłam. Wiedziałam, że po jakimś czasie na pewno poprosi o pomoc detektywa, kolegę ze szkoły, który zbierał mu czasem materiały do reportaży. Musiałby jednak przy tym zachować szczególną ostrożność. Na pewno by mu powiedział charakterystycznym, konfidencjonalnym tonem, że ma niezręczną sytuację, więc potrzebuje wsparcia. Wyjaśniłby, że pojechałam na wycieczkę i coś mi się stało. Dodałby natychmiast, że nie chce robić zbyt wielkiego zamieszania, bo trochę się pokłóciliśmy, a on pragnie tylko wiedzieć, gdzie jestem. Na pewno by go poprosił, żeby ze mną nie rozmawiał, gdyż zamierza sam po mnie pojechać i przekonać, żebym wróciła. Potem uśmialiby się do rozpuku z całej tej historii i poszli na drinka.

Na pewno by nie rozpowiadał, że porwałam mu dziecko. Jeszcze nie. Tego asa atutowego trzymałby w rękawie na wypadek, gdybym poszła na policję, zanim by mnie odnalazł. No bo cóż znaczy pobicie żony w porównaniu z kidnapingiem?

Po powrocie z Machias ujrzałam na podwórku trzy ciężarówki. Jedną rozpoznałam - był to czerwony dostawczak ze złotą ślimacznicą pod oknem kierowcy. Ledwo zdążyłam wejść do domu, usłyszałam pukanie do drzwi. Willis trzymał w rękach paczkę.

- Mam dla pani ryby - powiedział, wchodząc do kuchni.

- Łupacze. Prosto z morza. Ale to nie ja je złowiłem, tylko André LeBlanc.

Wzięłam od niego paczkę. Włożył ręce do kieszeni dzinsów i lekko przygarbił plecy, zupełnie jakby było mu zimno. Powiedziałam, że muszę wziąć zakupy z samochodu.

- Proszę zostać - powiedział. - Ja je pani przyniosę. Zanim zdążyłam odpowiedzieć, już był na korytarzu. Przyniósł wszystkie paczki i stos wypranych pieluch.

- Muszę położyć dziecko - powiedziałam, sądząc, że zaraz sobie pójdzie.

- Nie ma problemu - odparł, podchodząc do okna.

Zdjęłam płaszcz, szalik i zaniósłam dziecko na górę. Karmiłam córeczkę, siedząc na łóżku, a kiedy skończyła jeść, położyłam ją spać i nakryłam kołderką. Z dołu dobiegały mnie odgłosy kroków, skrzypnięcie lodówki, krzesło szorujące po linoleum.

Kiedy zeszałam na dół, Willis siedział przy kuchennym stole. Przed nim stała otwarta puszką piwa.

- Można, prawda? - spytał, unosząc puszkę w moim kierunku. Przytaknęłam, stojąc niepewnie na środku kuchni.

- Niech pani też się napije - powiedział, jakby to była jego kuchnia, jakbyśmy znali się od lat.

Szybko potrząsnęłam głową. Zapaliłam gaz pod garnuszkiem i czekałam, aż kawa się zagrzeje.

- Chciałabym zapłacić panu za ryby - powiedziałam. Machnął ręką.

- Nawet nie ma mowy. Niech to będzie prezent powitalny.

- Zaśmiał się głośno. - Nie. Poważnie. Ja sam nie dałem za nie ani grosza. LeBlanc podarował mi parę kilo łupacza, więc kilka sztuk odłożyłem dla pani, no nie? Czekałem na panią w szopie. Sam muszę wypłynąć, ale jest strasznie zimno. Chciałbym trochę odpocząć.

Rozejrzał się i zabębnił palcami po stole, podskakując na krześle. Byłam ciekawa, jakiej muzyki on słucha.

- Lubi pani święta? - zapytał. Kiwnęłam niezobowiązująco głową.

- Muszę pójść po choinkę - powiedział. - Jeannine lubi, żeby drzewko było w domu na długo przed gwiazdką. Mówi, że dzięki temu ma na co czekać. Stawia je w kącie przyczepy. Ja się tylko martwię, żeby nie wybuchł pożar.

- Pożar?

- Jakby w przyczepie wybuchł ogień, to od razu byłoby po nas. - Pstryknął palcami. - O tak! Usmażylibyśmy się na popiół jak w

aluminiowym pudełku. To jest właśnie największy problem. Dlatego pozwałam dzieciom zapalać światełka na choince tylko wtedy, kiedy jestem na miejscu. I strasznie się pieklę o podlewanie. Jak tylko spadnie pierwsza igła, od razu wyrzucam drapak. Ale moje drzewka stoją aż do Walentynek.

- Znowu się roześmiał. - Sam ją wytnę, z tamtego lasu niedaleko Coffin. Proszę, niech pani siada. Po co tak męczyć nogi.

Nalałam sobie kawę do kubka i postawiłam go na stole. Willis wysunął nogą krzesło spod stołu, co zrozumiałam jako zaproszenie, bym zajęła miejsce. Tak więc usiadłam, po czym wypiliśmy łyk naparu, który sparzył mi język. Willis przypatrzył mi się uważnie, a potem rozejrzał po pokoju.

- Dziecko śpi? - zapytał, przenosząc na mnie wzrok. Przytaknęłam.

Wstał, podszedł do lodówki, wyjął kolejną puszkę piwa, otworzył ją i wychylił niemal duszkiem. Wrócił do stołu, stanął tuż obok mnie, po czym wbił wzrok w cypel.

- Znaczący, rozstaliście się na dobre - powiedział.

- Coś w tym rodzaju - bąknęłam ostrożnie.

- A pani jest sama - mruknął bardziej do siebie niż do mnie.

- Na razie - odparłam tajemniczo.

Zapadła cisza. Czulałam obok siebie jego obecność. Stał teraz blisko mnie, wyraźnie spokojniejszy. Prawie się nie ruszał.

Przejechał palcem po siniaku na moim policzku. Odskokczyłam, zaszokowana, że ośmielił się mnie dotknąć.

- Bolało? - spytał z udanym zdziwieniem. - Przepraszam. Nie chciałem. Widocznie to jeszcze za świeże.

Wstałam. Dzieliło nas krzesło. Położyłam ręce na oparciu.

- Jestem zmęczona - zaczęłam. - Nie spałam zbyt dobrze. Sądzę, że powinien pan już pójść. Muszę się zdrzemnąć.

Położył mi dłoń na ręku. Miał suche, zimne palce.

- Nie chciałabyś, no wiesz, trochę pofiglować? Dziecko śpi, więc...

Wolno wysunęłam rękę spod jego dłoni i skrzyżowałam ramiona na piersiach. Z trudem chwyciłam powietrze.

- Nie - odparłam. - Nie - dodałam ostrzej, potrząsając głową. Szybko schował rękę do kieszeni spodni.

- No cóż, trudno, widocznie źle kombinowałem. Pokiwał głową, wypił ostatni łyk piwa i westchnął.

- Czasem - zaczął - jak babkę zostawi mąż, to ona potrzebuje trochę kochania, no wie pani, co mam na myśli. Nic takiego, trochę pociechy. No to sobie wykoncypowałem, że... - Wzruszył ramionami.

Milczałam.

- Bez urazy, zgoda? Wbiłam wzrok w podłogę.

- No już dobra, Ruda, nie ma o co się wściekać. Podniosłam na niego wzrok. Na twarzy Willisa malował się wyraz nieklamaneego niepokoju. Może był po prostu oportunistą, ale nie zamierzał mnie obrazić. Próbował, nie wyszło i już się z tym pogodził. Widocznie uważał, że warto.

- Bez urazy - odparłam.

Wpuścił przesadnie głośno powietrze, otarł niewidzialny pot z czoła.

- Dobra. W takim razie zgoda, no nie? Zrobił parę tanecznych kroków.

Pomyślałam, że odkąd ostatni raz ośmieliłam się odmówić mężczyźnie, minęły całe wieki, i byłam niemal szczęśliwa, że ktoś mi zrobił taką propozycję.

- To Jack - powiedział Willis, podchodząc do okna. Poszłam za nim i wyjrzałam na morze. Do kanału wpłynęła właśnie zielono-biała łódź. Mężczyzna w żółtym sztormiaku przycumował, po czym płynnym ruchem wskoczył pod pokład, żeby wyłączyć silnik.

- Kompletny wariat - mruknął Willis. - Ja tam nigdy nie wypływam w taki mróz, ale on... proszę bardzo.

Patrzyliśmy, jak wysoki mężczyzna o włosach koloru piasku wyładowuje kraby do mniejszej łódeczki, a później wraca z powrotem do kabiny, żeby zamknąć drzwi.

- Na jego miejscu też spędzałbym na wodzie okrągły rok. Zona Jacka przeżywa trudne chwile. Nawet nie sprząta. Nic w ogóle nie robi. Wszystko zostało na głowie tego chłopca i jego córki. Żal mi tych dzieciaków. Fajne szkraby, ale życie mają kiepskie. Jak Jeannine poszła kiedyś do nich, żeby o coś zapytać, to Rebecca nawet nie wytknęła nosa z pokoju. Podobno ani na chwilę nie przestawała płakać. Oni mieszkają w takim dosyć dużym domu przy samym końcu drogi, no nie? Ludzie mówią, że ona zawsze tak płacze. Jack nigdy się nikomu nie zwierza, ale wystarczy na niego popatrzeć. Tyle lat już są razem. Jak on wyjechał do college'u, Rebecca na niego czekała, a potem wzięli ślub.

Przybliżył głowę do szyby, jakby zobaczył coś ciekawego za oknem.

Mężczyzna w żółtej kurtce wiosłował do brzegu. Woda przybrała żywy, niebieski, zimowy odcień.

- Wszystko z nią było w porządku, dopóki nie wyszła za mąż i nie urodziła dzieci. Podobno czasem tak bywa. Wszystko przez morze i pogodę. To te długie szare zimy dobijają ludzi.

Mężczyzna w żółtym sztormiaku przywiązał łódkę do palika.

- Nie zostawił jej z powodu dzieciaków, chociaż czasem mi się wydaje, że dla nich też byłoby lepiej, gdyby je stamtąd zabrał i poszukał sobie innej

kobiety. Cóż, ja w nim nie siedzę. Może nadal ją kocha. Nie wiadomo. Odwrócił się od okna.

- Muszę iść. Ci ze spółdzielni już na pewno zachodzą w głowę, co też się ze mną stało. Będą dogadywać. A jak wypiję jeszcze jedno piwo, to zasnę na stojąco i zaczną robić ze mnie balona.

Wyrzucił dwie puszkę do śmieci i podszedł do drzwi.

- Znaczy, w porządku? - rzucił.

Skinąwszy głową, jeszcze raz podziękowała mu za ryby. Machnął ręką, jakby chciał odsunąć od siebie moje słowa.

- Muszę naprawić sieci - powiedział.

Pod wieczór Caroline zaczęła grymasić, a później się rozpląkała. Karmienie nie pomogło, odpychała mnie gwałtownie, wykrzywiając buzię. Jak mam jej pomóc, skoro nie chce jeść? - myślałam. Kołysanie też nie sprawiało jej przyjemności. Wpychała sobie piąstkę do ust, co utwierdziło mnie tylko w przekonaniu, że jest głodna, ale kolejne próby przystawiania jej do piersi kończyły się niepowodzeniem. Wzięłam ją na ręce i zaczęłam spacerować po pokoju. Dopóki chodziłam, wszystko było w porządku. Ale kiedy usiadłam i próbowałam udawać, że maszeruję, natychmiast odkryła mój podstęp. Nie rozumiałam, dlaczego chodzenie ma na nią taki zbawienny wpływ. Robiłam kółka po kuchni, salonie, sypialni. Myślałam, że zaraz się przewrócę albo oszaleję. Caroline nie zasnęła ani na chwilę. Kiedy tylko próbowałam się zatrzymać, natychmiast wybuchała płaczem. Dlaczego coś jej dolega tylko wtedy, kiedy siedzę? - myślałam gorączkowo.

Kraźylałam po domu co najmniej godzinę, może nawet dwie. Potem przypomniałam sobie o nosidełku, wytrzymałam mężnie jej protesty podczas ubierania i zdecydowałam się wyjść na dwór, żeby nie zwariować. Miałam też nadzieję, że zimowe powietrze podziała na nią usypiająco.

Mróz szczypał mnie mocno w policzki, ukryłam twarz za kołnierzem płaszczka. Dzięki nosidełku ciężar dziecka spoczywał teraz raczej na moich biodrach, nie ramionach, a wyjście z domu przyniosło mi ulgę. Powietrze nie było tak ostre jak poprzedniego dnia. Może łagodziła je wilgoć, nie wiem. Szłam w dół wzgórza, w stronę kamienistej części cypla. Moje buty - choć nie miały zbyt wysokich obcasów - nie nadawały się zupełnie na tego rodzaju wyprawę. Wiedziałam, że muszę zachować ostrożność. Nie mogłam sobie pozwolić na to, żeby się potknąć czy skrócić nogę. Pomijając już fakt, że mogłoby przy tym ucierpieć dziecko, znajdowałam się przecież na absolutnym pustkowiu. Kto by tu usłyszał moje krzyki? Rozejrzawszy się dokładnie po okolicy, doszłam do wniosku, że nikt. Wołanie nie dotarłoby

nawet do najbliższego domku, położonego przy końcu głównej drogi. Jego mieszkańcy na pewno starannie pozamykali wszystkie drzwi i okna.

Szybko zapadał zmierzch - onosiłam wrażenie, że ciemność wtapia się we mgłę okrywającą już i tak szarą zatokę. Nie widziałam linii horyzontu - jedynie światło latarni morskiej błyskało w równych odstępach czasu. Na brzegu leżały wodorosty, zmurszałe deski, puste muszle krabów, pokruszone skorupy małży. Mijając domek rybaka, poczułam zapach wygaszonego ogniska. Ten domek zawsze mnie intrygował, więc zajrzałam do środka, ale niewiele udało mi się zobaczyć: tylko dwa czy trzy aluminiowo-plastikowe krzesła, skrzynki zbite z listewek, drewnianą ławę, nie wysprzążany kominek. Pomyślałam o mężczyznach, którzy się tam zbierali, próbowałam sobie wyobrazić, jakie rozmowy prowadzą w tym ciasnym, dusznym pomieszczeniu, naprawiając sprzęt. Byłam bardzo ciekawa, co mówią, o czym plotkują.

Przeszłam na plażę, pomyślałam przez chwilę o ostrzeżeniach Willisa, ale mimo wszystko wolałam czuć piasek pod stopami. Zresztą nie bardzo wierzyłam w te kadzie z miodem. Postanowiłam, że na wszelki wypadek będę się trzymać blisko linii maksymalnego przyływu, żeby nie wpaść w pułapkę.

Gdy doszłam na sam koniec cypla, barw zielono-białej łódki już nie można było rozróżnić. Widziałam jedynie jej delikatny zarys, chyba kołysała się na boki. Jedyne żółty kombinezon rybacki wiszący na haku pobłyskiwał w ostatnich promieniach słońca i z daleka przypominał mężczyznę, więc mi się wydawało, że ktoś mnie obserwuje.

Myśląc o rybaku, którego Willis nazywał Jackiem, a także o jego żonie Rebecce, cierpiącej na melancholię, włożyłam Caroline palec do buzi. Czasem tak robiłam, kiedy chciałam ją uspokoić. Tym razem jednak moja córeczka natychmiast mocno zacisnęła na nim szczęki i poczułam maleńką, ostrą niespodziankę. Tu właśnie tkwiło źródło bólu oraz irytacji. Dziecku wyrzynał się nowy ząbek, na górze. Caroline uśmiechnęła się do mnie w ciemnościach. Widocznie ona też chciała, żebym wreszcie odkryła jej tajemnicę. Przypomniałam sobie natychmiast, że nie wzięłam ze sobą aspiryny dla dzieci. Byłam bardzo ciekawa, co robią kobiety z St. Hilaire, kiedy ich dzieci ząbkują. Może smarują im dziąsła koniakiem? Albo dają do gryzienia suchy chleb? A może po prostu aspirynę, tę samą, którą ja bym zastosowała, gdyby tylko przyszło mi do głowy, żeby ją kupić.

Usłyszałam warkot silnika i natychmiast się odwróciłam, żeby zobaczyć, skąd dochodzi, ale ciemność zapadała tak szybko, że zniknął w niej nawet dom. Mignęły mi tylko światła reflektorów jakiegoś pojazdu zmierzającego

w stronę plaży. Pomyślałam, że być może to Willis chce jeszcze raz spróbować szczęścia. Pewnie się łudził, że zmiękczył mnie cały dzień spędzony w towarzystwie dziecka.

Kiedy jednak zobaczyłam światła poruszające się wzdłuż plaży, ogarnął mnie strach, jakbym weszła na teren cudzej posiadłości i nie chciała zostać przyłapaną na gorącym uczynku. Ciężarówka zatrzymała się nieopodal miejsca, z którego mogłaby mnie oświetlić. Kierowca wysiadł z szoferki, nie wyłączając reflektorów. Nadal miał na sobie żółty sztormiak. Stojąc nieruchomo za niewielkim piaskowym wzniesieniem, włożyłam Caroline palec do buzi, żeby nie płakała. Okazało się to jednak zupełnie zbędne, bo moja córeczka wreszcie zasnęła.

Widziałam, jak mężczyzna zwany Jackiem podchodzi do łódeczki i wyjmuje z niej jakieś metalowe pudełko czy skrzynkę z narzędziami. Prostując plecy, zawahał się jednak i położył je na krawędzi, jakby się nad czymś zastanawiał. Włożył pudło z powrotem do łódki, wrócił do auta i wyłączył reflektory. Nie bardzo rozumiałam, co się dzieje. Ledwo go zresztą widziałam. Przed oczyma migiała mi tylko żółta plama jego kurtki. Mężczyzna wrócił do łódki i usiadł.

Mogłam okrócić się na pięcie i wrócić do domu kamienistą plażą. On z pewnością by mnie usłyszał, ale do tego czasu byłabym już daleko. A on nie miałby żadnego powodu, żeby mnie wołać. Mogłam pójść do domu, ale tego nie zrobiłam.

Stałam na plaży, z Caroline w ramionach. Patrzyłam na mężczyznę w łódce, a raczej na żółtą plamę jego kurtki na tle ciemnego piasku i wody. Naturalne światło, którego zostało już o tej porze bardzo niewiele, płatało figle moim oczom. Nie widziałam miejsca, gdzie morze styka się z lądem, i wcale nie byłam pewna, czy dobrze lokalizuję ciężarówkę. Mężczyzna zapalił papierosa - dostrzegłam błysk zapalniczki i mały czerwony ogień.

Stałam tak co najmniej pięć minut, a on siedział w łódce i palił. Nie wiem, o czym wtedy myślałam, bo nawet nie podjęłam świadomej decyzji, żeby z nim porozmawiać. Nie powiedziałam sobie: tak, chcę do niego podejść i zagadać. Nie miałam żadnego powodu, żeby go zaczepiać. Byłam jednak ciekawa, jak naprawdę wygląda jego życie. A może nie chciałam uciekać, nie chciałam utwierdzać się w przekonaniu, że wkroczyłam na zakazany teren. Okrążywszy nasyp, znalazłam się na północnej stronie cypla i nie przerywając marszu, powiedziałam mu „dzień dobry” tak swobodnie, jakby było południe, lato, a ja wyszłabym na plażę z moją córką.

Z pewnością go przestraszyłam. Nie miałam co do tego żadnych wątpliwości. Widocznie się zamyślił albo też zdziwił na widok innego człowieka. A może do tej pory miał cypel tylko dla siebie i zapomniał o samochodzie przed domem.

Wstał, wyszedł z łódki i spojrzał na mnie. Znowu do niego zawołałam. Chyba odpowiedział albo przynajmniej kiwnął głową.

Podeszłam jeszcze bliżej - skoro już i tak się odezwałam, musiałam mu się pokazać. Do tej pory - w płaszczu i szalu - byłam pewnie dla niego tylko szarym, nieforemnym kształtem.

Pamiętam dokładnie, jak wtedy wyglądał. I na to wrażenie nie nakładają się obrazy oglądane w słońcu, przy kominku i o świcie. Był wyższy, niż sądziłam, a na jego kanciastej twarzy widniały dwie głębokie bruzdy biegnące od nosa aż do podbródka. Mężczyzna przekroczył wprawdzie czterdziestkę, ale z pewnością nie był stary. Jego ogorzałą twarz wysuszyło po prostu słońce, o czym świadczyły również zmarszczki wokół oczu. W ciemnościach nie widziałam dokładnie koloru jego włosów, choć już wiedziałam, że są bardzo jasne, niezbyt długie, kręcone. Pod kurtkę włożył przybrudzony, biały sweter ręcznej roboty z dziurką w okolicach barku. Rzucił papierosa na piasek.

- Widzę, że wyszła pani z dzieckiem - powiedział wolno, jakby się wahał, ale nie wydawał się zdziwiony. Miał głęboki głos, mówił z akcentem charakterystycznym dla mieszkańców Maine, przeciągając lekko samogłoski. Wysławiał się jednak bardzo ładnie, podobnie jak Julia, jego kuzynka.

Spojrzałam na Caroline.

- Ząbkuje. Chciałam ją jakoś uspokoić i dlatego wyszłyśmy na spacer.

- Chyba pomogło - powiedział.

- Tak - odparłam z uśmiechem. - Wynajęłam tu dom. Zerknął w kierunku willi.

- Słyszałem, że ktoś tam jest, i zauważyłem pani samochód. Nie przedstawiliśmy się sobie, nie wymieniliśmy również uścisku dłoni. Dlaczego? Wtedy mi się wydawało, że tak jest praktyczniej, bo nic nie wskazywało na to, że nasza znajomość się rozwinie.

- Widziałam pana i pańską łódkę - powiedziałam.

- Odstawiam ją do portu dopiero w połowie stycznia. Często zaraz po Nowym Roku zaczyna się odwilż.

- Ach, tak.

- Dzisiaj jednak jest zimno.

- Ale pan wypłynął.

- Owszem. Nie bardzo mi się to opłacało.
 - Willis Beale twierdzi, że to szaleństwo. Widzieliśmy pana, kiedy przyniósł mi ryby.

- Willis - parsknął, jakby chciał mi w ten sposób zasugerować, że nie powinnam traktować Beale'a poważnie. Ale ja to i tak już wiedziałam.

Zerkał na morze, w kierunku swej łodzi, a ja patrzyłam na jego twarz, zniszczoną przez wiatr albo może jeszcze coś innego. Co w niej dostrzegłam? Oczy, tak, oczy, wydawały mi się stare, może tylko zmęczone. Nie potrafiłam oderwać wzroku od tej twarzy, jej kształtu i tego wyrazu opanowania lub czegoś, co brałam za spokój. Jack był raczej szczupły, ale odnosiłam wrażenie, że jest ciężki, zakotwiczony na piasku. Otaczała go dziwna aura bezruchu.

Zerwał się lekki wiatr, pasmo jasnych włosów opadło mu na czoło.

- Muszę ją położyć - powiedziałam, osłaniając główkę Caroline.

- Robi się późno - zauważył.

Pochylił się, żeby wyjąć z łódki pudło z narzędziami, a ja poszłam w swoją stronę. Nawet nie wymieniliśmy pozdrowień czy formułek grzecznościowych w rodzaju „miło mi było panią poznać”.

Znajdowałam się dokładnie w połowie drogi do plaży, kiedy usłyszałam warkot uruchamianego silnika. Reflektory ciężarówki oświetlały przez chwilę moje plecy, potem zamajaczyły na ścieżce. Zatrzymałam się, żeby popatrzeć na snop światła zmierzający na południe, do miasta.

Dni zaczęły mi płynąć zgodnie z pewnym rytmem, który ustalił się zupełnie bez mojej wiedzy i zaczął się wdzierać przemocą do podświadomości.

Rano budził mnie warkot silnika. Za oknem pojawiały się dopiero pierwsze oznaki poranka, szarzało. Słuchałam, jak jedna z ciężarówek jedzie piaszczystą drogą, a po jakimś czasie nauczyłam się rozpoznawać charakterystyczne dźwięki. Trzask zamykanych drzwi, szuranie jakiegoś przedmiotu wleczonego wzdłuż auta, plusk łódeczki, skrzypnięcie drewna pod czyims ciężarem, uderzenie fali o większą łódź. Potem odzywał się inny silnik, przez chwilę trochę narzekał, jakby zamierzał umilknąć, aż wreszcie cichł powoli, z dyskretnym jękiem, gdy łódź wypływała na morze.

Codziennie rano słałam wysokie podwójne łóżko. Wyglądałam prześcieradło, poprawiałam kapę. Była w tej czynności jakaś klasztorna czystość, powrót do samotnego życia. Jeśli Caroline jeszcze spała, schodziłam do kuchni, robiłam sobie kawę, po czym siadałam w szlafroku i swetrze przy stole i patrzyłam, jak morze zmienia barwy.

Na początku nawet nie byłam w stanie czytać. Książki leżały zamknięte na stole. A ja chciałam tylko patrzeć.

W samej pełni zimy, kiedy wszystko powinno spać, krajobraz bez przerwy się zmieniał. Czasem morze odpływało tak daleko, że przy brzegu zostawały tylko kałuże. A innym razem zalany przez wodę cypel przybierał kształt cienkiego szpikulca.

Bardzo mało wiedziałam o morzu. Przez pierwsze dni nie byłam w stanie przewidzieć przyptywów i odpływów. Zawsze mnie zaskakiwały. Z ptaków rozpoznawałam jedynie mewy, innych nigdy przedtem nie widziałam. Parę razy mi się wydawało, że dostrzegam fokę. Ale - jak się później okazywało - to były tylko skały, o które uderzały fale.

Miałam również obowiązki. Prałam ręcznie, pieluchy gotowałam w garnku, a mokre rzeczy suszyłam za domem. Lubiłam patrzeć na maleńkie podkoszulki i moje dżinsy powiewające na wietrze.

Wokół mnie wrzała praca, widocznie brałam przykład z innych. Jak mogłam próżnować, skoro tuż pod moim nosem rybacy naprawiali sieci lub wypływali na wodę? Najpierw przybywały ciężarówka, potem słyszałam warkot silnika motorówki i widziałam dym unoszący się z komina szopy. Na cyplu zatrzymywały się zwykle trzy lub cztery samochody. Od czasu do czasu docierały do mnie dźwięki muzyki, czasem krzyk lub śmiech. A wczesnym popołudniem wypatrywałam zielono-białej łódki wynurzającej się zza wyspy pociemniałej od sosen. I to stanowiło kamień milowy w całym moim dniu - nigdy nie pominęłam okazji, by popatrzeć na mężczyznę w żółtej kurtce, powracającego z połowu.

Kiedy jednak czarna ciężarówka zniknęła za zakrętem, dzień tracił rozpęd. Znikały znajome odgłosy i rytmy, na które czekałam, i trudniej było wytrzymać godziny dzielące mnie od zmierzchu. Usiłowałam je wypełnić przejażdżką, spacerem lub drzemką. Wiedziałam jednak aż za dobrze, że są to wyłącznie akty desperacji, potyczki z pustką.

Wreszcie, pod koniec drugiego tygodnia narzuciłam sobie rozkład dnia nie kolidujący z otaczającym mnie światem. Kupiłam kilka motków wełny i zaczęłam robić dwa swetry na drutach: jeden dla siebie, drugi dla Caroline. Rano, kiedy moja córeczka drzemała, ja zajmowałam się robótką. Nauczyła mnie tego mama jeszcze w dzieciństwie, ale odkąd zamieszkałam w Nowym Jorku, ani razu nie miałam drutów w ręku. Wybór tego zajęcia odczułam jak więź łączącą mnie z matką, z czymś, co od niej dostałam i w zmienionej postaci przekazywałam swojemu dziecku. Praca wykonywana ręcznie stanowiła swoisty akompaniament do zajęć podejmowanych przez poławiaczy homarów.

Raz w tygodniu, w soboty, telefonowałam do matki z automatu w supermarkecie w Machias. Tak mi to już weszło w zwyczaj i wiedziałam, że mama bardzo by się zdenerwowała, gdybym do niej nie zadzwoniła. Nie mówiłam jej, gdzie jestem ani co się stało. Udawałam, że wszystko jest w porządku.

Willis przychodził do mnie prawie codziennie pod byle pretekstem. Przynosił ryby albo chciał się po prostu ogrzać w kuchni. Raz wyrzeźbił drewnianą lalkę dla Caroline. Codziennie siadywał przy kuchennym stole i patrzył mi prosto w twarz. Siniaki zaczynały powoli blednąć, ale i tak odwracałam głowę, ilekroć zaczynał mi się przyglądać.

Zawsze wpuszczałam go do środka - choćby z grzeczności - ale on nigdy nie zostawał zbyt długo. Ani razu już mnie nie zapytał, czy miałabym ochotę pogliwować, ale ten temat wciąż wisiał w powietrzu. Czy zmieniłabym zdanie, gdyby Willis okazał się bardziej wytrwały?

Będzie pani z pewnością ciekawa, dlaczego dopuściłam do tych wizyt, i ja sama też się nad tym zastanawiam. Sądzę, że po prostu nie chciałam go zrażać. Z drugiej strony wcale nie zamierzałam zwracać na siebie uwagi. Chyba miałam nadzieję, że Willis w końcu się przekona, że traci tylko czas, i przestanie przychodzić.

Po jego wyjściu karmiłam dziecko i przygotowywałam sobie lunch. Zwykle kończyłam zajęcia przed południem, a potem zabierałam Caroline na spacer. Ilekroć pozwalała na to pogoda, wkładałam ją do nosidełka i szłam na koniec cypla albo na południe wzdłuż skał. W czasie jednej z wypraw do Machias kupiłam sobie parę sportowych butów, żeby mi było wygodniej chodzić po kamieniach. Czasem szukałam czegoś na plaży, na przykład fiołkowo-różowych kamyczków albo białych muszelek. Na parapetach okien przybywało dzbanuszków i słoików z moimi znaleziskami.

Po spacerze pakowałam Caroline do samochodu i jechałyśmy do St. Hilaire. Codziennie robiłam zakupy, starannie wybierając produkty na kolację. Nauczyłam się wytrzymywać to nieszczęsne szklane oko, pogaduszki, pytania - a po jakimś czasie nawet nie mogłam się ich doczekać - stanowiły jedyną cienką nić łączącą mnie z miastem.

Dwa razy w tygodniu chodziłam do biblioteki. Wreszcie zaczęłam czytać, a jak już raz zaczęłam, wciąż odczuwałam niedosyt lektur. Czytałam wieczorami i długo w noc, czasem pożerałam jedną książkę dziennie. Po raz pierwszy w życiu mogłam sobie pozwolić na laki luksus.

Biblioteka nie była najbogatsza - brakowało w niej nowości, ale za to obfitowała w klasykę, co wystarczyło, żeby zająć mi czas. Połykałam

powieści Hardy'ego, Jacka Londona, Dickensa, Virginii Woolf i Willi Cather.

Zawsze chętnie wchodziłam do tego małego kamiennego budynku. Pracowała tam kobieta, nazywała się chyba Jewett, która najpierw nie bardzo chciała wydać mi kartę, gdyż nie mieszkałam w St. Hilaire na stałe, ale po długotrwałych perswazjach z mojej strony wreszcie ustąpiła. Teraz dopiero rozumiem, jak surowe miała zasady, bo przecież oprócz mnie nikt w ogóle nie korzystał z jej zbiorów.

W końcu zaczęłam odwiedzać Julie Strout, wpadałam do niej na herbatę. Czasem było mi smutno, chociaż z drugiej strony ceniłam sobie bardzo swoją samotność. I właśnie poczucie osamotnienia kazało mi odwiedzić tę kobietę ze szparą między zębami. Wychodząc ze sklepu Everetta, zobaczyłam dom Julii i pomyślałam, że mogłabym do niej wpaść pod pretekstem ciekącego kranu w kuchni albo poprosić o dodatkową kołdrę. Już na ganku, z dzieckiem w ramionach, zapomniałam o pretekstach, a kiedy mi otworzyła - wyraźnie zdziwiona, choć nie dała tego po sobie poznać - powiedziałam po prostu, że przyszedłam się przywitać.

Sądziłam, że w jej domu jest pełno różnych fidrygałek i bibelotów, na przykład serwetek robionych na szydełku czy innych tego typu ozdóbek. Może dlatego, że Julia należała do innego pokolenia niż ja. Ale to wnętrze wcale nie było przeładowane, pokoje okazały się przestronne, a jednocześnie ładne i przytulne. Pamiętam te ciemne, błyszczące parkiety, które - jak się później okazało - codziennie pastowała. Wstawiała zawsze rano, o szóstej, i dwie godziny poświęcała na sprzątanie, tak żeby potem przez resztę dnia nie myśleć o obowiązkach. Zaprosiła mnie do sporej kuchni, obitej białą boazerią, z szarozielonymi deskami na podłodze. Powiedziała, że zaraz poda herbatę. W kuchni znajdował się kominek i duży, okrągły dębowy stół. Julia była ubrana - jak zwykle zresztą - w grube sztruksowe spodnie i sweter. Chyba ani razu nie widziałam jej w spódnicy. Kiedy stawiała czajnik na kuchni, zauważyłam, że ma dobrze umięśnione ręce. Pamiętam też, że na półkach stało mnóstwo książek - ale nie kucharskich, tylko powieści i biografii - więc odniosłam wrażenie, że Julia spędza większość czasu właśnie w tym pomieszczeniu.

Pozwoliłam Caroline pełzać po podłodze, oczywiście ani na chwilę nie spuszczać jej z oka. Julia zastawiła kominek i również obserwowała małą. Raz nawet wstała i przeniosła ją w drugi koniec pokoju.

- Już się pani zagospodarowała? - spytała, sięgając po kubki z herbatą.
- Tak - odparłam. - Ten dom jest naprawdę cudowny. Taki spokojny.

- Może już pani wie, jak długo zamierza tu zostać? Pytanie miało czysto retoryczny charakter - chyba jej to w ogóle nie interesowało, ale mimo wszystko musiałam się zawahać albo też zrobiłam zaniepokojoną minę, bo Julia natychmiast zaczęła się tłumaczyć.

- Należy do pani, póki tylko będzie pani chciała w nim mieszkać. Nikt go nie zarezerwował.

- Ach, tak.

- Z mlekiem czy z koniakiem? - spytała.

- Słucham?

- W takie zimne dni ja osobiście wolę koniak, ale proszę wybierać według własnego uznania.

- Z koniakiem - odparłam.

Patrzyłam, jak wlewa do kubka duże krople bursztynowego płynu. Widocznie wcale nie była taka zasadnicza, za jaką ją uważałam.

Postawiła parującą herbatę na stole. Pociągnęłam spory łyk. Czułam, jak miłe ciepło mocnego alkoholu rozlewa mi się w żołądku.

- Zamierza pani poszukać pracy? - spytała.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Spojrzałam na Caroline.

- W końcu tak - odparłam po chwili. - Ale tu chyba nie ma zbyt wielkiego wyboru. Nie przychodzi mi do głowy nic, co mogłabym robić.

- Zapewne ma pani jakąś sumę pieniędzy - zaczęła ostrożnie.

- Tak.

- A jak one się skończą...

- Właśnie.

- Rozumiem. - Odwróciła się na krześle. - Lubię mieszkać sama - powiedziała - choć ten dom jest stanowczo zbyt duży jak na jedną osobę. Ale willi na cyplu nie można tego zarzucić.

- Rzeczywiście.

- Pozamykałam większość pokoi. Nie potrafię sobie wyobrazić, że mogłabym znosić czyjeś towarzystwo. Zbyt długo byłam sama.

Zrozumiałam dyskretną aluzję. Miałam się nie bać samotności. Upiłam kolejny łyk herbaty. Caroline wydawała śpiewne odgłosy, wyraźnie zaintrygowana rzeźbionymi, nogami wysokiego stołu w kącie pokoju.

- Pani się tutaj ukrywa - powiedziała nagle Julia. - Uciekła pani z domu.

Milczałam.

- To nie moja sprawa - dodała szybko.

- Musiałam - wykrztusiłam w końcu z trudem. Popatrzyła na swoje kolano założone na drugą nogę. Nosila robocze, sznurowane buty za kostkę.

- Nie powinna pani przebywać bez przerwy tylko z małą. Mogę jej czasem popilnować, jeśli zechce pani odpocząć.

- Dziękuję - odparłam - ale nie będę nadużywać pani uprzejmości.

- Proszę się zastanowić.

- Z pewnością to zrobię.

W kuchni zaległa cisza. Caroline straciła równowagę i uderzyła główką o krzesło. Podniosłam ją z podłogi i wzięłam na ręce.

I tak już zresztą skończyłam herbatę, więc powiedziałam, że muszę iść.

Niechętnie odprowadziła mnie do drzwi. Pomyślałam, że może ona również czuje się samotna.

- Proszę znowu wpaść na herbatę - zaproponowała. Obiecałam, że wpadnę. Patrzyła, jak wkładam Caroline do śpiwora, wiążę szalik pod szyją.

- On tu pani nie znajdzie - powiedziała.

Nie pojechałam prosto do domu, wybrałam się po zakupy do Machias. Weszłam więc do sklepu i zafundowałam sobie koszulę nocną - długą, flanelową, w słoneczniki, zupełnie prozaiczną koszulę, w której byłoby mi ciepło. Taką, jaka miała prawo się przetrzeć od częstego noszenia.

Koszulę, jakiej Harold nigdy nie pozwoliłby mi włożyć.

W połowie grudnia, na dziesięć dni przed świętami, na cyplu zaczął się ruch, bo aż trzy z czterech łodzi miały zostać zholowane na keję. Wokół zaroilo się od przyczep, dźwigów, bloków i ludzi. Jedną z łodzi odholowywanych do portu była „Jeannine”, własność Willisa. On sam odwiedził mnie aż dwukrotnie tego dnia, najpierw wpadł na kawę, a potem na drinka, jakby chciał zasugerować mężczyznom na cyplu, że jesteśmy starymi przyjaciółmi. Byłam ciekawa, czy oni się o mnie wypytywali, a jeśli tak, to co im powiedział. Czy poczuł się w obowiązku trochę podkoloryzować tych parę faktów, które znał, tak żebym w jego opowieściach jawiła się jako osoba na wskroś tajemnicza? Zielono-biała łódź nie powędrowała na keję. Nie było jej nawet w kanale. Widocznie właściciel wypłynął o świcie i nie zamierzał powrócić aż do zmierzchu.

Tego dnia wybierałam się z Caroline po zakupy. Zabrakło mi kawy, płynu do zmywania naczyń i kaszki, którą właśnie zaczęłam podawać córce. Pomyślałam, że pojedziemy do miasta i wpadniemy do sklepu Everetta Sheda. Było zimno, pochmurno, zbierało się na śnieżycę, więc nie miałam zbyt wiele czasu do stracenia. Wstawiłam koszyk z Caroline na tylne siedzenie i uruchomiłam silnik. Znajdowałam się już w połowie kamienistej drogi, kiedy zrozumiałam, że coś jest nie tak. Kierownica ściągała w prawo. Zatrzymałam auto i wysiadłam. Złapałam gumę w prawym przednim kole.

Pani zapewne będzie się z tego śmiała - wydaje mi się, że uważa się pani za osobę niezwykle kompetentną - ale ja nigdy przedtem nie zmieniałam koła. Pokazywał mi to kiedyś przyjaciel matki, ten sam, który nauczył mnie prowadzić, ale nigdy nie sprawdziłam w praktyce swoich umiejętności. Rozejrzałam się, jakbym liczyła na to, że zaraz się przy mnie pojawi jakiś wybawiciel - gdzie się podziewał Willis, kiedy naprawdę go potrzebowałam? - ale wokół panował nieprzyjazny bezruch. Po zholowaniu łodzi panowie najwyraźniej zrobili sobie wolne. A zielono-biały kuter jeszcze nie wrócił z połowu. Pomyślałam, że właściwie mogę przełożyć tę wyprawę na następny dzień, ale nie zachwycała mnie perspektywa braku auta w razie nagłej potrzeby. Zniosłam Caroline do domu, żeby nie marzła na tylnym siedzeniu, ale przez to całe zamieszanie moja córeczka rozbudziła się całkowicie i zaczęła płakać.

Wymamrotałam, że zaraz wrócę, co było w tej sytuacji stwierdzeniem stanowczo zbyt optymistycznym, i poszłam przeszukać bagażnik. Znalazłam lewarek, zapas, a także klucz francuski. Teoretycznie wiedziałam, na czym polega zmiana koła, toteż uruchomiłam lewarek, ale nie udało mi się odkręcić śrub. Z daleka słyszałam płacz Caroline.

Pomyślałam, że może powinnam zaczekać, aż dziecko zaśnie. A wtedy zrobiłoby się przecież zupełnie ciemno, co dodatkowo utrudniłoby zadanie, które już i tak mnie przerastało. Doszłam do wniosku, że jeśli zacznę skakać na klucz, to może śruby wreszcie się oblużą. Skakałam więc, jak umiałam najlepiej, przytrzymując się auta, i - o ile dobrze pamiętam - przeklinałam swój pech, kiedy nagle usłyszałam za sobą głos.

Nie zauważyłam cumującej łodzi. Z alejki kanał nie był zbyt wyraźnie widoczny. Poza tym nie dotarły do mnie znajome dźwięki, gdyż rozpraszał mnie płacz Caroline.

- Aż się dziwię, że ktokolwiek potrafi odkręcić te koła - powiedział. - Proszę mi pozwolić spróbować.

Pochyliwszy się, mocno pociągnął za klucz. Patrzyłam na niego od tyłu, uszy poczerwieniały mu z zimna. Chyba nigdy nie nosił czapki. Odkręcił śruby, po czym wrzucił je do dekła. Caroline zanosila się histerycznym płaczem.

- Muszę iść do dziecka - powiedziałam.

Skinąwszy głową, zdjął koło z osi. Poszłam po Caroline, wzięłam ją w ramiona i wróciłam, żeby popatrzeć, jak mężczyzna w żółtej kurtce zmienia mi koło. Dokładnie obejrzał przebitą oponę, obracając ją w dłoniach.

- Nie wiem, co się stało. Radziłbym ją zawieźć do Everetta. Chyba będzie potrafił ją naprawić - powiedział, wycierając ręce w szmatę znaną w bagażniku.

- Cieszę się, że pan tędy przejeżdżał - powiedziałam. - Sama nic bym nie zdziałała.

- Ktoś w końcu by się pojawił. Mała nadal kaprysi? Zerknęłam na Caroline.

- Od tamtego wieczoru już nie. Jest bardzo grzeczna. Uniosłam głowę. Patrzył na mnie uważnie. Zmieniając

koło, nie pomyślałam o szaliku. Nie spuszczał ze mnie wzroku przez kilka sekund, milczał, a ja się nie odwróciłam. Myślałam, że jego oczy zupełnie nie pasują do twarzy. Otworzył usta, jakby zamierzał coś powiedzieć, ale w końcu zrezygnował.

Wrzucił szmatę do bagażnika, zatrzasnął klapę.

- Dziękuję - powiedziałam.

- Nie ma za co - odparł.

Ruszył w swoją stronę, kiedy zza rogu wyjechała ciężarówka, rozpryskując żwir, który uderzył w karoserię mojego auta jak seria pocisków. Mężczyzna w żółtej kurtce pomachał Willisowi, ale się nie zatrzymał.

Willis wyskoczył z szoferki, po czym zerknął wymownie na Jacka i na mnie.

- A co to znowu za historia?! - zawołał, z trudem chwyając oddech.

- Jaka historia?

- Skąd on się tutaj wziął?

Pomyślałam, że to mimo wszystko dziwne pytanie.

- Złapałam gumę. Zobaczył, że próbuję zmienić koło, i zaproponował pomoc.

- Aha.

Wytrząsnąwszy papierosa z paczki, włożył go do ust. Był wyjątkowo zdenerwowany.

- Muszę jechać - powiedziałam. - Chcę oddać koło do Everetta.

- Ja to załatwię. A później przywiozę z powrotem i zmienię.

- Nie - odparłam. - Ale dziękuję. Muszę jeszcze coś kupić. Zrobiłam krok w stronę samochodu.

- Przyjechałem, żeby panią zaprosić na ognisko.

- Ognisko?

- Tak, to nasza tradycja. W Boże Narodzenie zbieramy się na błoniach, palimy ognisko, śpiewamy kolędy. Wszyscy tam chodzą. Kobiety z parafii

przyrządzają gorący jablecznik i pieką ciastka dla dzieci. Może pani okutać małą po uszy i przyjść. Nawet by pani nie uwierzyła, że przy ognisku może być tak ciepło. - Spojrzała na niebo. - Chyba znowu zanosi się na śnieżycę.

Pomyślałam, że widocznie kończą mu się preteksty. Do Bożego Narodzenia zostało sporo czasu.

- No dobrze, zobaczę - powiedziałam. Zaciągnął się głęboko papierosem.

- Mam pojechać z panią do miasta? Dopilnować tej opony i innych rzeczy?

- Nie, dziękuję. Dam sobie radę.

- Na pewno, Ruda?

- Tak - odparłam. - Na pewno.

- W takim razie w porządku. - Popatrzył na znikającą postać w żółtej kurtce. - Pójdę, zapytam Jacka, co słyhać. Szkoda, że nie przyjechałem wcześniej. Jakbym zmienił tę oponę, nie musiałyby pani zawracać głowy Jackowi.

- Nie zawracałam mu głowy. On po prostu...

- Dobra, wszystko jedno - przerwał mi Willis. - Teraz proszę na siebie uważać, bo może się zacząć śnieżycy.

- Nic mi nie będzie - uciełam ostro. Ostrzej, niż to było konieczne.

Wsiadłam do samochodu, zapakowałam Caroline na tylne siedzenie, zamknęłam drzwi. Willis pomaszrował przed siebie z rękami w kieszeniach. Włożyłam kluczyk do stacyjki, zaczerpnęłam głęboko powietrza. Zaczęłam sobie wyobrażać, że to Harrold wyjeżdża nagle zza rogu, rozpryskując żwir na karoserię mojego auta. Poczulałam się tak, jakbyśmy obie były uwięzione w samochodzie, a on nas atakował.

Dużo bym wtedy dała za to, żeby wiedzieć, gdzie on się podziewa, o czym myśli, co zrobił, żeby mnie znaleźć.

Niektóre fragmenty mego pobytu w St. Hilaire są całkowicie zamazane. Na przykład te dni przed świętami. Pamiętam dokładnie Wigilię, ognisko, ale to, co się działo przedtem, widzę zupełnie jak przez mgłę.

W Wigilię Caroline bardzo płakała. Wyrzyły się jej jednocześnie dwa zęby i nie pozwoliła się pocieszyć. Nie poskutkowała nawet aspiryna, którą jej w końcu kupiłam. W akcie desperacji zabrałam ją do samochodu. Kręciłam się po wybrzeżu przynajmniej godzinę w nadziei, że dziecko wreszcie zaśnie. Dzień wydawał mi się jasny, przejrzysty. Zmierzając na południe, w stronę miasta, po lewej miałam zatokę haftowaną błyszczącymi, lśniącymi w słońcu klejnotami. Ciemne okulary wkładałam zarówno z potrzeby, jak i z konieczności. Kiedy zapakowałam Caroline do auta, zielono-białego kutra nigdzie nie było, więc później przez cały czas

wypatrywałam plamki, która mogła okazać się łódką wypływającą nagle zza wyspy lub podskakującą na falach między bojami.

Wielu ludzi kręciło się po cyplu. Słyszałam warkot silnika, a potem nawoływania, krótkie, szorstkie pozdrowienia mężczyzn, nie przerywających pracy nawet podczas rozmowy.

Chyba pomyślałam, że popatrzę przez chwilę na ognisko, a potem zabiorę dziecko do domu. Bardzo byłam ciekawa tutejszej fety i na pewno się cieszyłam, że mam dokąd pójść, ale nie chciałam, żeby Caroline przebywała zbyt długo na mrozie.

Nie jechałam tą drogą po zmroku od czasu pierwszej wyprawy do motelu, ale posuwałam się ściśle według określonych punktów orientacyjnych. Niebo było usiane gwiazdami, a tuż nad horyzontem pojawił się kremowy księżyc wysyłający promienistą wiązkę na morze, oświetlający od wschodu zarysy przyczep, domków i willi.

Wiele domów udekorowano lampkami świątecznymi, porozwieszanymi wzdłuż gzymsów lub w oknach. Gdzieniedzie dostrzegałam choinkę i choć tego wieczoru byłam wyjątkowo rozkojarzona, myślałam, jaki to stary zwyczaj: tak zabrać drzewko do domu i przystroić je szklanymi czy też papierowymi ozdobami, a na koniec powiesić na nim sznur kolorowych lampek. Próbowałam sobie wyobrazić, jak bym się odniosła do tej tradycji, gdybym w lecie pojechała na przykład do Karaczi lub Kairu i zobaczyła, że z okazji muzułmańskiego święta dekoruje się tam drzewka. I choć błądziłam myślami gdzie indziej, przed oczyma stawały mi obrazy świąt spędzanych z matką - pończochy zwisające z regału na książki, kruche szklane ozdoby na górnych gałęziach choinki, elektryczne lampki w oknach, stos prezentów: ręcznie robione swetry, czapki i rękawiczki, mnóstwo zabawek.

Z obrzeży miasta widać już było ognisko. Zaparkowałam w małej zatoczce za kościołem, włożyłam Caroline do nosidełka i owinęłam ją płaszczem tak, że znad guzików wystawała tylko główka. Od popołudnia moja córeczka czuła się lepiej i pomyślałam, że pewnie zaraz zaśnie.

Poszłam w stronę ogniska. Na błoniach zebrało się już przynajmniej ze sto osób, większość stała wokół ogniska. Najbliżej znaleźli się chłopcy, rzucający na stos kawałki gałązek, odwracający twarz przed buchającym w górę pomarańczowym płomieniem. Ogień robił strasznie dużo hałasu - skakał, trzeszczał, buzował, a wokół niego panowało równie wielkie zamieszanie. Dzieci piszczały, pokrzykiwały, dorośli napominali swoje pociechy, klaskali w zmarznięte dłonie, wymieniali pozdrowienia.

Choć stałam stosunkowo daleko, czułam żar buchający od ogniska. Raz czy dwa razy mignął mi nastolatek z pacyfką przypiętą do kurtki, drugi

wyrostek niósł transparent z napisem: „Dosyć wojny!” Bijące od ognia światło przeciskało się, gdzie tylko mogło, przez luki w tłumie i padało na pomnik Ofiar Wojny oraz zielony volkswagen zaparkowany nieopodal drzewa tak wysokiego, że nawet nie widziałam jego korony.

Zawsze bardzo się bałam ognisk. Wydawało mi się, że od iskier łatwo mogłyby się zająć deski sklepu, domu Julii czy też drzewa stojące na wzgórzu, ale nikt poza mną najwyraźniej nie dostrzegał w tym żadnego niebezpieczeństwa. Skoro przez tyle lat udało im się uniknąć wypadku, taka możliwość nie przychodziła im pewnie w ogóle do głowy. Albo też zmrożone drewno wcale nie pali się tak łatwo. Nie wiem.

Z dala od tłumu, otulona w płaszcz i szal, czułam się bezpieczna, choć od czasu do czasu udawało mi się pochwycić czyjeś ukradkowe spojrzenie. Większość mieszkańców St. Hilaire z pewnością już słyszała o kobiecie z dzieckiem, być może niektórzy sądzili, że przyjechałam tu na święta w odwiedziny do krewnych. Zebrani przy ognisku ludzie byli na ogół poubierani w puchowe kurtki, grube szaliki i czapki robione na drutach. Z ust leciała im para. Niektórzy mężczyźni pociągali od czasu do czasu z butelek pochowanych w papierowych torebkach, a raz czy dwa razy uderzył mnie w nozdrza słodki zapach marihuany, chociaż nie widziałam nikogo ze skrzętem.

- Używamy głównie zarobaczonego drewna ze starych łodzi. Przestraszona, odwróciłam się w stronę, z której dobiegał głos. Willis trzymał w jednej ręce puszkę z piwem, drugą schował do kieszeni spodni. Na wąsach osiadł mu szron, ogień oświetlał jego mocno przekrwione oczy.

- Żeby rozpalić ognisko - wyjaśnił. - Układamy w stos zepsute łodzie i inne rupiecie. Pięknie bucha, nie? - spytał, otaksowawszy mnie wzrokiem.

- Gdzie jest pańska rodzina? - spytałam szybko.

- Jeannine zabrała chłopców do kościoła na jablecznik i Bóg wie co jeszcze. Zobaczyłem panią z daleka.

Wypił ostatni łyk piwa, rzucił puszkę na ziemię i rozgniół ją nogą.

- No, jak się pani podoba nasze ognisko? Niesamowite, nie?

- Rzeczywiście - przyznałam.

- Już pięćdziesiąt lat je palimy. Nawet mój stary o nich opowiadał. Chce pani piwa?

- Nie, dziękuję.

- To może dymka? Mógłbym dla nas wykombinować ze dwa skrzęty.

Zupełnie mi się to „dla nas” nie podobało. Nie przypadł mi również do gustu obraz, jaki mi nagle stanął przed oczyma. Wyobraziałam sobie, że stoję z Willisem za kościołem i popalam marihuaną.

- Bardzo chciałabym poznać pańskich synów - odparłam.

- Jasne. Niedługo tu przyjdą - powiedział niepewnie. Nagle - bez żadnego uprzedzenia, zupełnie znikąd - rozległ się śpiew. Najpierw usłyszałam głos jednego mężczyzny, później dołączyli do niego inni. Umilkły rozmowy. Przy końcu „Cichej nocy” całe miasto śpiewało już unisono - w głębokie basy mężczyzn wdzierał się od czasu do czasu wibrujący sopran starszych kobiet.

Później rozpoczęli weselsze kolędy, a ja nie spuszczałam z nich wzroku. W końcu sama zaczęłam nucić. Głównie po to, żeby uniknąć rozmowy z Willisem, który się kiwał - lub chwiał, nie jestem pewna - tuż nieopodal. Podczas drugiej kolędy dojrzałam przed sobą Jacka. Dzielili nas dwie, może trzy osoby. Stał do mnie tyłem, ale pochylał głowę w stronę kilkunastoletniej dziewczyny, więc widziałam jego twarz, gdy do niej mówił. Dziewczyna rozlała jabłecznik na rękawiczki - na tym chyba polegał problem - a Jack natychmiast oddał jej swoje. By mogła je włożyć, wziął od niej kubek z jabłecznikiem. Nie widziałam twarzy tej dziewczyny, ale uderzył mnie kolor jej długich włosów wystających spod czapki. Były takie same jak włosy Jacka.

Może nastąpiło jakieś przegrupowanie w tłumie albo też mężczyzna stojący tuż przede mną zasłonił mi widok, bo chyba zaczęłam zadzierać i przekrzywiać głowę, żeby popatrzeć na scenę, która się właśnie rozgrywała między Jackiem a jego córką. Wtedy uświadomiłam sobie nagle, że Willis obserwuje uważnie moją twarz, przenosi wzrok na to, co tak zajmuje moją uwagę, i znów zerka na mnie. Gdy pochwyciłam to spojrzenie, chyba ogarnął mnie wstyd. Nie potrafiłam odgadnąć, o czym on właściwie myśli, ale spoglądał na mnie jakoś tak śmieiej, ostrzej niż przedtem.

- Przyniosę jabłecznik - powiedziałam szybko.

Kościół był ciepły, jasno oświetlony. Ludzie zdejmowali szaliki, czapki i rękawiczki natychmiast po wejściu, a ci, którzy nosili okulary, musieli wycierać z nich parę. Powiedziano mi, że jabłecznik stoi w holu parafialnym, czyli w pomieszczeniu przylegającym do sanktuarium. Podeszłam wraz z innymi do długiego stołu przykrytego czerwonym obrusem. Stały na nim czarne dzbanki z gorącym jabłecznikiem, talerzyki z herbatnikami i ciastem, a także świece ozdobione ostrokrzewem. Śliczny, wyraźny zapach jabłeczniaka wypełniał cały kościół. Z zawieszonej na scenie zasłony zwisały girlandy srebrnych błyskotek, a w rogu stała choinka.

Caroline obudziła się i przetarła oczy. Pomyślałam, że pewnie niedługo będę musiała ją nakarmić, i zaczęłam się zastanawiać, czy nie pojechać prosto do domu. Było mi gorąco w szaliku.

Jablecznik pachniał bardzo zachęcająco, ale nie czułam się na tyle dobrze, żeby zostać w kościele. Obawiałam się również i tego, że Caroline może się spocić, a zupełnie mi się nie uśmiechało wyjmowanie jej z nosidełka i rozbieranie.

Chłód panujący na zewnątrz przyniósł mi ulgę. Stałam na stopniach kościoła i obserwowałam rozgrywającą się przede mną scenę. Ostry wiatr od oceanu omiółł ognisko, które natychmiast się rozjaśniło i wysłało w niebo strzelisty snop iskier. Z kościoła wyszła kobieta, stanęła obok mnie na schodach, po czym zaczęła poprawiać czapkę oraz szalik. Chór śpiewał „Radość świata”, a ja pomyślałam, że zarówno kolędowanie, jak i ognisko osiągnęły swój najbardziej płomienny punkt kulminacyjny.

- Wiem, że robimy to co roku - powiedziała moja sąsiadka - ale ostrzegłam dziś rano Everetta, że kiedyś będzie pożar.

Skinęła mi głowę, podciągnęła rękawiczki i pomaszzerowała w tłum.

Choć właściwie miałam ochotę zostać, równie dobrze mogłam wrócić do domu, nakarmić dziecko i wskoczyć do mojego białego, wysokiego łoża. Ząbkowanie Caroline zaczynało mnie trochę męczyć i wiedziałam, że córka obudzi się wcześniej. Szłam ostrożnie po stopniach; z Caroline w nosidełku na brzuchu czułam się równie niezdarnie jak wtedy, gdy byłam w ciąży, i już miałam skrócić na polankę, gdzie zaparkowałam auto, kiedy nagle usłyszałam krzyk, a potem łoskot. Śpiew ustał, ale tłum się nie ruszał, nadal stał wokół ogniska. Ruszyłam w tamtym kierunku, zainteresowana przyczyną tej nagłej ciszy. Na błoniach szalał wiatr, szczypał mi policzki. Zakryłam szalikiem twarz, Caroline otuliłam szczelnie płaszczem.

Już u celu wspięłam się na palce, żeby lepiej widzieć. Przy ognisku trwała walka. Grupka starszych chłopców okładała się pięściami, niebezpiecznie blisko płomieni. Po ziemi walał się transparent z napisem: „Dosyć wojny!”. Mężczyźni z tłumu postąpili do przodu, aby wchłonąć walczących lub też ich rozdzielić, a postronni obserwatorzy, którzy nie chcieli się w to angażować, zrobili im miejsce. Stojący najdalej przysunęli się natomiast w stronę ognia i w ten sposób wszyscy znaleźli się bliżej środka.

Dolatywały do mnie okrzyki, jęki, widziałam ramiona młócące powietrze jak cepy, odrzucane do tyłu głowy. Zobaczyłam Everetta w samym ogniu walki. Trzymał właśnie chłopca za suwak skórzanej kurtki, gdy dosięgnęła go czyjaś pięść i strąciła mu czapkę. Willis zachowywał się jak szalenciec. Nie wiedziałam, po czyjej jest stronie, ale zauważyłam, jak kopie jednego z chłopców w goleń.

- Billy! Brewer! John! John! John! Przestańcie! Przestańcie! - krzyczały kobiety stojące najbliżej walczących.

Odsunęłam się i otuliłam małą ramionami. Bijatyka mogła się przesunąć nieco dalej, a dziecko mogło przez to ucierpieć. Nikt nie zwracał uwagi na buzujący ogień.

Z tłumu wyłonił się Everett. Miał spoconą twarz, podarty płaszcz, nie udało mu się odzyskać czapki. Trzymał jednego z nastolatków za kołnierz, a siedł tak szybko, że chłopak ledwo mógł za nim nadążyć. Inni starsi mężczyźni też wlekli za sobą wyrostków; reszta zebranych obserwowała tę scenę w milczeniu. Kiedy Everett ruszył w stronę kościoła, inni bez słowa poszli w jego ślady. Bo tak na dobrą sprawę nie mieli innego wyjścia. W St. Hilaire nie było komisariatu.

Wśród ludzi wrzało. Świadkowie wzajemnie sobie zaprzeczali. Ktoś twierdził z przekonaniem, że grupa małolatków chciała przekształcić świąteczne ognisko w manifestację antywojenną. Jakiś mężczyzna tłumaczył żonie, że młodzi po prostu się popili.

A ogień płonął dalej, ale już nikt nie zwracał na niego uwagi. Rozmowy o bijatyce okazały się znacznie bardziej frapujące. Popatrzyłam na białe domy stojące na błoniach i na ganku jednego z nich dostrzegłam Julię. Pomyślałam, że zaraz jej złożę życzenia świąteczne. Nie miałam jednak ochoty się ruszać ani zostawiać płonącego ogniska. Miałam dziwne wrażenie, że jeśli stamtąd odejdę, następnego dnia rano ktoś mi doniesie o pożarze. Zaczęłam sobie wmawiać, że spłonie jakiś budynek albo las.

Chciałam się z kimś podzielić tymi obawami, ale wołałam nie zwracać na siebie uwagi. W końcu zdecydowałam, że porozmawiam na ten temat z Julią, a ona będzie wiedziała, co robić.

Pamiętam, że stałam jak sparaliżowana i patrzyłam na ognisko oraz zebranych wokół ludzi. Obrazy bójki zaczęły mi się zlewać z otaczającymi twarzami. Przez chwilę nawet mi się wydawało, że Willis zamierza się na jednego z chłopców, jego ramię przecina powietrze... Ale powietrza było coraz mniej. Ogień wysysał tlen z otoczenia, miałam kłopoty z oddychaniem. Rozejrzałam się więc, żeby sprawdzić, czy inni też się duszą. Serce biło mi cicho, niewyraźnie, a kiedy spojrzałam w górę, drzewa zaczęły wirować mi przed oczyma.

ROZDZIAŁ 14

Everett Shedd

Po świętach wszyscy już wiedzieli, kto to jest, nawet ci, co nie interesują się plotkami. Pewnie ta bójka tak na nią podziałała. Wróciły wspomnienia. Albo Mary od początku czuła się o wiele gorzej, niż myśleliśmy. Wiem, że Julia Strout o coś się obwinia, ale zupełnie niesłusznie. Nie można być za kogoś odpowiedzialnym tylko dlatego, że wynajmuje się mu dom.

Zawsze w porze gwiazdki urządzamy ognisko na błoniach. To już taka tradycja, zaczęliśmy chyba... zaraz... niech pomyślę... w tysiąc dziewięćsetnym roku, czy coś koło tego. Pewnego razu rybacy postanowili spalić swoje popsute łódki i inny sprzęt rybacki, zaprosili ludzi, żeby sobie pośpiewali przy ognisku, a potem to wszystko się rozrosło. Teraz palimy zarobaczone sieci, zbieramy się na błoniach i śpiewamy kolędy, a dzieciaki hasają jak zwariowane, piją jabłecznik i jedzą łakocie. Wyrostki dostają małego rozumu, czasem się zalewają. Dobrze razem poświetować, poszaleć. Moja żona zawsze czarno widzi, co roku przepowiada, że przyjdzie krysa na Matyska, ale ja mam inne zdanie. Jak się wyszaleją przy ognisku, to później przez resztę zimy siedzą cicho, dopóki nie wypłyną na morze. W tym roku trochę się to wszystko wymknęło spod kontroli.

Dzieciak Seana Kelly'ego i syn Hirama Tibbetta ubrdali sobie, że muszą urządzić protest, ale byli jeszcze tamci - z miasteczka, którzy wypili trochę burbona. Nic o tym nie wiedziałem, nie zauważyłem, że chleją za kościołem. Potem podeszli do ogniska, zaczęła się pyskówka - no wie pani przecież, co robią te młokosy, jak sobie trochę chlapną. Wtrąciło się paru dorosłych, więc musiałem zrobić z tym porządek. Opowiadałem to wszystko, bo jak ona upadła, to byłem w kościele. Prawdę mówiąc, nieźle oberwałem, ale szczytę się tym, że nie dałem nic po sobie poznać, chociaż we łbie nieźle mi się kręciło i nie reagowałem tak szybko jak zwykle.

Najpierw usłyszałem, jak wpada Malcolm Jewett i wrzeszczy, że ta kobieta z dzieckiem leży na ziemi. Od razu się skapowałem, o kim on gada, bo ją wcześniej widziałem. Spacerowała z małą. Znaczący, Malcolm krzyczy, że ona leży, a któraś z kobiet wyjmuję dzieciaka z szelek. Małej nic się nie stało, ale bardzo płakała. Zostawiam więc chłopaków z Dickiem, wypadam na dwór i widzę, że Jack Strout już ją podnosi, nawet poprawia jej szalik. I Julia też tam stoi, myślę, że widziała Mary z ganku, bo ona zawsze stamtąd patrzy na ognisko. Boi się, że iskry spadną jej na werandę, więc szykuje dwa kubły z wodą. A ja stawiam za sklepem wóz strażacki, na wypadek, jakby ogień wymknął się nam spod kontroli, ale to się jeszcze nigdy nie

zdarzyło. Czasem z powodu śniegu ogniska bywały kiepskie, ale żaden pożar jeszcze nie wybuchł. No więc potem Julia zabrała Mary i dziecko do siebie. Jack Strout nie wszedł do środka, mogę dać za to głowę. Ale tak jak mówiłem: nawet jeżeli ktoś jej przedtem nie znał, to po tej nocy się dowiedział, kim jest.

Po prostu straciła przytomność. Znaczy, zemdląca.

Miała cholerne szczęście, jeśli chce pani wiedzieć. Jakby upadła na brzuch, mogłaby zranić dziecko, nie? Elna Coffin mówiła, że ona tak po prostu upadła. A stała zaraz obok, więc chyba wie, prawda? Najpierw Elna myślała, że ktoś ją potrafił, potem dziecko zaczęło płakać, zjawił się Jack i odzyskała przytomność. No i tyle.

Następnego dnia ludzie zaczęli mnie o nią wypytywać. Nagabywali też Julię, może Jacka, nie wiem, ale on i tak nic nie wiedział. Julia z kolei w ogóle nie lubi za dużo gadać, a szczególnie z plotkaczami. Tak czy owak, sądzę, że ludzie zaczęli się czegoś domyślać. Znaczy, że ona ma kłopoty.

Więc potem, jak przyjechał ten facio z Nowego Jorku - zaraz, to było ze dwa tygodnie później, po Nowym Roku - i zaczął rozpytywać o kobietę z dzieckiem, ludzie nabrali wody w usta. Brali przykład z Julii, bardzo ją tutaj szanują. Skoro ona trzyma język za zębami, znaczy, że tak trzeba.

Niestety, nie wszyscy tak zrobili, no nie? No bo w końcu ktoś coś musiał chlapanąć. Cudów nie ma.

Mam swoje zdanie na ten temat, Julia chyba też swoje wie, ale na razie nie będę się z niczym wychylał.

ROZDZIAŁ 15

Julia Strout

Mary Amesbury wpadała czasem do mnie na filiżankę herbaty. A potem w Wigilię zabrałam ją do domu, bo zemdląca.

Stałam na werandzie i widziałam, jak to się stało. Cały czas zamierzałam ją zagadnąć, upewnić się, czy ma z kim spędzić święta. Nie mogłam się pogodzić z myślą, że siedzi sama z dzieckiem na tym pustkowiu. Z drugiej strony bałam się zejść z werandy, bo wydawało mi się, że ogień strasznie bucha.

Everett już pewnie pani opowiadał o naszych ogniskach. Choć oczywiście nigdy nie wybuchł pożar, trzeba być przygotowanym na wszystko. No więc ja zawsze zostaję na werandzie z kilkoma kubłami wody, na wypadek jakiejś zabłąkanej iskry. Czwartego Lipca, kiedy urządzamy fajerwerki dla dzieci, też postępuję w ten sposób. Wiem, że Everett trzyma w pogotowiu wóz strażacki, ale naprawdę wystarczy jedna zabłąkana iskra. Te domy są bardzo stare, całe z drewna, a jakby się któryś zaczął palić, nic by tego nie powstrzymało.

Jak już mówiłam, widziałam, jak upadła. Najpierw myślałam, że ktoś ją popchnął, ale potem zobaczyłam jej twarz i zmieniłam zdanie. Zbladła tak bardzo, że było to widać nawet po ciemku. Takie rzeczy się czasem zdarzają. Podobno ja też tak wyglądałam, jak mi przynieśli wiadomość o śmierci męża, ale to teraz nieważne.

Jack Strout - kuzyn męża - pochylał się nad nią, kiedy tam dobiegłam, krzyczał, żeby ludzie się odsunęli i pozwolili jej odetchnąć. Elna Coffin wyjęła tymczasem dziecko z nosidełka. Mała okropnie się przeraziła. I tyle. Nic się jej nie stało. A jak już zabrałam dziewczynkę do domu, rozebrałam ją i sprawdziłam, czy się nie potłukła. Jack pomógł mi podnieść Mary. Takie leżenie na zmarzniętej ziemi może się skończyć zapaleniem płuc. Na szczęście jak braliśmy ją na ręce, od razu przyszła do siebie. W domu mam sole trzeźwiące, chyba kogoś po nie wysłałam, ale zupełnie niepotrzebnie. Zaraz odzyskała przytomność. Strasznie była speszona, bez przerwy pytała o dziecko. Przecież mała mogła się potłuc.

Zabrałam ją do domu, próbowałam w nią wlać trochę brandy i gorącej herbaty. Nie chciałam jej wypuścić bez posiłku, ale była w szoku i nie mogła jeść. Myślałam, że zemdląca z powodu niedożywienia, ale zaprzeczyła. Twierdziła, że po prostu zakręciło się jej w głowie, ale ja pomyślałam, że to ta bójka tak ją wytrąciła z równowagi.

Tak, jeśli chce pani poznać powód, to proszę. Zemdląłem przez tę bijatykę. Może powróciły nieprzyjemne wspomnienia. Tak mi się przynajmniej wydaje. Ona nie mówiła zbyt wiele, a ja nie chciałem wściubić nosa w nie swoje sprawy.

Wzięła to sobie do serca, jeśli pani rozumie, o co mi chodzi.

Zaproponowałem, że odwiezę ją do domu, ale nie chciała. Upierała się, że nic jej nie będzie. Podziękowała mi za zaproszenie na obiad, ale mówiła, że niezbyt dobrze się czuje w towarzystwie i chyba nie przyjdzie. Zapytała jeszcze, czy będzie mogła wpaść na chwilę, żeby skorzystać z telefonu, bo supermarket nie działa w święta, a tylko tam jest automat. Zrozumiałam, że pewnie nie chce się natknąć na Jacka, Rebecę i dzieciaki, więc kazałem jej przyjść około południa, bo spodziewałem się gości dopiero o trzeciej.

Tak, przyszła zatelefonować.

Była sama w pokoju, więc nie wiem, do kogo dzwoniła i co mówiła. Poza tym uważam, że to chyba nie nasza sprawa. Chciała mi zapłacić cztery dolary, ale się nie zgodziłem, więc zostaliśmy przy dwóch.

Przez jakiś czas jej nie widywałem. Ciągle miałam coś do roboty, a po świętach lubię wypocząć, więc do domku na cyplu trafiłam dopiero po dwóch tygodniach.

Mówię o tym dlatego, że tak długo nie orientowałam się w sytuacji.

ROZDZIAŁ 16

Maty Amesbury

Zemdlałam na błoniach. Nigdy przedtem nie straciłam przytomności. Ale nic nie mogłam na to poradzić.

Poznałam go od razu - miał wysuszoną, ogorzałą twarz i oczy starca. Nachylał się nade mną, mówił, że dziecku nic nie dolega, i pytał, czy mogę wstać. Zobaczyłam Julię i przypomniałam sobie o Caroline. Gdzie jest moje dziecko? - pytałam, rozglądając się dookoła jak szalona. Stojąca tuż przy mnie kobieta pokazała mi córkę, ale nie pozwoliła wziąć jej na ręce. Wszyscy powtarzali w kółko, że Caroline czuje się dobrze.

Weszłam do domu z Julią i z dzieckiem. Przez chwilę podtrzymywał mnie mężczyzna o ogorzałej twarzy, potem sobie poszedł. Wypiłam koniak, który podała mi Julia, ale absolutnie nie byłam w stanie niczego przełknąć. Nie mogłam jej powiedzieć, co widziałam, jakie obrazy tak mnie przestraszyły. Rozumiałam tylko, że narobiłam sporo zamieszania. I tak zresztą nie opuszczało mnie szczęście. Caroline nic się przecież nie stało.

Nie wiem, jak spędziłam Boże Narodzenie. Wszystko zapomniałam. Matka twierdzi, że telefonowałam do niej w południe i mówiłam, że właśnie zasiadam do rodzinnego obiadu, ale ja nawet tego nie pamiętam.

Nie spałam ani tej, ani następnej nocy.

Dostałam rano list od pani. Tak, rozumiem, kiedy powinien się ukazać artykuł, i niedługo znów przyślę trochę notatek.

Piszę teraz całymi nocami. Rzadko śpiam. Ja i moja towarzyszka z celi tworzymy idealną parę. Im dłużej ja czuwam, tym więcej ona śpi, jakby chciała wyrównać braki.

Czasem myślę o pani życiu. Tyle już o sobie napisałam, a nadal nic o pani nie wiem. Zastanawiam się, co pani robi z tymi notatkami.

Kilka dni po świętach zgodnie z prognozą pogody zaczęła się odwilż. A wraz z odwilżą nadeszły mgły. Pewnego ranka obudziłam się z uczuciem, że czegoś mi brakuje. Nie usłyszałam warkotu silnika na dróżce. Wyrzłam na dwór, ale nic nie było widać. Zeszłam na dół, otworzyłam okno od łazienki i patrzyłam, jak mgła wlewa się do środka.

Stojąc w kuchni, usłyszałam syreny mgłowe - jedną na północy, drugą na południu. Rozmawiały ze sobą, pokonując rozległe przestrzenie szarego wilgotnego powietrza i wody - jedna pokrzykiwała żałośnie, druga trochę weselej, Między nawoływaniem syren docierał do mnie cichy chłupot wody.

Siwe obłoki wznosiły się i opadały przez sześć kolejnych dni. Dwa czy trzy razy w czasie odwilży budziłam się i za oknem nie było mgły. A potem późnym rankiem, gdy karmiłam dziecko lub myłam naczynia, białe opary pojawiały się z powrotem, zasłaniając kolory, kształty, nawet słońce. Popielate kłęby wdzierały się najpierw za kratę, a potem wyspa zniknęła jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Zupełnie tak, jakby nigdy nie istniała.

Zielono-biały kuter nie wypłynął na morze ani pierwszego, ani drugiego dnia odwilży, ale trzeciego ranka usłyszałam warkot motoru na ścieżce. Mgła jeszcze nie przysłoniła cypla, a ja, nie znając jej zwyczajów, patrzyłam z optymizmem na wyspy widoczne z oddali. Gdy zauważyłam, jak bardzo poprawił mi się nastrój wraz z nadejściem słońca, zrozumiałam, dlaczego tutejsze kobiety tak łatwo popadają w depresję. Wtedy często się zastanawiałam, dlaczego Willis mówił jedynie o kobietach. Czyżby mężczyznom nie przeszkadzała taka ponura pogoda? A może znosili łatwiej te szarugi, bo wypływając na połów, musieli z nimi walczyć.

Caroline podchwyciła mój nastrój - tego dnia była wyjątkowo zadowolona i roześmiana. Ćwiczyła chodzenie na czworakach już od dwóch tygodni i nauczyła się posuwać do przodu. Nabierała umiejętności pływania, co stwarzało oczywiście pewne zagrożenia, ale ja nie potrafiłam się niczym denerwować. Święta miałam już za sobą i nigdzie mi się nie spieszyło. Choć dni narzucały mi swoje warunki, ja nie protestowałam. Bardzo mi taka sytuacja odpowiadała.

Czytałam, a Caroline drzemała, kiedy powróciła mgła. Najpierw jedynie pojedyncze wstążki, ulotne i efemeryczne, a potem całun zasłaniający wszystko wokół. Słońce przygasło, można by sądzić, że zapadł wieczór, choć było zaledwie południe. Musiałam włączyć światło, żeby kontynuować lekturę. Wydawało mi się, że w pokoju jest zimno, ale być może takie wrażenie powodował jedynie brak słońca. Podeszłam do okna, nie widziałam nawet szopy, choć gdy wyteżyłam wzrok, dostrzegłam tył czerwonej ciężarówki. Koniec cypla zniknął na dobre.

Usłyszałam pukanie do drzwi. Willis wszedł do środka jak jakaś tajemnicza postać wyłaniająca się z morskich odmętów. Mgła przywierała do niego w postaci milionów wilgotnych kropelek, które osiadły mu na dżinsowej marynarce, wąsach i włosach. Trzymał w ręku kubek z kawą.

- Tym razem przyniosłem własną - powiedział, zamykając za sobą drzwi.

Ucieszyłam się, że jestem już ubrana.

- Przemokłem - powiedział.

- Myślałam, że mgła opadła.

W radiu nadawali właśnie kwartet smyczkowy. Żałobna muzyka stanowiła odpowiednie tło dla widoku z okna.

Prychnął pogardliwie, jakby usłyszał coś wyjątkowo naiwnego.

- Nie ma mowy. To się będzie jeszcze ciągnąć przez ładne parę dni. Trzeba się przyzwyczaić. Nie przeszkadzam?

- Nie - odparłam. - Wcale.

- Jack wypłynął - powiedział.

- Aha.

- Pewnie myślał, że da radę tej mgle.

- Mhm.

- Ja tam bym nie wyczyniał takich cudów.

- Pewnie.

- Co ma pani zamiar robić cały dzień?

- To samo co zwykle. Zajmować się dzieckiem.

- Nie tęskni pani?

- Za czym?

- Za dawnym życiem.

- Nie.

- Musiało być kiepsko. Znaczy, ze starym. Milczałam.

- Syracuse, no nie? Przytaknęłam.

- Ładne miasto. Wzruszyłam ramionami.

- Tu mi się bardziej podoba.

- Lepiej pani wygląda.

- Dziękuję. Westchnął.

- No dobra, Ruda. Chyba już pójde. Wracam do domu na lunch. W przyszłym tygodniu zaczynam pracować jako kierowca w spółce holowniczej. Wcale mi się to nie uśmiecha, ale nie można żyć bez szmalu. Może coś załatwić?

Codziennie mnie o to pytał.

- Nie - odparłam.

Caroline zaczęła płakać, co wyjątkowo było mi na rękę.

- Mam nadzieję, że jej nie obudziłem.

Potrząsnęłam głową. Wstał. Podeszedł do drzwi, otworzył je i zaczął się wahać. Wokół niego wirowała mgła. - Wypatruj Jacka, Ruda - mruknął z uśmiechem.

Zielono-biały kuter nie wrócił do drugiej, jak to dotąd miało miejsce. Pomyślałam, że być może mgła powoduje opóźnienie, więc specjalnie się nie martwiłam, choć odczuwałam lekki niepokój. Jak już pani pisałam, moment, w którym łódź wyłaniała się zza wyspy, stanowił pewnego rodzaju

cezure; bez niej czegoś brakowało w moim dniu, jak w zdaniu bez zakończenia.

Robiłam drugi sweter dla Caroline, właśnie kończyłam plecy. Moja córeczka drzemała, a ja wzięłam robótkę do ręki. W tle grało radio.

Teraz, gdy o tym myślę, zaczynam się dziwić, że nie pisałam. A może właśnie to wcale nie było dziwne. Pisanie wymagałoby wspomnienia.

Minęła trzecia, później czwarta, a łódź nadal nie wracała. Przyzwyczyłam się już do wszystkich dźwięków dochodzących zarówno z morza, jak i z lądu, często więc podchodziłam do okna, żeby wyjrzeć na zewnątrz. Do czwartej zrobiło się ciemno i wszystkie ciężarówki z wyjątkiem jednej odjechały. W mgliste dni zmierzch na cyplu zapadał wyjątkowo szybko. Nakarmiłam Caroline. Zrobiłam sobie filiżankę herbaty. Posłuchałam wiadomości. W końcu przygotowałam kolację. O szóstej zapadły głębokie ciemności. Zaczęłam się zastanawiać, czy przypadkiem nie pójść do niebieskiego domku i nie zawiadomić mieszkańców, że zielono-biała łódź jeszcze nie powróciła. Nie wiedziałam, czy powinnam się tym interesować. Kto jeszcze mógł wiedzieć, że on nie wrócił? Pewnie jego żona i córka. Czy miałyby mi za złe ten alarm? A może jemu niekiedy zdarzało się nie wracać? Mógł przycumować łódź na nabrzeżu w mieście. Mówił, że ją tam czasem zabiera przy złej pogodzie. Może robił tak zawsze, gdy spodziewał się nawrotu mgły, a ja wypatrywałam łodzi na darmo? Gdybym podniosła alarm, rzeczywiście wyszłabym na idiotkę i tylko niepotrzebnie zwróciła na siebie uwagę.

O szóstej trzydzieści zawięłam Caroline w śpiwór i zabrałam ją na spacer. Nie mogłam już dłużej wytrzymać w domu. Nie przeszkadzało mi to, że nic nie było widać. Chciałam zaczerpnąć trochę świeżego powietrza.

Szłam dziarsko wzdłuż cypla. Wiedziałam, że znam drogę wystarczająco dobrze, żeby nie narazić na niebezpieczeństwo siebie i dziecka. Moje stopy odgrywały rolę nawigatora - wyczuwałam pod nimi kamienie, trawę i piasek.

Wilgoć przeniknęła mnie na wskroś. Przytuliłam do siebie Caroline. Po stu metrach marszu odwróciłam głowę, żeby się przekonać, że dom, w którym mieszkałam, zniknął. Jakby wygasły światła w salonie. Widać było nie dalej niż na sześćdziesiąt centymetrów. Czułam się zupełnie tak, jakbym wkroczyła w inny świat. Niczego się jednak nie bałam. Nigdy nie zapomnę tego wrażenia. Wszystko wokół zniknęło. Istniałam wyłącznie ja i moje dziecko. Od czasu do czasu docierały do mnie dźwięki ze świata, z którego przybyłam - syreny mgielne, jakiś samochód przejeżdżający drogą, dziwny pisk nad głową - może przelatujący nietoperz? - ale w takich ciemnościach

odbiera się świat zupełnie inaczej. Może zresztą trochę się lękałam, ale jednocześnie ogarnęła mnie radość. Osiągnęłam pełną anonimowość, bezpieczeństwo, intymność... stan niemal idealny. Nikt, absolutnie nikt nie mógł mnie tutaj znaleźć. Ani Harrold, ani Willis, ani nawet Julia czy moja matka - choćby kierowały się najlepszymi intencjami. Spełniło się moje marzenie

- zostałam sama z dzieckiem, bezpieczna, ukryta przed światem. Usłyszałam warkot silnika. Znałam jego nawyki na pamięć.

Ryczał coraz głośniejsze i głośniejsze, a potem umilkł. Nie miałam pojęcia, jak mu się udało przycumować. Usłyszałam pluśnięcie wiosła, rytualny odgłos powrotu. Może poszłam w tamtym kierunku. Może moje stopy знаły drogę lepiej, niż sądziłam.

Jeszcze teraz się zastanawiam - choć już tyle o tym myślałam - czy ta historia potoczyłaby się tak samo, gdybyśmy się wtedy na siebie nie natknęli w tej mgle i nie doznali wrażenia, że świat wokół nas przestał istnieć.

Wyszedł z ciemnej mgły jak ze snu. Ja z pewnością też. Przemknęło mi przez myśl, że jego to spotkanie zaskoczy znacznie bardziej niż mnie, więc postanowiłam natychmiast się odezwać.

- Już pan wrócił - powiedziałam zwyczajnie, a nawet pogodnie. Naprawdę się zdziwił. Szedł w stronę auta, ale natychmiast stanął w miejscu jak wryty. Miał dwa wiadra - po jednym w każdej ręce. Słyszałam, że taplają się w nich kraby. Postawił kubły na ziemi.

- Wszystko w porządku? - spytał.

- Tak - odparłam. - Nic mi nie jest.

- Co tu pani robi?

- Wybrałam się po prostu na spacer.

Popatrzył mi w twarz, po czym zerknął na dziecko.

- Nie powinna pani wychodzić. W taką okropną mgłę łatwo zgubić drogę.

- Nie sądzę - odparłam bez przekonania.

- Mieszkam tu od urodzenia. Znam to wybrzeże i wodę prawie tak dobrze jak własne dzieci. Ale we mgle czuję się obco. We mgle niczemu nie można zaufać. Niczemu.

- Dlaczego w takim razie pan wypłynął? - spytałam. Popatrzył na morze.

- Sam nie wiem. Myślałem, że z nią wygram. Ale utknąłem po drugiej stronie Swale. Cały dzień wlokłem się z powrotem. Postąpiłem jak głupiec.

- Mówił cicho, ale rzeczowym, wyzutym z emocji tonem. Zrozumiałam jedynie tyle, że on czasem również podejmuje ryzyko. I choć nazwał się

głupcem, chyba nie odczuwał wyrzutów sumienia. Przez chwilę akompaniowało mu wycie syreny.

- Pańska żona na pewno bardzo się martwi - powiedziałam.

- Skontaktowałem się z nią przez radio. Wie, że wróciłem. Popatrzył na mnie z namysłem.

- Zaniosę te wiadra i odprowadzę panią do domu.

- Nic mi się... - zaczęłam.

- Nie mógłbym pani tak zostawić - powiedział, podnosząc kubły, jakby już nie zostało nic więcej do dodania.

Szłam posłusznie w pewnej odległości za nim. Zauważyłam, że się przygarbił. Miał wilgotne włosy i kurtkę. Wysokie buty sięgały mu za kolana, zakrywały dżinsy. Patrzyłam, jak w silnych, ogromnych dłoniach z długimi palcami ściska kabłąki wiader.

Gdy już umieścił je w ciężarówce, zaczęliśmy iść w stronę domu. Odniosłam wrażenie, że Jack zna drogę lepiej niż ja, więc pozwoliłam mu prowadzić. Miał rację, we mgle można było się bardzo łatwo zgubić - poszłabym na pewno w innym kierunku, na południe. Na pewno nie od razu trafiłabym do domu, ale sądzę, że po kilku próbach na pewno by mi się udało go odnaleźć.

Najpierw zobaczyłam smugę światła z okna salonu, a dopiero potem dom. Pałace się w środku lampy wyglądały zachęcająco.

Towarzyszył mi do samych drzwi. Położyłam rękę na klamce. Czulałam się jak nastolatka, którą właśnie odprowadził do domu zbyt nieśmiały nauczyciel.

- Dziękuję - powiedziałam.

- Gdybym został zaproszony na filiżankę herbaty, na pewno bym nie odmówił.

Powiedział to tak cicho, że nie byłam pewna, czy dobrze go rozumiem.

- Ma pan ochotę na herbatę? - spytałam.

- Z przyjemnością się napiję. Przemarzęłem przez tę wilgoć.

- A pańska rodzina...?

- Już wiedzą, że wróciłem. Nie będą się martwić. Otworzyłam drzwi i weszliśmy do domku. Skierowałam się od razu do kuchenki, wzięłam czajnik, napełniłam go wodą i postawiłam na gazie.

- Proszę pilnować czajnika - powiedziałam. - Muszę iść na górę położyć dziecko.

W salonie wyplątałam się z płaszcza, po czym zaniiosłam Caroline do sypialni, gdzie przebrałam ją w piżamkę i nakarmiłam. Po chwili doleciał mnie gwizd czajnika i brzęk wyjmowanych z kredensu filiżanek. Słyszałam,

jak Jack odkręca wodę, myje ręce, otwiera, a następnie zamyka lodówkę, szuka czegoś w kredensie.

Kiedy zeszałam na dół, siedział przy stole. Żółta kurtka wisiała na haku wbitym w drzwi, ściekająca z niej woda kapiała prosto na linoleum. W kuchni unosił się zapach morza. Patrzyłam na niego przez chwilę, nie zdradzając swojej obecności, ale nawet jeśli mnie widział, nie dał tego po sobie poznać. Miał długi tułów - tak długi, że sweter nie sięgał mu nawet do talii - i szerokie ramiona. Bez kurtki wcale nie wydawał mi się przygarbiony. Nie odwracając głowy, pił spokojnie herbatę. Nieopodal stała filiżanka przygotowana dla mnie. Już zdążył wyjąć z niej torebkę, na stole postawił mleko i cukier.

Usiadłam i zaczęłam mu się przyglądać. Nigdy nie widziałam jego twarzy w pełnym świetle. Siedział spokojnie, powoli skierował na mnie wzrok. Nie mogłam oderwać oczu od głębokich zmarszczek po obu stronach jego ust. Tę ogorzałą twarz ustawicznie smagał wiatr. Jack popatrzył na mnie, ale nadal milczeliśmy.

- Już mi cieplej - odezwał się w końcu.
- Złowił pan wiele krabów? - spytałam.
- Dopisało mi szczęście jeszcze przed tą mgłą. Ale mogło być lepiej. Trudno. Nic nie szkodzi.
- Dlaczego?
- Bo o tej porze roku każdy połów to cud.
- Dlaczego pan tak ryzykuje? Dlaczego wypływa pan na morze w taką pogodę?

Prychnął pogardliwie.

- Pewnie dlatego, że nie robi tego nikt poza mną. Albo dlatego, że lubię być na wodzie. Tutaj dostaję kręcka.
- Przecież to bardzo niebezpieczne. Wciąż słyszę, że ktoś się utopił.
- Wszystko jest możliwe.
- Jeśli się nie zachowuje ostrożności?
- Niekoniecznie. Pewnych rzeczy nie sposób kontrolować. Dziś rzeczywiście powinienem był wykazać trochę więcej rozsądku. Ale czasem nagle nawala silnik albo zrywa się wiatr.
- I co pan wtedy robi?
- Staram się wrócić do brzegu jak najbezpieczniejszą drogą. Nie popełnić błędu. - Oparł się na łokciu i wychylił w moją stronę. - Od świąt już dobrze się pani czuje?

- Tak. Dzięki za troskę. Co za okropność. Nigdy przedtem nie zemdlałam. Nie wiem, co mi się stało.

- Kilkoro dzieciaków protestowało przeciwko wojnie - powiedział. - Mój syn też pewnie brałby w tym udział, ale został w domu z żoną. A pani wyglądała tak, jakby doznała szoku.

- Naprawdę? - spytałam, wbijając wzrok w podłogę.

- Ale co się właściwie stało? - spytał cicho. - Skąd się pani tu wzięła?

To pytanie ukłuło mnie nagle jak żądło. W dodatku było tak proste, że musiałam na nie szczerze odpowiedzieć. Położyłam sobie rękę na ustach. Oczy wypełniły mi się łzami, jakbym naprawdę odczuła ból. Nie mogłam dobyć z siebie głosu, bałam się mrugać, bałam się poruszyć. Przez te wszystkie dni, odkąd wyjechałam z Nowego Jorku, nie uroniłam ani jednej łzy. Nie płakałam. Ani razu. Byłam zbyt odretwiała albo też zbyt ostrożna.

Ujął moją dłoń, odsunął ją od ust i położył na stole. Nic nie mówił. Miał szare oczy. Nie odwrócił wzroku.

- Wyszłam za męża za człowieka, który mnie bił - powiedziałam po chwili i głośno wypuściłam powietrze.

W tym domu te słowa zabrzmiały fałszywie, przerażająco.

- Odeszła pani od niego? Przytaknęłam.

- Niedawno? Uciekła pani?

- Tak.

- On wie, gdzie pani jest? Potrząsnęłam głową.

- Nie sądzę. Gdyby wiedział, na pewno by tu po mnie przyjechał.

- Boi się go pani?

- Tak.

- On pani to zrobił?

Poruszył głową, jakby chciał wskazać moją twarz. Wiedziałam, że siniaki powoli znikają, były raczej żółte niż fioletowe, ale nadal widoczne.

- A jaka jest szansa, że on panią znajdzie? - zapytał. Myślałam chwilę.

- Całkiem spora - odparłam. - W końcu na tym polega jego fach. Spisuje różne historie. Zbiera wiadomości.

- I co się wtedy stanie?

Patrzyłam na jego dłoń leżącą na mojej dłoni.

- Myślę, że mnie zabije - powiedziałam zwyczajnie. - Zabije mnie, bo nie będzie w stanie nad sobą zapanować.

- Była pani na policji?

- Nie mogę do nich pójść.

- Dlaczego?

- Bo ukradłam mu dziecko.

- Musiała pani to zrobić, żeby ratować życie.

- Mój mąż na pewno przedstawi to inaczej. Jest bardzo sprytny.

On również popatrzył na nasze dłonie, a później musnął mnie delikatnie po rękę.

- Ma pan żonę - powiedziałam. Przytaknął.

- Ale ona nie... - zamilkł.

Czekałam.

- Jest chora - powiedział po chwili. - To stan chroniczny. Jesteśmy razem, ale nie mogę tego nazwać...

- Małżeństwem?

- Właśnie.

Pieścił moje ramię. Mogłam odtrącić jego dłoń, ale nie chciałam. Nie byłam w stanie. Nie byłam w stanie się ruszyć. Czułość, jaką mi okazał, wzbudziła we mnie taki przypływ wdzięczności, że byłam prawie jak sparaliżowana.

- Już od lat nic nas nie łączy - powiedział.

- Nawet mi się nie przedstawiłeś. Chociaż wiem, jak się nazywasz.

- Jack.

- A ja Maureen. Naprawdę nazywam się Maureen English. Ale teraz jestem Mary.

- Twoja córeczka ma na imię Caroline.

- Tak.

- Naprawdę?

- Tak. Nie mogłabym zwracać się do niej wymyślonym imieniem.

Uśmiechnął się i skinął głową.

- Nie mogę tego zrobić - powiedziałam. - Już nie umiem. Mówiąc to, nie cofnęłam ręki. Nie chciałam, by przerywał tę rytmiczną, kojącą pieszczotę.

- Boję się.

- Wiem.

- Mógłbyś być moim ojcem - oznajmiłam coś, co przyszło mi do głowy zupełnie nagle. A może wiedziałam o tym już od wielu dni? Tak czy inaczej, sądziłam, że należy poruszyć tę kwestię.

- Niezupełnie - odparł. - No, w ostateczności. Mam czterdzieści trzy lata.

- A ja dwadzieścia sześć.

Skinął głową, jakby już dawno odgadł mój wiek. Na zewnątrz wyły syreny.

Cofnął dłoń i wstał. Zaniósł filiżankę do zlewu.

- Muszę iść - powiedział już przy drzwiach. - Nie mogę zostawiać żony samej na tak długo.

Wstałam, nie odzywając się ani słowem.

- Ale wróć - dodał. - Nie wiem kiedy. Przytaknęłam.

- Nie powinnaś się bać.

Obudził mnie warkot silnika. Na dworze wciąż było szaro, ale już widziałam przez okno wierzchołki drzew. Mgła się jeszcze nie zebrała. Usłyszałam, że silnik milknie. Ten dźwięk nie dochodził jednak z samego czubka cypla, tylko spod mojego domu.

Odrzuciłam pościel, pobiegłam po schodach do kuchni. Harrold nie mógł mnie jeszcze znaleźć - powtarzałam sobie w duchu. Serce o mało nie wyskoczyło mi z piersi.

Za szybą w drzwiach mignęła mi żółta kurtka.

Otworzyłam.

Wszedł Jack. Wziął mnie w ramiona.

Przez chwilę nie mogłam wydobyć z siebie głosu.

- Pachniesz morzem - powiedziałam w końcu.

- To stan permanentny - odparł.

Później, jeszcze przed wschodem słońca, wyszliśmy z łóżka i wróciliśmy do kuchni. Jack zabrał ze sobą ubranie; wkładał je, stojąc na podłodze wyłożonej linoleum. Nie okazał ani śladu zażenowania, choć wiedział, że na niego patrzę.

Ja już w sypialni narzuciłam na siebie szlafrok i sweter. Przygotowałam nam śniadanie złożone z kawy oraz zimnej owsianki. Nie rozmawialiśmy ze sobą, kiedy się ubierał. Gdy parzyłam kawę, palił papierosa. Postawiłam na stole talerze z owsianką.

- Zwykle jadam śniadanie przed wyjściem z domu, ale dziś rano nie mogłem niczego przelknąć - powiedział, odkładając papierosa do popielniczki, którą mu przyniosłam. Uśmiechnęłam się.

- Spać również nie mogłem - dodał, odwzajemniając uśmiech. Najchętniej wróciłabym na górę, zwinęłabym się w kłębek na jego piersi i zasnęła z kołdrą naciągniętą na głowę.

- Kiedy zdecydowałeś się przyjść? - spytałam.

- Chyba w środku nocy. Kiedy tylko powziąłem takie postanowienie, chciałem wstać i przyjechać tutaj, ale to było absolutnie wykluczone.

Przytaknęłam. Wiedziałam, że ma na myśli żonę.

- Nie przeszkadza ci takie wczesne wstawanie?

- Już się przyzwyczaiłem. Nawet mi to odpowiada.

- Willis mówił, że byłeś w college'u i musiałeś wrócić.

- Willis - prychnął. Patrzyłam, jak zajada owsiankę.

- Tak - przyznał w końcu. - Ojciec złamał rękę. Musiałem wrócić i przejąć interes.

Nie rozwijał tematu.

- Nie żałowałaś? - spytałam. - Nie szkoda ci było studiów?

- Z początku trochę - odparł, nie patrząc mi w oczy. - Ale potem życie jakoś się toczy, jest dom, żona, rodzina. Trudno żałować czegoś, co doprowadziło do posiadania dzieci.

Popatrzyłam na niego uważnie. Wiedziałam, o co mu chodzi. Moje małżeństwo stało się nie do zniesienia, ale nie potrafiłabym sobie wyobrazić życia bez Caroline.

Właśnie wtedy wstało słońce, zalewając pokój ostrym łososiowym światłem. Twarz Jacka jaśniała w tej niespodziewanej poświacie. Choć nienawidziłam tego słońca, bo wiedziałam, co ono oznacza, pomyślałam, że nigdy w życiu nie oglądałam piękniejszej twarzy. Wiedziałam, że Jack zaraz będzie musiał iść. Dostrzegałam to w jego gestach, w nagłym spięciu mięśni, w sposobie, w jaki odsunął się od stołu.

Wstał, podszedł do drzwi, żeby zdjąć kurtkę z haka. Stał za krzesłem, wolną ręką odgarnął mi włosy z karku i musnął to miejsce ustami. - Nie mogę ci ofiarować zbyt wiele - powiedział.

Wyszedł, zanim inne dostawczaki dotarły na cypel. Podjechał aż po samą szalupę. Potem wypłynął na połów biało-zielonym kutrem, ale dobił do brzegu, zanim nad cypłem zaczęła unosić się mgła. Kiedy wrócił, spacerowałam z Caroline po plaży. Wprawdzie Jack pomachał do nas przez okno - co dla mężczyzn pracujących w chatce rybaka mogło wyglądać wyłącznie na przyjacielski gest - ale nie odezwaliśmy się do siebie ani słowem. Później parkował zwykle dostawczaka niedaleko łódki i przychodził do mnie piechotą, a zostawał aż do wschodu słońca. Zawarliśmy nieme porozumienie, że absolutnie nikt nie powinien się dowiedzieć o tych wizytach. Musieliśmy myśleć o jego żonie i dzieciach.

Przychodził codziennie przed świtem. Szum silnika, kroki na schodach. Nie zamykałam drzwi od kuchni. Spałam, gdy się zjawiał, i czasem mi się wydawało, że wejdzie w me sny. W pokoju zwykle było ciemno, widziałam jedynie zarys jego postaci stojącej w nogach łóżka lub zdejmującej buty. A gdy się do niego przytulałam w pościeli, którą ogrzewałam całą noc, czułam, że nasz wspólny orgazm stanowi rytm cypla i jest równie naturalny, a nawet konieczny, jak mewy upominające się o pokarm czy też lawendowe lub różowe światło na wodzie, towarzyszące naszym pożegnaniom.

Po naszym pierwszym wspólnym ranku przeniosłam Caroline do sypialni na dole. Bardzo przeżyłam to rozstanie, ale wiedziałam, że nie mam innego wyjścia. Ściany w domku były wyjątkowo cienkie, a ja słyszałam ją doskonale ze swego łóżka.

Zależy pani na szczegółach? Są takie chwile, wspomnienia, słowa, obrazy, którymi nie będę się z nikim dzielić. Chcę się nimi rozkoszować sama. Ale mogę pani powiedzieć, że on nigdy mnie nie prosił o więcej, niż mogłam mu dać, i zawsze był bardzo ostrożny, jakby nadal wszystko mnie bolało.

Czasem tylko mnie przytulał. Kiedy indziej dawałam mu wszystko, co miałam do zaoferowania.

Trzeciego lub czwartego dnia odczekałam, żeby wzeszło słońce i zrobiło się jasno, a potem wstałam z łóżka i pozwoliłam mu na siebie popatrzeć. Pamiętałam o brzydkich śladach, zdawałam sobie sprawę z innych niedoskonałości, ale pragnęłam mieć to już za sobą. Wtedy Jack zrobił coś bardzo śmiesznego. Najpierw stanął po swojej stronie łóżka, wskazując mi bliźnę po usuniętym wyrostku. Potem postukał palcem w odkształcenie po oparzeniu, a następnie zademonstrował mi bliźny na rękach i dziwny ślad na barku. Powiedział, że raz, kiedy jako mały chłopiec wkładał homary do wiadra, użądliła go nagle pszczoła, więc puścił homara, a ten chapnął go szczypcami. Zaczęłam się śmiać.

- W porządku - powiedziałam, wchodząc do łóżka.

- To są tylko szramy wojenne, nic więcej - szepnął dotykając śladów na moim ciele.

Byliśmy w stosunku do siebie czuli, ale nie zaborczy. Nigdy nie wyznaliśmy sobie miłości, chociaż byłam pewna, że się kochaliśmy. Nie używaliśmy takich słów, bo choć ufaliśmy sobie nawzajem, straciliśmy wiarę w otaczający nas świat. On też pewnie powiedział niegdyś żonie, że ją kocha, a potem, kiedy przestał być tego pewien, przeżył pewnego rodzaju szok.

Dzieliła nas przeszłość. Jacka ukształtowało morze, mnie - miasto i życie z matką. On nie rozumiał presji czasu, konieczności składania zdań na określony termin. Ja natomiast nie mogłam sobie wyobrazić, jak się czuje człowiek zgubiony we mgle, który chcąc dotrzeć bezpiecznie do brzegu, musi polegać wyłącznie na swoim rozumie i instynkcie. Zgodnie z niepisaną umową Jack rzadko wspominał o żonie, a ja chyba nigdy go o nic nie pytałam. Małżeństwo stanowiło dla niego terytorium od dawna tonące w żalości, więc poruszałam się po nim ostrożnie, a on z kolei nie zapuszczał się zbyt głęboko w szaleństwo, jakim był mój związek. Kiedy jednak stwierdziłam, że prowokowałam bicie, bo stałam się katalizatorem furii Harrolda, Jack nie wytrzymał. Powiedział mi wtedy wyraźnie, że za nic nie jestem odpowiedzialna, bo zawsze całkowitą winę ponosi ten, który dopuszcza się agresji. Spytał, czy na pewno to rozumiem.

Pewnego ranka, kiedy byliśmy w łóżku, wydawało mi się, że słyszę krzyk. Zesztywniałam i zaczęłam nasłuchiwać, a Jack odsunął się ode mnie, po czym również nadstawił ucha.

Caroline krzyczała z bólu, więc natychmiast pomyślałam, że muszę do niej pójść, ale czułam się jak sparaliżowana, tak jakbym cofnęła się w czasie do innego łóżka, do innych krzyków. Przez chwilę prawie nie mogłam oddychać, a na mojej twarzy widocznie pojawiło się przerażenie, bo Jack natychmiast mnie zapytał, czy aby na pewno dobrze się czuję.

- To Caroline - szepnęłam.

- Wiem. Idź do niej. A może chcesz, żebym ja poszedł? Jego pytanie przeniosło mnie z powrotem do teraźniejszości.

Odrzuciłam kołdrę i szybko włożyłam koszulę nocną. Pobiegłam po schodach do sypialni córki. Caroline rzeczywiście płakała z bólu. Wzięłam ją w ramiona i zaczęłam nosić wydeptaną trasą wokół kuchni, salonu, sypialni, ale tym razem i to nie pomogło. Jack zszedł na dół w samych spodenkach. Miał rozwichrzone włosy i bose nogi. Z pewnością było mu zimno.

- Daj mi ją na chwilę - powiedział.

Zanim znowu się rozplakała, spojrzała na niego ciekawie. Jack zaniósł ją na kanapę pod okno i położył sobie na lekko rozstawionych kolanach. Potem zaczął je wolno unosić i opuszczać z powrotem, wskutek czego masował jej brzusek. Dziecko prawie natychmiast przestało płakać.

- Nie wiem, dlaczego to działa - mruknął, wyraźnie zadowolony - ale działa. Leczyłem w ten sposób moją córkę, jak była mała. Myślę, że taki masaż porusza gazy. Nie pamiętam, kto mnie nauczył tej sztuczki.

Patrzyłam na Jacka i Caroline z drugiego kąta pokoju. Wyglądali naprawdę zabawnie - Jack w slipach, z podpuchniętymi oczyma, rozczochranymi włosami, Caroline wyciągnięta na jego długich nogach, patrząca na mnie tak, jakby chciała zapytać: „No i co teraz?” W pokoju było tak zimno, że dostałam dreszczy. Wzięłam Caroline na ręce, a ona przytuliła się do mnie w taki sposób, jakby znów zamierzała zasnąć.

- Dobrze sobie dajesz radę z dziećmi. Widziałam cię z córką przy ognisku.

- Szkoda, że z żonami gorzej - powiedział, wstając z kanapy.

- A ile ich miałeś?

- Jedna wystarczy. - Skrzyżował ramiona na piersi i roztarł dłonie, jakby chciał je ogrzać.

- Tak bardzo ci się nie układa? - spytałam, kołyszając Caroline.

- Jak się zrobi błąd, to trzeba z nim żyć. Pomyślałam, że ciekawie dobiera słowa.

- Dlaczego od niej nie odejdziesz?

- Nie mogę. To nie wchodzi w grę.

Jakby chcąc jeszcze podkreślić nieodwołalność tego oświadczenia, podszedł do okna. Zapatrzyliśmy się razem w szkarłatny pas słońca nad wodą.

Bałam się, że mnie źle zrozumie.

- Nie chcę, żebyś od niej odchodził - szepnęłam. - Nie to miałam na myśli.

Odwrócił się do mnie plecami.

- Wiem - odparł.

Patrzyliśmy na siebie bez słów, a teraz, gdy o tym pomyślę, uważam, że tak wiele udało się nam powiedzieć.

- Lepiej już pójdę - wymamrotał.

Zaczęłam głaskać delikatnie jego rękę, podobnie jak on kiedyś pieścił moją.

Nie wiedziałam zbyt wiele o jego życiu na morzu, choć kiedyś zabrał mnie na wodę. W pierwszej chwili, gdy zaproponował mi tę wyprawę, pomyślałam o Caroline, ale Jack powiedział, że mogę ją przecież włożyć do nosidełka. Jego własne dzieci wypływały z nim na morze. Kołysanie łodzi i vibracje silnika działały na nie usypiająco. A matki niemowląt cierpiących często z powodu kolki błagały o choć jeden dzień na pokładzie, bo dzięki takim wyprawom mogły nareszcie odpocząć.

Obudziłam Caroline wcześniej, żeby Jack nie musiał na nas czekać. W chłodnej, bezwietrznej aurze widoczność była znakomita. Morze przypominało olbrzymi staw, ale wiedziałam, że około południa na pewno zacznie się burzyć. Jack odcumował łódeczkę i zepchnął ją na brzeg.

- Wsiadaj na dziób - powiedział.

Szalupie należała się emerytura. Nawet ja nie miałam co do tego wątpliwości. Jack powiedział, że od roku zamierza kupić sobie nową, ale jakoś mu to nie wyszło.

Usiadłam na dziobie, dokładnie tak, jak mi kazał. Raczej klęczał, niż stał, na rufie, żeby nas niechący nie wywrócić. Kiedy wsiadał, odniosłam wrażenie, że nasz łączny ciężar przekracza wytrzymałość łódki, a gdy zerknęłam za burtę, zobaczyłam, jak głęboko jesteśmy zanurzeni. Jack zaczął wiosłować w kierunku kutra, a ja zastygłam w kompletnym bezruchu. Choć płynęliśmy bardzo krótko, o mało nie umarłam z przerażenia. Wiele bym wtedy dała za kamizelkę ratunkową, choć

pamiętałam, że mąż Julii umarł z zimna, zanim się utopił. W pewnym momencie ogarnął mnie taki strach, że ukradkiem zanurzyłam rękę w wodzie i uczyniłam znak krzyża na czole Caroline, co bardzo mnie teraz dziwi. Nie ochrzciłam córki, więc widocznie nie mogłam pogodzić się z myślą, że będziemy musiały się rozstać na całą wieczność, chociaż teraz nie wierzę w istnienie życia pozagrobowego.

Jack wiosłował, a ja przypatrywałam się wschodniej stronie cypla i domowi, w którym mieszkałam. Oglądany z morza wydawał się jeszcze bardziej odcięty od świata. Otaczały go tylko krzewy i plaża.

W końcu znaleźliśmy się szczęśliwie na pokładzie kutra. Jack kazał mi usiąść na skrzyni w kabinie, a sam przygotowywał łódź do wypłynięcia. Patrzyłam, jak podnosi pokrywę i uruchamia silnik. Zaraz potem podał mi prawie nie używaną kamizelkę ratunkową. Włożyłam ją na płaszcz, a gdy Jack na mnie spojrzał, potrząsnął tylko głową, uniósł brwi i wykrzywił usta w uśmiechu.

Lewą burtę kutra zasłaniał zwisający z haka kombinezon rybacki. Prawa była odkryta. Zauważyłam również specjalne urządzenie hydrauliczne do wyciągania sieci. Nad sterem znajdowało się radio, ale tego dnia Jack z niego nie korzystał. Nieopodal mieścił się również inny sprzęt - na przykład sonda głębokościowa i wskaźnik paliwa. W kabinie dostrzegłam beczkę z przynętą. Jack stał przy sterze i obwoził nas dookoła wyspy. Potem przywołał mnie gestem ręki.

Trzymając się środkowego masztu, patrzyłam, jak za kutrem znika ląd. Nie rozmawialiśmy wiele, bo musielibyśmy krzyczeć. Jack zawołał, że płynie prosto na łowiska po dwadzieścia węćierzy, które zastawił przed paroma dniami. Dodał, że pod koniec tygodnia każe zholować kuter na keję. Po sprawdzeniu sieci chciał nas zabrać na Swale's Island, gdyż - jak twierdził - była tam najpiękniejsza plaża we wschodnim Maine.

Caroline zasnęła natychmiast po uruchomieniu silnika i obudziła się dopiero w naturalnym porcie wyspy. Mimo niskiej temperatury, stojąc tuż obok Jacka, nie czułam zimna i wiatru. Myślałam, że Caroline też jest ciepło. Nie chciałam pamiętać o tym, że tak łatwo można tu zamarznąć na śmierć.

Jack uśmiechał się do mnie zupełnie inaczej niż zwykle. Być może sama nasza obecność na łodzi wydawała mu się tak absurdalna albo też ja go bawiłam, w kamizelce ratunkowej i z dzieckiem na brzuchu.

W okolicy pływało niewiele kutrów. Kiedy zostawiliśmy za sobą linię wybrzeża, doznałam wrażenia, że jestem bardzo daleko od domu. Zniknęła

mi z horyzontu nawet wysoka wieżyczka kościoła w St. Hilaire. Słońce wstało, ale zamiast łądu widziałam jedynie zamglony błękit.

Po niespełna godzinie dotarliśmy do miejsca, w którym Jack odłączył dopływ paliwa. Z haka zdjął kombinezon nieprzemakalny, ale włożył tylko spodnie, bo i tak już wcześniej narzucił na sweter żółty sztormiak. Zapytałam, skąd wie, gdzie jesteśmy. Wskazał na małą zatoczkę nieopodal wyspy, a potem na niewielkie skaliste wzniesienie. Wydały mi się podobne do wszystkich zatoczek i skalistych wzniesień. Zaśmiał się. Powiedział, że korzysta również z sondy. Poza tym wszędzie wokół pływały oczywiście jęgo boje - czerwone na wierzchu i spodzie, z żółtym paskiem pośrodku.

Patrzyłam, jak wyciąga sieci, wyjmując z nich homary, zalepia im szczypce taśmą, a następnie wrzuca ogromne skorupiaki do kubłów z wodą.

- Zwykle uzupełniam przynętę i znowu zastawiam więcierze, ale dziś muszę zacząć je zwijać - powiedział.

To była ciężka praca, wydawało mi się również, że jest w niej coś brzydkiego. Nie dostrzegałam ani odrobiny romantyzmu w tym prozaicznym zajęciu. Wyciąganie sieci kojarzyło mi się z zimnem i ogromnym wysiłkiem. Jack nosił wprawdzie długie rękawiczki, ale i tak się bałam, że odmrozi sobie dłonie. Woda chlapała mu na spodnie, rozpryskiwała się wokół butów.

Gdy skończył pracę, mała kajuta wypełniła się wiadrami, sieciami i bojami, a ja straciłam swoje miejsce na skrzyni.

Jack skierował łódź na południe, w stronę Swale's Island, którą mi wskazał już w chwili, gdy naszym oczom ukazał się zaledwie jej zarys. Na północnej stronie wyspy dostrzegłam duże drewniane domy i coś, co wyglądało jak pola.

- To własność prywatna - powiedział - chociaż wszyscy przyjeżdżamy latem na drugą stronę wyspy. Zabieramy tam nasze rodziny na piknik.

Na wspomnienie rodzin odwrócił się ode mnie i zajął kołem. Sprawdził sondę i popatrzył na zachód, w stronę wybrzeża.

Wiedziałam, że ofiarowanie mi czasu w niedzielę musiało go sporo kosztować. Rozumiałam ponadto, że to może być ostatnia taka okazja. Na burcie widniało imię jego żony, o czym czasem sobie przypominałam, gdy mówił o swej łodzi jak o kobiecie.

Ustawił kuter tak, żebyśmy mogła sobie popatrzeć na wzniesienia, a potem skręcił i znaleźliśmy się w zatoce - półkolu otoczonym niemal białą, dziką plażą. Można się było na nią dostać tylko łódką. Jack zgasił silnik i wyrzucił kotwicę za burtę. Caroline otworzyła oczy.

- Zabrałem coś do jedzenia - powiedział.

- Muszę nakarmić dziecko. - Nigdy przedtem tego przy nim nie robiłam.

Przygotował dwa miejsca w kajucie, a potem pomógł mi zdjąć kamizelkę i wyjął Caroline z nosidelka. Poprosił mnie przy tym, żebym poszukała starego plażowego ręcznika, którym mogłabym osłonić dziecko od wiatru.

Weszłam do małej kabiny, gdzie panował porządek zrozumiały jedynie dla Jacka. Znalazłam tam liny, brezent i szmaty, a także parę książek, między innymi poezje Yeatsa i „Fachmana” Malamuda. Książki miały miękkie, zniszczone oprawy, ośle uszy i gdzieniegdzie plamy z wody. W środku znajdowały się również po stokroć składane i rozkładane mapy. Latarka. Rakielnica. Race. Butelka whisky, do połowy opróżniona. Kiedy wreszcie dojrzałam ręcznik, natychmiast podniosłam go z podłogi. Pod nim zobaczyłam pistolet. Wzięłam go do ręki, potrzymałam chwilę i odłożyłam na miejsce. Wróciłam do kajuty z ręcznikiem.

- Znalazłam! - krzyknęłam. - Ale widziałam tam jeszcze broń.

- Aha - mruknął Jack, zupełnie nie speszony, jakbym mówiła o zegarku. - Wszyscy mamy pistolety. Musimy jakoś odstraszać kłusowników. Czasem z niego strzelam, żeby nie zardzewiał, ale to wszystko.

- Jest nabity? - spytałam.

- A jak myślisz? Inaczej bym go przecież nie trzymała. Tak czy owak, nikt poza mną nie przebywa na pokładzie.

- Znalazłam też parę książek. Czytasz czasem na łodzi? Odniosłam wrażenie, że się zawstydydził.

- Jak mam okazję. - Roześmiał się głośno. - Albo jak ją sobie stworzę. Tu jest bardzo spokojnie.

Wzięłam od niego dziecko i usiadłam. Odpięłam płaszcz, podniosłam sweter. Poczułam na skórze chłodne powietrze. Otulił mnie ręcznikiem tak, żeby zasłonić buzię Caroline od wiatru. Przyniósł z kabiny butelkę whisky. Usiadł i zaczął przygotowywać jedzenie. Czasem, właśnie w takich chwilach, zamykałam oczy i próbowałam sobie wyobrazić, jak wyglądałoby moje życie, gdybym wtedy poznała Jacka, a nie Harrolda, ale natychmiast odpędzałam od siebie te myśli. Należało omijać niebezpieczny grunt.

Przygotował kanapki z bekonem i cały termos kawy. Nic poza tym, a mimo wszystko tak wiele. Na widok jedzenia poczułam wilczy apetyt. Tosty - choć zimne - smakowały wspaniale. Jack dołał mi do kawy sporo whisky. Wszyscy mieszkańcy St. Hilaire dodają alkohol do herbaty i kawy. Podał mi kawę w nakrętce, sam pił prosto z termosu. Słońce świeciło jasno, jakby chciało nas ogrzać. Jego promienie padały na złocisty piasek plaży i wodę. Jack siedział naprzeciw mnie, stykaliśmy się kolanami. Jadłam jedną ręką, drugą trzymałam dziecko. Łódź kołysała się delikatnie. Patrzyłam na

ogorzałą twarz Jacka, jego zmarszczki, szare oczy. Spod swetra wystawał mu postawiony wysoko kołnierz flanelowej koszuli. Byliśmy tylko my dwoje, cała ta woda, cały ten piasek i całe to morze.

- Jest... - zaczęłam, ale nie mogłam dokończyć. Spojrzał na mnie.

Poprawił mi rękaw na ramionach. Przytaknął i odwrócił głowę.

Może rozmawialiśmy podczas pikniku. Chyba tak, bo wiem coś, o czym w przeciwnym wypadku w ogóle bym się nie dowiedziała. Gdy przychodził do mnie rano, mówiliśmy niewiele. John zresztą należał do ludzi zamkniętych w sobie, albo też wyszedł z wprawy. Wydawało mi się, że w ten sposób stajemy się bardziej do siebie podobni, bo ja też nauczyłam się uważać na każde słowo. A jeśli nie wolno mówić o czymś, co jest najważniejsze, i trzeba się bardzo starać, żeby nie uchylić nawet rąbka tajemnicy, to już lepiej być wyłącznie słuchaczem niż w ogóle się odzywać. Tego dnia jednak John opowiadał mi o rodzinie, wprawdzie nie o żonie i dzieciach, ale o ojcu i dziadku. Oni również zajmowali się połowem homarów. Dziadek najpierw łowił dorsze, dopiero po drugiej wojnie światowej przerzucił się na homary, bo ludzie zaczęli je chętnie kupować. Dziadek Jacka już nie żył, a ojciec mieszkał na południu St. Hilaire, ale od dawna nie mógł łowić. Nie pamiętam dokładnie, jakimi słowami Jack opisał wypadek ojca, ale wiem, że to było coś poważnego.

Nigdy nie miałam okazji poznać Strouta seniora, ale wyobrażałam go sobie jako pomniejszoną wersję Jacka - człowieka z pochylonymi ramionami, wyglądającego na zatokę przez okno w salonie. Po zjedzeniu kanapek Jack powiedział, że czas ruszać. Chciał mnie odwieźć na cypel, a potem zabrać łódkę na nabrzeże i zostawić sieci w porcie.

W drodze powrotnej prawie ze sobą nie rozmawialiśmy - silnik pracował zbyt głośno - ale podróż przebiegała spokojnie, nawet nie dokuczało nam zimno. Płynęliśmy z wiatrem.

Okrążyliśmy obsadzoną sosnami wyspę, a stamtąd widziałam już cypel i dom, w którym mieszkałam.

- Niech to szlag! - zaklął.

Próbowałam dojrzeć, co zwróciło jego uwagę, ale czerwoną ciężarówkę zauważyłam dopiero wówczas, gdy podpłynęliśmy bliżej.

- Pod moim domem stoi dostawczak - powiedziałam.

- Wiesz czyj?

- Tak.

- Nie możemy zawrócić.

- Nie - przyznałam.

- W porządku. Chryste Panie, co on tu robi w niedzielę? Znałam odpowiedź na to pytanie, ale się nie odezwałam. Jack przycumował, pomógł mi wsiąść do szalupy i powiosłował na wybrzeże. Willis czekał na mnie na brzegu.

- Cześć, Jack.

- Cześć, Willis.

Mężczyźni wymienili pozdrowienia, ale Jack nie patrzył Willisowi w oczy. Ten palił papierosa.

- Siemasz, Ruda.

Skinęłam głową i przytuliłam Caroline.

- Łowiłeś na błyszcz?

- Sprawdziałem więcierze.

- W niedzielę? Zawsze mówiłem, że prawdziwy pracuś z ciebie.

Jack popchnął szalupę na wodę.

- I zabrałeś Rudą na przejażdżkę.

- Tak.

- No i co, Ruda? Fajnie było?

Willis miał na nosie okulary przeciwsłoneczne. Nie widziałam jego oczu, więc spojrzałam prosto w ciemne szkła.

- Wiele się nauczyłam - odparłam. - Naprawdę wiele. Jack odepchnął się wiosłem od brzegu. Chyba się uśmiechał.

- Do zobaczenia! - zawołał.

- Dziękuję za wycieczkę - odparłam najswobodniej, jak potrafiłam.

Za kilka godzin znowu go zobaczę - myślałam. Może i on również o tym myślał.

Willis odprowadził mnie do domu.

- Widziałem auto. Waliłem do drzwi, nikt nie odpowiadał. Zmartwiłem się, myślałem, żeś miała jakiś wypadek albo wpadła w ruchome piaski. Jeszcze pół godziny, i poszedłbym do Everetta.

- To byłoby głupie - powiedziałam.

- Nie powinno się wypływać łódką w taką pogodę, w dodatku z dzieckiem. Trzeba myśleć o córce.

- Cały czas o niej myślę - odrzekłam. - Proszę się o mnie nie martwić. Potrafię sama o siebie zadbać.

Staliśmy przy jego aucie. Nie zamierzałam wpuszczać go do środka, nawet gdyby usiłował się wprosić, i sędzę, że Willis to wyczuł, bo niczego takiego nie zaproponował.

- Czyżby? - spytał, głaszcząc Caroline po policzku.

ROZDZIAŁ 17

Willis Beale

No dobra, myślę, że ktoś musi pani w końcu opowiedzieć o Jacku i Mary, chociaż wcale nie uważam, by to miało jakikolwiek wpływ na zabójstwo. Nie mówię, że ona to zrobiła z tego powodu. Wcale nie. Inna sprawa, że długo nie czekała, by się z nim puścić.

To jak, słyszała pani o tej aferze czy nie?

Niewiele o tym gadano na procesie, bo nikomu się nie uśmiechało, żeby podawać szczegóły. Tylko Mary musiała się przyznać, ale prokurator nie wchodził w szczegóły, no nie? Ale ja tak sobie kombinuję, że do tego artykułu potrzebuje pani wszystkich faktów, no nie? Ale proszę nie pisać, że to ja mówiłem, ani nic z tych rzeczy. To jest - jak wy to nazywacie - tajna informacja.

Dobra, niech będzie. Poufna.

Jak zwał, tak zwał, byleby tam nie było mojego nazwiska. Tak czy siak, dziewczucha nie zasypiała gruszek w popiele, jeżeli pani rozumie, o co mi chodzi. Nie wiem dokładnie, kiedy się to wszystko zaczęło, ale już gdzieś tak koło świąt miałem na nich oko. Może pani to nazwać instynktem. Ja się po prostu znam na takich numerach, no nie? Właściwie to zobaczyłem ich razem dobry tydzień czy nawet dwa później, ale domyślałem się czegoś o wiele wcześniej. A teraz niech pani sama dobrze pomyśli.

Mary Amesbury przyjechała do nas trzeciego grudnia. Gwiazdka była już trzy tygodnie później. No to szybko się sprawiła, nie?

Jak się nad tym dobrze zastanowić, to od razu można zmienić o niej zdanie. Może wcale nie spotkała jej taka krzywda, jak się wszystkim wydawało. Może już w Nowym Jorku podrywała facetów, a jej stary miał się naprawdę o co wściekać. Jakby to moja żona zaczęła się puszczać, to nie wiem... A ta mała? Może wcale nie była jego? Faceta pewnie szlag trafiał.

Warto się nad tym zastanowić, no nie?

A Jack zachowywał się przedtem naprawdę porządnie. Jak wzór męża i ojca. Ani on, ani Rebecca nigdy nie robili sobie żadnych głupich numerów. Cholernie smutna historia... Jak sobie tylko pomyślę, co się stało...

No więc chodzi mi o to, że Jack się pierwszy z niczym nie wychylił. Rozumie pani, o co mi chodzi? Ja go znam. To porządny chłopina z kośćcami. Wierny żonie. Nigdy nawet nie spojrzął na inną kobietę. Ja już bym wiedział, jak by było inaczej. W takim razie co w niego wstąpiło? Z tej Mary Amesbury była całkiem ładna babka, nawet po tym, co się jej przytrafiło, więc myślę, że i ten święty Jack stracił głowę. Każdy chłop

straci, jak się do niego kobita ostro weźmie, a ona nie marnowała czasu. Bo na pewno to nie Jack zaczął. Nawet sobie czegoś takiego nie wyobrażam.

Tak, widziałem ich razem. Przyłapałem tę parkę na gorącym uczynku, chociaż wtedy akurat nic z tych rzeczy nie robili, pani rozumie, no nie? W którąś niedzielę po południu przyjechałem na cypel, żeby zabrać coś z szopy, więc pomyślałem, że przy okazji zobaczę, co u niej słychać. Czuję się za nią odpowiedzialny, bo poznaliśmy się zaraz potem, jak Mary Amesbury przyjechała do St. Hilaire. No więc zobaczyłem, że auto stoi przed domem, a po niej ani śladu. Zacząłem się nawet martwić, myślałem, że miała wypadek, a potem ich zobaczyłem. Wracali z przejażdżki łódką. I to nie kiedy indziej, jak w niedzielę. Już wtedy mnie tknęło, że coś nie gra. No bo dlaczego się z nią umówił, jak wiedział, że nikogo nie będzie na cyplu? Podchodzę, witam się, a oni uciekają z oczami. Ona oczywiście trzymała dziecko na rękach. Ciekaw jestem bardzo, co robili z tą małą, jak się... no wie pani, o co mi chodzi, nie? Co mi zresztą do tego?

Tak czy siak, przychodził do niej zawsze rano, zanim wypłynął. Wszyscy o tym wiedzą. Nie jestem tylko pewien, kiedy się zorientowali, co w trawie piszczy. Przedtem czy potem? Nie pamiętam. Ja ich rozgryłem od samego początku, ale trzymałem język za zębami. Chyba że chlapnąłem coś Jeannine. Tak, mogłem coś powiedzieć mojej starej. Bo bardzo się zawiodłem na tej całej Mary. Brałem ją za kogo innego, no nie?

Ale to pewnie nieważne. Myślałem tylko, że powinna pani się wszystkiego dowiedzieć.

ROZDZIAŁ 18

Mary Amesbury

Tamtej nocy obudził mnie krzyk córeczki - bardzo głośny i cieni, niemal nieprzerwany. Kiedy dobrnęłam do jej pokoju, Caroline podpierała się na czworakach w łóżeczku, próbując wstać. Buzię miała zaczerwienioną, wykrzywioną z bólu. Kiedy pogłaskałam ją po policzku, od razu wyczułam, że ma gorączkę. Położyłam jej dłoń na czole, ale natychmiast zaczęła mi się wyrzywać.

Pobiegłam do kuchni, rozgniotłam aspirynę i rozpuściłam ją niezbyt dokładnie w soku jabłkowym. Nie udało mi się jednak napoić córki, bo na widok butelki rozkrzyczała się na dobre. Z braku innego pomysłu zaczęłam ją nosić utartym szlakiem między kuchnią a sypialnią, ale na nic się to nie zdało. Wiła się w moich objęciach, kręcąc dziwnie głową. Próbowałam się opanować, żeby jasno myśleć, ale byłam przerażona.

Jack przyszedł tuż przed świtem, jak zwykle. Zastał mnie w łazience, gdzie zdjęłam Caroline pieluszki i za pomocą mokrej gąbki próbowałam jej obniżyć gorączkę. Niestety, moja córeczka płakała coraz głośniej.

Stanął w drzwiach łazienki w sztormiaku i długich butach.

- Co się stało? - zapytał.

- Ma temperaturę. Nie wiem dlaczego. Przyklęknął, dotknął jej buzi.

- Chryste - mruknął. - Jest zupełnie rozpalona. Usiłowałam sobie wmówić, że Caroline nic poważnego nie dolega, ale to „Chryste” Jacka odebrało mi nadzieję.

- Chciałam z nią rano pojechać do przychodni w Machias. Ale już sama nie wiem. Co radzisz?

- Pojadę do LeBlanców. Wezwę lekarza dyżurnego - powiedział wstając.

- Nie możesz tego zrobić - zaprotestowałam. Sądziłam, że jeśli Jack pojedzie do LeBlanców w mojej sprawie, wszystko się natychmiast wyda.

- Powiem, że zamierzałem wypłynąć, ale ty widocznie zobaczyłaś mnie przez okno, bo podeszłaś do drzwi i zaczęłaś wzywać pomocy.

- Nikt ci nie uwierzy - powiedziałam.

- Niewykluczone - odparł - ale uważam, że na razie nie powinnaś się tym zajmować.

Gdy wrócił, siedziałam w wannie z Caroline. Woda była zimna i z trudem ją wytrzymałam, ale nic innego nie przychodziło mi do głowy. Ważne było tylko obniżenie gorączki.

- Jedziemy - rzucił od drzwi. - Lekarz będzie na nas czekał na miejscu.

Gdy spjrzałam na niego pytająco, napotkałam jego niespokojny wzrok.

- Czy aby na pewno powinienes... - zaczęłam. Potrząsnął głową, jakby chciał od siebie odpędzić to pytanie.

- Zabieram cię. Ubierz się, dobrze?

Wstając, podałam mu Caroline. Owinał ją pomarańczowym ręcznikiem i przytulił, a ja tymczasem poszłam na górę, żeby się ubrać. Moja córka ani na chwilę nie przestawała krzyczeć i kręcić głową, co wzbudziło niepokój nawet w Jacku, który nigdy dotąd nie zdradzał w mojej obecności żadnych oznak zdenerwowania. Kiedy chciałam włożyć jej nóżkę w ubranko, zaczęła się okładać piąstką po buzi. Zerknęłam na Jacka, ale on nie odwzajemnił spojrzenia. Zrezygnowałam z prób ubrania Caroline w kombinezon, okryłam ją tylko wełnianym kocykiem.

Wsiadając do szoferki, oddałam małą Jackowi. Niebo przypominało fioletową płachtę, a po zachodniej stronie horyzontu pojawiły się gwiazdy. Na drodze nie było ruchu, ale w domach na poboczu paliły się światła. Nieruchome, ciche Machias przypominało wymarłe miasto.

W przychodni był już lekarz; kiedy pojawił się w poczekalni, bardzo się zdziwiłam, że jest taki młody. Na pewno nie przekroczył trzydziestki i zupełnie nie wyglądał jak doktor. Miał na sobie dzinsy i pogniecioną koszulę roboczą, jakby w pośpiechu narzucił ubranie leżące obok łóżka. Wskazał nam drogę do gabinetu, a gdy znaleźliśmy się w środku, kazał mi rozebrać dziecko. Opowiedziałam mu, jak strasznie krzyczała Caroline, mówiłam, że tak dziwnie kręciła głową i biła się po buzi.

Nie zmierzył jej temperatury, jakby nie uważał tego za konieczne, ale obejrzał gardło i zajrzał do uszu.

Wstał, kładąc Caroline rękę na czole.

- Zapalenie ucha - orzekł krótko. - Tego właśnie się spodziewałem.

Sięgnął do szafki po małą buteleczkę, po czym wpuścił dziecku do każdego ucha po jednej kropli.

- To złagodzi ból - powiedział. - Ale trzeba jej podać antybiotyk. Właściwie chciałbym od razu zrobić małej zastrzyk, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, a potem, jak otworzą aptekę, będzie można wykupić receptę. Powiem szczerze, że wcale mi się nie podoba ta gorączka. Musimy ją koniecznie obniżyć. - Jeszcze raz dotknął czoła Caroline. - Dochodzi do czterdziestu stopni. - Mówił spokojnie, ale był wyraźnie zmartwiony.

Gabinet zawirował mi przed oczyma, przywodził na myśl wnętrze szklanego kosza. Wysunęłam rękę, by pochwycić krawędź leżanki, ale to, co tak bardzo pragnęłam sobie przypomnieć, pozostawało poza moim zasięgiem jak jakiś złożony problem matematyczny.

- Och, nie - jęknęłam cicho.

Lekarz zupełnie mnie nie zrozumiał. Jack miał również zdziwioną minę. Diagnoza stanowiła raczej powód do ulgi. Mogło być przecież znacznie gorzej.

- Ona wyzdrowieje - dodał szybko lekarz. Odniosłam wrażenie, że w jego głosie pobrzmiwa jakaś fałszywa nuta.

Wyjął termometr ze szklanego słoika i zmierzył Caroline temperaturę. Protestowała, ale doktor trzymał ją mocno za nóżki.

- Chciałbym dostać dolara za każde zapalenie ucha, jakie lecę o tej porze roku - powiedział. - Jeżeli dam jej teraz zastrzyk, gorączka spadnie jeszcze przed świtem. A jutro mała znów będzie sobą, chociaż kuracja antybiotykiem potrwa około dziesięciu dni.

Potrząsnęłam głową.

- Co się stało? - Jack patrzył na mnie dziwnie. W ostrym świetle gabinetu zmarszczki na jego twarzy stały się jeszcze bardziej widoczne. Pomyślałam, że pewnie trudno również nie zauważyć moich siniaków. Zaczęłam się zastanawiać, czy Jack przychodził tu już wcześniej, czy stał w tym samym miejscu obok żony, patrząc na dziecko badane na leżance.

- Ona jest uczulona na jeden z antybiotyków, a ja nie pamiętam na który - powiedziałam tak spokojnie, jak tylko potrafiłam.

- Nie widzę problemu - odrzekł doktor, wyjmując termometr. - Tak - mruknął. - Czterdzieści stopni jak w banku. Nie ma co się z tym bawić. Muszę podać lek przeciwgorączkowy. Kto ją leczył? Zatelefonuję i spytam. Numer musi być w karcie.

W tej samej chwili Jack wszystko zrozumiał. Znów obrzucił mnie stroskanym spojrzeniem.

- Trzy miesiące temu Caroline zachorowała - powiedziałam bardziej do siebie niż do lekarza czy Jacka. - Miała wysoką gorączkę, ale lekarz nie potrafił postawić diagnozy. Podał jej antybiotyk, nie wiem jaki, po którym spuchła i dostała pokrzywki. Więc znów jej coś zaaplikowali, ale ja nie wiem co. Chyba najpierw penicylinę, a później sulfonamid. Albo odwrotnie. Nie pamiętam kolejności.

W pokoju zapadła cisza.

- Tak mi przykro - dodałam - ale wtedy bardzo...

- Nie szkodzi - przerwał lekarz. Odniosłam wrażenie, że zaczyna się niecierpliwić. - Sprawa jest jednak niezwykle ważna. Reakcja alergiczna może się okazać fatalna w skutkach. Nic tu sami nie poradzimy, ale, jak już mówiłem, jeśli poda mi pani numer telefonu jej lekarza, poproszę o odczytanie karty.

- Czy nie ma jakiegoś stuprocentowo bezpiecznego leku? - spytał Jack z kamienną twarzą.

- Zatelefonuję - powiedziałam szybko. Doktor pokręcił głową.

- Nie - odparł. - Muszę sam to zrobić. Nie udzieliliby pani informacji, a poza tym mogłaby pani źle coś zrozumieć. Poza tym uważam, że naprawdę nie powinniśmy tracić czasu - dodał stanowczo.

Zaczęłam coś mówić, ale urwałam.

- Widzę, że to stanowi problem, prawda? - spytał. Caroline, wyczerpana gorączką, popatrzyła na mnie z leżanki.

- Nie - powiedziałam szybko i chyba zbyt głośno jak na taki mały gabinet. - Nie widzę problemu.

Podaliśmy nazwisko i adres pediatry Caroline w Nowym Jorku. Nawet pamiętałam numer telefonu.

Wyszliśmy z kliniki i podeszliśmy do czarnego dostawczaka zaparkowanego na zewnątrz. Jack niósł Caroline.

- To żaden trop - powiedział. - Przecież on nie będzie wypytywał o ciebie tego pediatrę. Istnieje najwyżej jedna taka szansa na milion.

Ja z kolei, żeby go uspokoić, udawałam, że przyznaję mu rację. Ale tak naprawdę absolutnie się z nim nie zgadzałam. Absolutnie.

Jack odwiózł mnie do domu. Gdy wjeżdżaliśmy na wyboistą ścieżkę, ocean przybierał powoli błękitną barwę. Powietrze było czyste, rześkie i zimne. Już od trzech dni utrzymywała się podobna pogoda. Czułam, że odwilż się kończy. W najbliższym czasie nie groziła nam mgła ani ocieplenie. Dlatego poprzedniego wieczoru Jack powiedział, że niedługo odholuje kuter do portu.

Zostawił mnie w domu, a sam pojechał do Machias, żeby zaczekać na otwarcie apteki. A to oznaczało, że mężczyźni pracujący w domku rybaka z pewnością zobaczą, kto mnie odwiedza. Zaproponowałam, że sama wykupię leki, ale Jack nie chciał o tym słyszeć.

Oczywiście kiedy wrócił z apteki, na podjeździe stał już czerwony dostawczak Willisa. Jack podeszedł do drzwi i podał mi paczkę. Zapytał, jak się czuje Caroline. Powiedziałam, że chyba lepiej, bo spokojnie zasnęła. Bardzo chciałam, żeby wszedł, a on też chyba miał na to ochotę. Przytrzymał drzwi ramieniem, wychylając się do przodu, jakby stał na krawędzi decyzji.

- Wejdz - zaproponowałam, wiedząc, że będzie musiał odmówić.

Było już zupełnie jasno i odnosiłam wrażenie, że Willis gapi się na nas przez brudne szyby domku rybaka. W każdej chwili mógł stanąć w drzwiach.

- Nie mogę - odparł.

Włożyłam mu rękę za kołnierz flanelowej koszuli i swetra. Tego gestu nie można było wyśledzić z tak dużej odległości. Jack miał ciepłą skórę, a ja drżałam z zimna i tęsknoty. Dojrzałam na jego twarzy tę samą potrzebę. Za nami krążyły mewy, w szale porannych łowów rysowały na niebie pętle.

Od tego ranka czas zaczął się kurczyć. Wiedziałam, że Jack - podobnie jak ja - nie chce marnować ani chwili. Zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że gdy odstawi łódź do portu, nie będzie już mógł mnie odwiedzać wczesnym rankiem. Nie miał żadnego pretekstu do tak ранego wstawania. Ile jeszcze wspólnych świtów nam zostało? Trzy? Cztery?

- Muszę już iść - powiedział. Cofnęłam rękę.

- Przyjdiesz jutro? - spytałam.

- Tak - odparł i zbiegł w dół wzgórza na sam koniec cypla.

Doglądałam Caroline cały dzień i noc. Drzemałam, kiedy ona spała, a gdy się budziła, po prostu tuliłam ją mocno w objęciach. Była bardzo osłabiona po antybiotyku, ale chyba już nie cierpiała, co bardzo mnie cieszyło. Gorączka też trochę spadła. Pod wieczór Caroline poczuła się znacznie lepiej i nawet miała ochotę na zabawę. Położyłam ją na plecionym dywaniku, a ona się po mnie czołgała. Brałam ją na ręce, podnosiłam, znowu kładłam obok siebie i łachotałam. Śmiała się głośno, co wyzwalalo we mnie jeszcze więcej czułości.

Jack zjawił się tuż przed świtem. Nie spałam. Wszedł na górę znacznie szybciej niż zwykle. Zrzucił żółty sztormiak w progu sypialni i zaczął mnie pieścić, zanim jeszcze zdążył się rozebrać. Tego ranka pożądał mnie szczególnie mocno, więc przetaczaliśmy się po łóżku jak wzburzone morze. Wyczułam w nim coś dotąd nie znanego - niedosyt, pragnienie czegoś więcej, niż mogliśmy osiągnąć. Potem położył się na plecach.

- Chcę od niej odejść. Chcę mieszkać tutaj, z tobą. Otworzyłam usta, żeby coś powiedzieć, ale nie dopuścił mnie do głosu.

- Nie mogę jej zostawić - powiedział. - Wczoraj rano, kiedy podałaś lekarzowi to nazwisko i adres, pomyślałem, że skoro ty tyle ryzykujesz, to i ja powinienem spróbować. Cały dzień usiłowałem wymyślić jakiś sposób, żeby być z tobą, nie krzywdząc mojej żony, ale nie ma takiego sposobu. No bo nie tylko ja podejmowałbym ryzyko. Położyłbym na szalę jej rodzinę, dom, tę małą stabilizację, jaką udało się osiągnąć. Więc nie wolno mi jej skrzywdzić. Jest zbyt krucha, to by ją...

Narzuciłam na nas kołdrę, położyłam mu rękę na ustach, oparłam głowę na jego torsie.

- Nie myśl już o tym. Niech będzie, jak jest. Wziął mnie w objęcia.

- Tak mi przykro - szepnął. W pokoju zapadła cisza.

- Wiesz - zaczął po chwili - nie chcę, żebyś wyjechała, ale może jednak powinnaś o tym pomyśleć. - Zacieśnił uścisk. - Choćby kawałek dalej na północ.

Mnie również ten pomysł przyszedł do głowy jeszcze w klinice w Machias, ale odrzuciłam go natychmiast, zanim jeszcze zdążył się całkowicie uformować. Nie czułam się na siłach, żeby wyjechać z tego domu i opuścić Jacka. Doskonale zdawałam sobie z tego sprawę.

- Kiedy znów zaczyna się sezon? - spytałam.

- W kwietniu. Ale mógłbym to przyspieszyć i wypłynąć już w połowie marca.

- Zrób to - odparłam.

Później, kiedy Jack siedział przy stole, a ja parzyłam herbatę, spytałam, co studiował w college'u i czym zamierzał się zajmować po ukończeniu nauki. Na zewnątrz panowały ciemności, widziałam swoje własne odbicie w szybie. Swój flanelowy szlafrok i wełniany sweter, swoje włosy, zbyt długie, puszczone luźno na ramiona. Widziałam również odbicie Jacka, patrzącego na mnie ze swego miejsca na krześle. W tych szybach wyglądaliśmy jak rybak i żona rybaka, która wstała tak wcześnie, żeby przygotować mężowi śniadanie. Pomyślałam, że absolutnie nie przypominamy pary kochanków. Byliśmy znacznie bardziej zwyczajni, swojscy. Mogliśmy uchodzić za kogoś, kim nie mieliśmy szansy się stać.

- Coś nie tak? - spytał.

Potrząsnęłam głową. Na stole postawiłam herbatę i tosty.

- Na pewno będziesz się śmiała, ale chciałem wyłożyć w college'u. Dostałem stypendium sportowe i rozpocząłem naukę z myślą o tym, że zostanę trenerem. Kochałem bieganie, nic się z nim nie może równać, nawet łowienie homarów, ale miałem wspaniałego profesora od literatury angielskiej, więc wymyśliłem, że kiedyś mogę i uczyć, i trenować.

- Wciąż miałbyś na to ochotę? - spytałam, przypominając sobie książki, które znalazłam u niego w łódce.

- Nie - odparł szybko, jakby chciał zmienić temat. - Odkąd wyjechałem z college'u, ani razu o tym nie myślałem.

- Żałujesz?

- Nie - powiedział kategorycznie, jakby zostawił to za sobą ostatecznie przed wielu laty.

Zjedliśmy skromne śniadanie. Powiedział, że odstawia łódź w piątek, a potem rozpoczyna naprawę sprzętu. W lutym zwykle zabierał żonę i córkę na wycieczkę - takie małe wakacje. Nie był pewien, dokąd się wybiorą tym

razem - chciał pojechać do Bostonu, bo jego syn chodził tam do szkoły, ale córka zdecydowanie wolała jakieś cieplejsze miejsce. W głosie Jacka wyraźnie słyszałam napięcie, mówił też szybciej niż zwykle, a ja odpowiadałam równie nerwowo, jakbyśmy wyczuwali, że wszystko, co mamy sobie do powiedzenia tej zimy, musimy powiedzieć teraz. Zaczęłam się zastanawiać, czy po jego odejściu nadal będę się budziła tak wcześnie.

Linie horyzontu przeciął pas rozlanej czerwieni wschodzącego słońca. Pomyślałam, że nienawidzę świtu, jakbym była nocną zjawą znikającą pod wpływem światła. Wstałam, żeby poczekać na Jacka przy drzwiach. Tak bardzo nie lubiłam chwili, w której wychodził. Patrzyłam, jak wstaje, wkłada gumki i sztormiak.

- A może cię nie wypuszczę? - zażartowałam, obejmując go w pasie. - Może będziesz tu musiał zostać przez cały dzień.

Zatopił twarz w moich włosach.

- O niczym innym nie marzę - szepnął.

Następnego ranka - a była to środa - Jack nie przyszedł. Obudziłam się jak zwykle przed świtem i czekałam, ale na schodach nie odezwały się jego znajome kroki. Leżąc w łóżku, nasłuchiwałam warkotu motoru na podjeździe - dolatywał do mnie jednak tylko przenikliwy krzyk mew i plusk morza. Widziałam poranną zorzę, czekałam na wschód słońca. Gdy horyzont przeciął czerwony pas, zrozumiałam, że on już się nie zjawi. To mu się zdarzyło pierwszy raz, a ja poczułam dziwną pustkę, jakby dzień sam w sobie stracił jakikolwiek sens.

Caroline obudziła się wcześnie. Zgodnie z przewidywaniami doktora czuła się bardzo dobrze, ale nadal podawałam jej antybiotyk. Położyłam ją na pleconym dywaniku i wyglądałam przez okno. Zielono-biała łódź podskakująca na wodzie najwyraźniej ze mnie drwiła. W końcu nadjechały ciężarówki, wysiedli z nich rybacy, ale Jacka wśród nich nie było. Próbowalam dociec, co się mogło stać. Zakładałam, że u niego w domu wybuchła awantura. Na przykład Rebecca zrobiła scenę. Być może Jack jednak wszystko jej powiedział. Albo też zdecydował skończyć ten romans. Tak, to mi do niego pasowało. Kiedy się ze mną żegnał, wiedział, że już nigdy się nie zobaczymy, i dlatego tak mnie tulił. A ja po prostu niczego się nie domyśliłam.

Próbowalam się pogodzić z tą możliwością, uwierzyć w nią i jakoś ją przyjąć do wiadomości. Ale nie potrafiłam. Spacerowałam po pokojach z pustymi rękami, a Caroline bawiła się na podłodze. Nie mogłam usiedzieć w jednym miejscu. Czyżby Jack dawał mi w ten sposób do zrozumienia, że

powinam wyjechać? Opuścić to miasto i znaleźć sobie inne miejsce na świecie?

Przecież nie mogłam postąpić w ten sposób. Nie potrafiłabym się wyprowadzić bez rozmowy z Jackiem. Musiałam wiedzieć, czy on naprawdę nie zamierza się ze mną widywać.

Ubrałam się, potem włożyłam kombinezon dziecku. Chciałam pojechać do miasta, zapytać go, dlaczego nie przyszedł, ale wiedziałam, że nie wolno mi tego zrobić. Z szopy dobiegały głosy mężczyzn. Pod wpływem impulsu zapragnęłam tam pójść, zapytać o Jacka - do diabła z Willisem! - ale zdawałam sobie sprawę, że to absurdalny pomysł. Włożyłam jednak Caroline do nosidełka i zabrałam ją na spacer. Sądziłam, że trochę świeżego powietrza nie powinno jej zaszkodzić. W tak ciepłym ubraniu nie mogła zmarznąć.

Powietrze było suche, lekkie i kłujące jak mrożony szampan. Wiedziałam, że to nie pogoda zatrzymała Jacka w domu. Poszłam szybko na koniec cypla i zawróciłam. Gdyby ktoś mnie wtedy zobaczył, z pewnością by pomyślał, że jestem zła. Zerknęłam na dom, ale nie chciałam jeszcze wchodzić do środka. Skierowałam się na południe, w stronę miasta. Szłam bardzo szybko, więc dotarłam znacznie dalej niż kiedykolwiek. Rozpoczął się odpływ, w czystym powietrzu unosił się zapach morza. Wędrowałam, dopóki nie rozboleły mnie nogi, a plecy nie zaczęły się uginać od ciężaru Caroline. Ale tego właśnie pragnęłam - poczuć fizyczne zmęczenie.

Mniej więcej po dwóch godzinach spaceru Caroline zaczęła płakać. Pora karmienia już dawno minęła, wiedziałam, że powinnam jak najszybciej wrócić do domu. Przyspieszyłam kroku.

Na podjeździe parkował stary czarny buick, którego nigdy przedtem nie widziałam, a na schodach stała Julia Strout i przysłaniając oczy, patrzyła przed siebie.

Zobaczyła mnie od razu i pomachała. Skinęłam jej ręką i zaczęłam się szybko piąć na wzgórek.

- Domyśliłam się, że poszłaś na spacer - powiedziała. - Jak tam maleństwo?

- Jest głodna - odrzekłam. - Muszę ją nakarmić. Co u ciebie? Julia odparła, że wszystko w porządku, i przytrzymała mi drzwi. Razem weszliśmy do domu. Wyjęłam Caroline z nosidełka, zrzuciłam okrycie. Usiadłam na kanapie w salonie, gestem dłoni zachęciłam Julię, żeby się rozgościła. Przycupnęła na krześle, nie rozpinając nawet płaszcz.

- Dzwonił do mnie dziś rano Jack Strout - powiedziała, przyglądając mi się uważnie.

Staralam się nie dać niczego po sobie poznać, ale poczułam ostre ukłucie w piersi. Zacerpnęłam powietrza. Chciałam otworzyć okno.

- Mówił, że mała była bardzo chora, a ty poprosiłaś go o pomoc, więc zawiózł cię do Machias, do kliniki.

Przytaknęłam.

- Już jej lepiej? - spytała.

- Tak. Znacznie.

Wiedziałam, że jestem spięta i ledwo oddycham. Mleko przestało płynąć, Caroline podniosła na mnie wzrok. Staralam się uspokoić, odetchnęłam głęboko w nadziei, że pokarm znów się pojawi. Niczym się nie przejmuję - nakazywałam sobie w duchu.

- Chciał tu przyjechać i sprawdzić, czy z dzieckiem wszystko w porządku, ale w nocy zachorowała jego żona. Jakiś paskudny wirus żołądka. Jack nie może jej zostawić samej. Ale prosił, żebym ja do ciebie zajrzała.

- To bardzo miłe z jego strony - powiedziałam słabo. - Oczywiście tobie jestem również bardzo wdzięczna - dodałam szybko. - Możesz mu powiedzieć, że Caroline nic już nie dolega, ja czuję się świetnie i w ogóle wszystko gra.

Julia spojrzała na mnie dziwnie. Mówiłam piskliwym głosem, zdecydowanie zbyt nerwowo. Próbowalam wymyślić, w jaki sposób przekazać Jackowi wiadomość, ale nie potrafiłam się skupić.

- Właściwie i tak zamierzałam do ciebie wpaść - powiedziała, rozpinając płaszcz. - Być może to nic nie znaczy i w ogóle nie powinnam cię niepokoić, ale tak na wszelki wypadek... Dziś rano, jak zwykle, byłam w sklepie u Everetta, bo kupuję u niego codziennie mleko i gazetę. No i dowiedziałam się od niego, że poprzedniego wieczoru jakiś facet z Nowego Jorku rozpytywał o Maureen English... Boże, dobrze się czujesz?

- Mam tylko problem z pokarmem. - Czulałam, że krew odpływa mi z twarzy.

- Na pewno?

- Tak. Co z tym facetem?

- To był chyba prywatny detektyw, chociaż on sam się do tego nie przyznał - ciągnęła. - W każdym razie Everett mu powiedział, że nie zna nikogo o nazwisku English. Potem ten człowiek opisał kobietę i dodał, że ona podróżuje z niemowlęciem, ale Everett dalej twierdził, że nie wie, o kim mowa.

Przymknęłam oczy.

- Ten detektyw wyjechał i już się więcej nie pokazał - powiedziała Julia.
 - Pewnie zamierza kontynuować poszukiwania gdzie indziej. Everett zasugerował mu Machias, ale facet już tam był. Podobno sprawdzał we wszystkich miastach po tej stronie wybrzeża. Ktoś mu doniósł, że poszukiwana przez niego kobieta przebywa gdzieś w tej okolicy.

Otworzyłam oczy. Staralam się normalnie oddychać. Straciłam nadzieję na pokarm, a Caroline zaczęła marudzić.

- Muszę jej podać butelkę - powiedziałam wstając. Julia poszła za mną do kuchni.

- Myślę, że wszystko będzie w porządku - oznajmiła. - Everett uważa, że ten człowiek mu uwierzył. Chyba już tu nie wróci.

Przytaknęłam. Bardzo chciałam, by się okazało, że Julia ma rację.

- A może Everett wie, czy ten detektyw jeszcze kogoś zaczepiał?

Potrząsnęła głową.

- Nie jest pewien, ale sądzi, że nie. To logiczne, że w takich razach idzie się najpierw do jedyne go sklepu w okolicy. Zresztą poza tym sklepem St. Hilaire wygląda zupełnie jak wymarłe miasto.

W innych okolicznościach na pewno bym się uśmiechnęła.

- Potrzymam małą, a ty zajmij się spokojnie butelką - zaproponowała Julia.

Oddałam jej Caroline i zaczęłam podgrzewać mleko. Koszula przyłgnęła mi do pleców, czułam, że się pocę.

- Powinnaś pójść na policję. Ale nie do Everetta. Mam na myśli posterunek policji w Machias. Skoro tak się boisz, nie widzę innego wyjścia.

Szybko potrząsnęłam głową.

- Nie mogę - odparłam. - Wolę, żeby on nie wiedział, gdzie jestem. A policja może mu to zdradzić. Nie znam się na tych wszystkich przepisach i nie będę podejmowała żadnego ryzyka.

Podgrzawszy butelkę, wzięłam Caroline na rękę. Wróciliśmy do salonu. Najpierw Caroline nie chciała ssać, ale potem jakoś zaakceptowała smoczek. Julia znów usiadła naprzeciwko mnie. Nadal nie zdejmowała płaszcza.

- Napijesz się herbaty? - spytałam.

- Nie - odparła. - Muszę zaraz iść.

Mimo to nie wstała. Patrzyła, jak podaję butelkę Caroline. Pomyślałam, że być może zwleka, bo chce się upewnić, czy na pewno dobrze się czuję.

- Więc Jack tutaj był? - rzuciła jakby od niechcienia. Nadal nie odrywałam wzroku od Caroline. Nie miałam

żadnych wątpliwości co do intencji ukrytych w pytaniu Julii. Bo ona nie powiedziała: „Cieszę się, że Jack mógł ci pomóc”, czy też „Szkoda, że nie poznałaś mego kuzyna w przyjemniejszych okolicznościach”. W tym jednym zdaniu: „Więc Jack tutaj bywał” - zawarła zupełnie inną sugestię.

Nie wiedziałam, jak zareagować. Pomyślałam, że ona próbuje mnie tylko wysondować.

- Bardzo mi wtedy pomógł - odparłam. Przytaknęła.

W pokoju zapadła długa cisza.

- Chciałabym, żeby i on mógł czasem zaznać trochę szczęścia - powiedziała w końcu Julia.

Gdyby nie orientowała się w sytuacji, na pewno nie robiłaby takich aluzji. Poczulałam, że tracę grunt pod nogami. Wchodziłyśmy na zupełnie inne terytorium, takie, na jakim nie wolno kłamać. A może tylko ja to sobie w ten sposób zinterpretowałam, bo czułam głęboką potrzebę, żeby wreszcie powiedzieć komuś prawdę.

- Myślę, że zaznał - szepnęłam ostrożnie, odwracając od niej wzrok.

- O wiele lepiej wyglądasz - zmieniła nagle temat. - Naprawdę o wiele lepiej.

Przytaknęłam i spróbowałam się uśmiechnąć.

- Przynajmniej tyle. Wstała.

- Teraz naprawdę muszę już iść - powiedziała bardzo oficjalnym tonem. - Jadę do Machias. Może ci coś załatwić? Albo kupić coś dla dziecka?

Potrząsnęłam głową.

- Nie, dziękuję. Niczego nam nie potrzeba. Bardzo się cieszę, że przyszedł. Naprawdę.

Włożyła czapkę, rękawiczki i podeszła do drzwi. Pomyślałam, że wyjdzie równie dziarsko, jak weszła, ale ona się zatrzymała, spoglądając nie widzącym wzrokiem na dostawczaki zaparkowane pod szopą. Wyczułam, że bardzo chce jeszcze coś dodać, wypowiedzieć wreszcie te najważniejsze słowa, ale nie może się przełamać. Głęboka rezerwa zmuszała ją do milczenia.

- Za dzień lub dwa wpadnę zobaczyć, co słyhać. Albo przyjdzie do ciebie Jack - wykrztusiła w końcu.

- Kocham go - odparłam bez zastanowienia.

Przez chwilę nie mogła przyjść do siebie ze zdziwienia. Zaskoczyły ją jednak nie tyle moje słowa, ile fakt, że odważyłam się coś takiego powiedzieć. Potem jednak wolno pokiwała głową, jakby już od dawna się wszystkiego domyślała.

- Wiedziałam - szepnęła.

Potem popatrzyła na mnie tak, jakbym była jej córką, która dorosła zbyt szybko i chce się wymknąć spod kontroli.

- Uważaj na siebie - powiedziała wychodząc.

Jack nie zjawił się również następnego ranka, w czwartek, a w piątek zamierzał zholować kuter na keję, więc w najlepszym wypadku został nam tylko jeden poranek. Czekałam na niego w łóżku aż do świtu. Potem wstałam, zeszałam do salonu na dole i patrzyłam przez okno na jego białą łódź, przybierającą powoli łososiowy odcień.

Po południu pojechałam do miasta, bardziej z przyzwyczajenia niż z konieczności. Przed stacją benzynową stał czarny dostaw-czak, który znałam lepiej niż własne auto. Na miejscu pasażera siedziała kobieta. Wyłączyłam silnik i zaczęłam się jej przyglądać. Miała popielate, gładko zaczesane włosy, a na szyi apaszkę w granatowe cętki. Jej chorobliwie blada twarz o wysokich kościach policzkowych zdradzała oznaki minionej urody. Kobieta zacisnęła wąskie wargi w linijkę, ręce trzymała chyba na kolanach, choć z takiej odległości nie mogłam być tego pewna.

Chyba wyczuła, że ktoś na nią patrzy, bo skierowała na mnie wzrok. W jej oczach dostrzegłam dziwny, nawiedzony wyraz i zrozumiałam, z jakimi problemami boryka się Jack. Doznałam wrażenia, że ta kobieta straciła dzieci - wskutek wypadku lub innego nieszczęścia - choć wiedziałam, że to przecież nieprawda.

Pomyślałam, że powinnam uruchomić samochód i pojechać do domu. Z drugiej strony byłam pewna, że Jack jest w sklepie, i nie mogłam pogodzić się z myślą, że stracę szansę, aby go zobaczyć.

Wysiadłam z wozu, wzięłam Caroline na ręce i weszłam na schodki prowadzące do sklepu. Dzwonek nad drzwiami oznajmił moje przybycie radosnym świergotem.

Jack stał z córką przy ladzie. Dziewczynka nie włożyła czapki, włosy opadały jej luźno na ramiona. Miała na sobie czerwoną kurtkę i szalik. Kiedy się odwróciła, żeby zobaczyć, kto wszedł do sklepu, Jack również spojrział na drzwi. Everett skinął mi głową i powiedział „dzień dobry”. Patrzyłam na Jacka. Nie wiedziałam, jak się zachowa, nie byłam pewna, czy się odważy przyznać do znajomości ze mną.

- Jak tam dziecko? - zapytał, starając się nadać swojemu głosowi niedbałe brzmienie. - Chyba nie znasz Mary Amesbury, prawda? - zagadnął dziewczynkę. - Mary mieszka w domku Julii na cyplu. To moja córka, Emily - dodał, ponownie zwracając się do mnie.

Wymieniłyśmy pozdrowienia. Emily szepnęła coś nieśmiało, jak to zwykle nastolatki.

Everett nie spuszczał z nas wzroku.

Jack zerknął przez szybę na auto. Wiedziałam, że się zastanawia, czy widziałam Rebecę.

- Dziecko Mary miało dużą gorączkę - wyjaśnił córce. - Ale czuje się już lepiej, prawda? - dodał, patrząc na mnie.

Skinęłam głową.

Konserwy i neonówki zaczęły wirować mi nagle przed oczyma. Nie odrywałam wzroku od jego twarzy, zdając sobie jednocześnie sprawę, że stoję w miejscu stanowczo zbyt długo.

- Potrzebuję mleka i jeszcze paru innych rzeczy - powiedziałam z ogromnym wysiłkiem, robiąc krok naprzód.

Zdecydowałam się podejść do kasy dopiero wówczas, gdy usłyszałam dzwonek przy drzwiach.

- Julia mi mówiła, że dziecko zachorowało. Ale teraz chyba wszystko jest w porządku - powiedział Everett, podliczając moje sprawunki.

Nie miałam pojęcia, co właściwie kupiłam. Z zewnątrz doleciały odgłosy uruchamianego silnika.

- Rebecca kiepsko się czuje - mruknął Shedd. - Jack musi się nią opiekować.

Tej nocy leżałam w łóżku. W alejce usłyszałam warkot auta. Wydawało mi się, że Jack przyjechał wcześniej niż zwykle, bo w pokoju było zupełnie ciemno. Widocznie nie mógł się doczekać na nasz ostatni wspólny poranek, więc powiedział żonie, że przed odtransportowaniem kutra do portu ma jeszcze wiele rzeczy do zrobienia.

Usłyszałam jego kroki na kuchennym linoleum. Nie wszedł jak zwykle od razu po schodach na górę. Wydawało mi się, że nalewa sobie do szklanki trochę wody. Potem skrzypnęły drzwi pokoju Caroline. Widocznie sprawdza, jak się czuje mała - pomyślałam. Przecież bardzo się o nią martwił.

W końcu wszedł na schody, ruszył w stronę sypialni. Usiadłam na łóżku, żeby się z nim przywitać. Otworzył drzwi.

- Jack - szepnęłam z ulgą.

Nad łóżkiem zamajaczyła czyjaś postać.

To nie był Jack.

ROZDZIAŁ 19

Everett Shedd

15 stycznia 1971

Pyta mnie pani, czy wiedziałem o Jacku i Mary, zanim wydarzyła się ta okropna historia na cyplu. Cóż, trudno powiedzieć. Gadaliśmy o tym z Julią godzinami, ale nie pamiętam, czy przed zabójstwem, czy też potem. Chyba już nie dojdziemy prawdy. Pamięć to taka śmieszna rzecz. A szczególnie w tym przypadku, bo jak mi Julia coś o nich napomknęła, to od razu sobie uświadomiłem, że już wcześniej się czegoś domyślałem.

Ona weszła do sklepu tuż przed zamknięciem. Jack robił wtedy zakupy z Emily i ta dwójka, znaczy Mary i Jack, pogadała sobie trochę. Już wtedy coś mi się po łbie kołatało. Wyczułem, że się znają. Oczywiście nie miałem pojęcia, że Jack pomagał jej wtedy przy dziecku, jak dostało gorączki. Słyszała pani o gorączce? Gdyby nie choroba małej, pewnie do dziś by ich nie znaleźli.

Dziecko zachorowało w poniedziałek rano, zaraz potem zjawił się Jack - a właściwie, kto to wie, może nawet był tam wcześniej - i zawiózł Mary do przychodni, do doktora Posnera. A doktor Posner to taki młody gość, przejął klinikę po starym Chavenage'u, jak ten odszedł na emeryturę. Posner obejrzał małą i potem musiał dzwonić do Nowego Jorku, bo się okazało, że ona jest uczulona na jakiś lek, więc chciał, żeby przeczytali mu coś z karty zdrowia. Tymczasem mąż Mary powiedział już pielęgniarkom, że jego żona uciekła, i tak po nitce do kłębka, wszystko się wydało. Niedługo potem przyjechał ten prywatny detektyw i zaczął węszyć.

Nie tracił czasu. Pamiętam, bo akurat zamykałem, jak się pojawił ten gość. Zanim jeszcze wlaź do środka, to już go przywazyłem, bo miał na nogach takie błyszczące czarne buty, potknął się na schodach i zaczął kłąć. Potem, jak już wszedł, chuchnął w ręce - a rękawiczek nie nosił, sam nie wiem, gdzie niektórzy ludzie chowają rozum, co im go Bozia dała - więc chucha i pyta, czy widziałem gdzieś tu w okolicy babkę, co by się nazywała Maureen English. Nie znałem oczywiście tego nazwiska, ale od razu wyczułem pismo nosem i poprosiłem faceta o jakąś legitymację albo co, a on wyjął papiery. Ja mu na to, że odpowiadam za porządek w St. Hilaire, więc chyba się ucieszył. Widocznie mu się wydawało, że trafił na właściwą osobę. Potem go zapytałem, dlaczego szuka tej kobiety. Zaczął kręcić, że to prywatna sprawa, w końcu wydusił, że odeszła do męża. A jak pokazał mi zdjęcie, to już byłem w domu, chociaż i przedtem nie miałem żadnych

wątpliwości. Ale powiedziałem, że nie znam tej kobiety, życzyłem mu wszystkiego najlepszego i poradziłem, żeby pojechał do Machias.

On mi na to, że już tam szukał. Znaczy, dostał cynk, że Mary była u Posnera.

Muszę przyznać doktorowi, że umie trzymać język za zębami. Powiedział, że leczył dziecko, i tyle. Dodał jeszcze, że najprawdopodobniej ta kobieta była w Machias przejazdem, w drodze na północ.

Teraz to już i tak wszystko jedno, prawda? Znaczy, ktoś jednak coś chlapanął. Pewnie ten facet zobaczył dostawczaki koło spółdzielni i tak go naraz naszło, że pójdzie wypytać kierowców. Wtedy widocznie ktoś mu nadał, że ją widział, gdzie ją widział - i było po sprawie.

Telefon zadzwonił! równo piętnaście po piątej. Podnoszę słuchawkę i słyszę, że ktoś mówi: „Everett?” „Co?” - pytam. „Tu Jack”. „Jack?” - powtarzam. A on mi na to: „Przyjeżdżaj tutaj zaraz”. „Rebecca?” - pytam.

Zapadła cisza, myślałem, że odłożył słuchawkę. „Nie, Everett. Nie chodzi o Rebecę” - powiedział na koniec.

ROZDZIAŁ 20

Mary Amesbury

Wiem, że pani jest zupełnie inna. Pani coś takiego z pewnością nigdy by się nie przydarzyło. Widzę panią w tej sukience khaki, pamiętam spojrzenie - takie jasne, wyraziste, podobne do pani tekstów - i sędzę, że nie mogłaby pani kochać Harrollda. Odeszłaby pani od niego już po pierwszej nocy.

Czy ma pani kochanka? Czy chodzą po pracy na drinka? Czy to pani zostaje u niego na noc, czy też on przychodzi do pani - wtedy, kiedy pani sobie tego życzy?

Wyobrażam sobie, jak pani to czyta. Pewnie zastanawia się pani, dlaczego dopuściłam do tego, by sprawy zaszły aż tak daleko.

Piszę całą noc i cały dzień. Nauczyłam się pisać mimo tego okropnego światła, hałasu i ogłupiającego rozkładu zajęć. Sypiam fatalnie, nieregularnie, drzemię przy świetle, w hałasie...

A kiedy śnię, śnię o Harroldzie.

Harrold stał w nogach łóżka. Klęczałam na materacu, z kołdrą naciągniętą pod szyję. Sięgnął do wyłącznika i zapalił lampę na stoliku.

Natychmiast oślepiło nas jasne światło, a gdy spojrzałam na Harrolda, zobaczyłam, że mruży powieki. Miał na sobie gruby bordowy sweter, dzinsy i ciepłą wełnianą kurtkę. Nie strzygł się chyba od mego wyjazdu, wyglądał fatalnie z poszarzałą, ściągniętą twarzą. Przetarł zaczerwienione, podkrążone oczy.

- Dlaczego jesteś rozebrana? - zapytał. Milczałam. Nawet się nie poruszyłam.

- Włóż coś na siebie - powiedział. - I zjedź na dół. Chcę się napić kawy. - Mówił martwym, zmęczonym głosem.

Odwrócił się i wyszedł z pokoju. Usłyszałam, jak schodzi ze schodów. To nagłe odejście zaskoczyło mnie równie mocno jak jego przybycie.

Nadal klęczałam na łóżku, z kołdrą naciągniętą pod brodę. Z dołu dolatywało mnie szuranie - to Harrold odsuwał krzesło od stołu. Wyobrażałam sobie, że wychodzę przez okno z sypialni, zsuwam się na dół po rynnie, wczołguję się do pokoju Caroline, wydaję ją z łóżeczka, wsiadam do samochodu i odjeżdżam. Niestety, nie wiedziałam, czy tu są w ogóle jakieś rynny, okno w pokoju dzieciennym domknęłam na noc bardzo starannie, płaszcz wisiał na kuchennych drzwiach, a kluczyki zostawiłam w kuchni.

Popatrzyłam na swoją nagość. Która to mogła być godzina? Wpół do trzeciej? Trzecia?

Ubrałam się, najszybciej jak mogłam, „na cebulkę”. Kolejne warstwy ubrania dawały mi poczucie bezpieczeństwa. Podkoszulek z długim rękawem, bluzka, pulower, rozpinany sweter. Jeszcze dzinsy i buty.

Kiedy zesłam na dół, on siedział przy stole, z głową odrzuconą do tyłu, spoczywającą na wysokim oparciu krzesła. Na odgłos moich kroków natychmiast usiadł prosto i wbił we mnie wzrok.

- Jechałem bez przerwy - powiedział głosem ochryplym z niewyspania. Zabrzmiało to tak nienaturalnie, jakby Harrold usiłował opanować emocje za pomocą automatycznego pilota. - Nie spałem od dwóch dni. Muszę się napić kawy.

Podeszłam do kuchenki.

Zdjęłam maszynkę z palnika, wlałam do niej wodę i nasypałam kawę z pojemnika. Wiedziałam, że Harrold mnie obserwuje, ale starałam się na niego nie patrzeć. Pil - domyśliłam się tego od razu, kiedy zobaczyłam jego oczy. Wymijając go w kuchni, poczułam też zapach alkoholu. Bałam się nawet na niego spojrzeć, a tym bardziej odezwać. Nawet pozornie niewinne słowo czy gest mogły podziałać jak zapalnik.

- Nie zrobię ci krzywdy - powiedział, jakby czytał w moich myślach. - Przyjechałem tylko porozmawiać.

- Porozmawiać?

Umieściłam maszynkę na palniku, odkręciłam gaz. Stałam przed kuchenką, z ramionami skrzyżowanymi na piersiach, patrząc w płomienie. Tuż obok na lewo były drzwi do sypialni Caroline. Wyobrażałam sobie, że widzę, jak moja córeczka przekręca się we śnie, zwijając ceratkę rozłożoną na materacu pod prześcieradłem.

- Jak ona się czuje? - spytał. - Co z gorączką i zapaleniem ucha?

Jak to się stało? - myślałam. Pediatra zadzwonił do Harrolda? Harrold skontaktował się natychmiast ze swoim znajomym szpiclem i wysłał go na północ do lekarza z Machias? Lekarz znał Jacka i dał detektywowi jego adres?

Nie, Jack nic by nie powiedział. Tego byłam pewna. Everett też by mnie nie wydał. Zrobił to ktoś inny. Kto?

- Skąd wiedziałeś? - spytałam.

- Telefonowała twoja matka - odparł trochę nie na temat. - Kiedy rozmawiałaś z nią w święta, zaczęła się czegoś domyślać, oddzwoniła i musiałem jej oczywiście powiedzieć, że cię nie ma, że wyjechałaś.

Przymknęłam oczy. Pomyślałam o matce, o tym, jak musiała się martwić. Zdałam sobie również sprawę z tego, że nie odezwałam się do niej od świąt.

- Ale to dzięki przychodni pediatrycznej natrafiłem na twój ślad. Poprosiłem pielęgniarkę, żeby mnie zawiadomiła, jeśli dasz jakikolwiek znak życia, a ona zatelefonowała od razu w poniedziałek rano. Natychmiast skontaktowałem się z Colinem, pamiętasz Colina, prawda? On przyjechał tutaj i od razu cię znalazł. Nie zajęło mu to nawet całego dnia. Zresztą od razu wiedziałem, że na pewno da sobie radę. Jakiś facet, zdaje się, że Williams czy Willard, jakoś tak, powiedział mu, że w domu na cyplu mieszka ktoś obcy, więc Colin szybko dodał dwa do dwóch. - Nachylił się do mnie. - Słuchaj, nie chcę żadnych awantur. Nie po to przyjechałem. Muszę zabrać ciebie i Caroline do domu, tam gdzie wasze miejsce.

Kawa zaczęła powoli przesączać się przez filtr.

- Twoja matka odetchnęła z ulgą, kiedy do niej zadzwoniłem. Wczoraj jej powiedziałem, że się po ciebie wybieram.

Patrzyłam, jak kawa rozpryskuje się po szklanej kuli dzbanka.

- Caroline nic nie dolega. Gorączka minęła. Potrząsnął głową.

- Nie byłoby w ogóle żadnego problemu, gdybyś nie wpadła na ten idiotyczny pomysł, żeby tutaj przyjechać - syknął, a ja zamarłam. - Pielęgniarka mi powiedziała, że ta choroba zagrażała jej życiu, na miłość boską!

Nawet się nie poruszyłam.

Widocznie zauważył, że mnie przestraszył. Rozłożył ręce.

- Ale nie będziemy o tym rozmawiać - powiedział bardziej ugodowym tonem. - To wszystko już jest za nami. Cały ten nonsens mamy za sobą.

Nie wiedziałam, co rozumie przez „nonsens” - czy mój wyjazd do St. Hilaire, czy też swoje zachowanie w Nowym Jorku.

- Poddam się leczeniu, jeśli chcesz - powiedział, odpowiadając tym samym na moje pytanie. - To się już nigdy nie powtórzy. Dobrze, niech będzie moja wina. Musiałaś wyjechać. Ale to minęło, a Caroline potrzebuje ojca.

Zakręciłam gaz, postawiłam maszynkę na stole, po czym wlałam kawę do dzbanka i podsunęłam go Harroldowi. A wtedy on wziął mnie za rękę.

- Ładnie wyglądasz - szepnął, patrząc mi prosto w oczy. Miałam jeszcze na twarzy ślady siniaków, ale wiedziałam, że będzie się starał ich nie zauważyć.

- Usiądź - powiedział.

Zajęłam miejsce na krześle na wprost Harrolda, a on puścił moją dłoń.

- Ile czasu ci zajmie pakowanie? - spytał. Zauważyłam, że od paru dni się golił. - Najlepiej będzie, jeżeli zaraz się stąd wyniesiemy. Po godzinie

zatrzymamy się w motelu. Muszę się przespać, bo inaczej nie dojadę do domu.

- Co słyhać w redakcji? - zagadnęłam ostrożnie. Przetarł oczy.

- To samo co zwykle - powiedział. - Zamierzam wziąć urlop. W dalszym ciągu wyczuwałam od niego zapach alkoholu.

Upijając łyk kawy, wykrzywił wargi, bo sparzył się w język. Podmuchał, spojrzał mi w oczy.

- Jedziemy. Mam ci pomóc w pakowaniu?

Włożyłam ręce do kieszeni swetra, skrzyżowałam nogi, spojrzałam na swoje kolano. Wokół nas panowała cisza, choć nie była to cisza absolutna. O szyby okien na mansardzie uderzały podmuchy wiatru, do zlewu skapywała woda. Za mną mruzczała lodówka.

- Nigdzie nie jadę - powiedziałam cicho. Odstawił filiżankę.

- Nie jedziesz? Potrząsnęłam głową.

- Nie jadę - powtórzyłam. Siedziałam zupełnie nieruchomo. Zastygłam w oczekiwaniu na reakcję Harrolda, tak jakbym chciała odeprzeć jego krzyk, może nawet cios.

- Jest coś do jedzenia? - spytał.

- Co? - Przez chwilę sądziłam, że się przesłyszałam.

- Zjadłbym coś - powtórzył. - Jestem głodny. Masz coś?

- Tak - odparłam w końcu. - W lodówce.

Wstał od stołu i podszedł do lodówki, otworzył drzwiczki, patrzył przez chwilę na jej zawartość, wyjął talerz. Nadal miał na sobie niebieską kurtkę. Nie wiedziałam, czy to jakiś manewr taktyczny z jego strony, czy też naprawdę jest głodny. Czyżby rzeczywiście się zmienił?

- Co to jest? - zapytał. Próbowałam sobie przypomnieć.

- Chyba makaron z serem - powiedziałam.

- Dobrze. W takim razie zjem.

Odwinął folię z talerza i postawił go na blacie. Poruszał się niespiesznie, flegmatycznie, jakby musiał obmyślać każdy kolejny ruch. Był chyba wykończony. Otworzył szafkę nad zlewem, wyjął mały talerzyk, wyciągnął szufladę w poszukiwaniu sztućców, ale znalazł w niej tylko podstawki pod garnki.

- Gdzie są sztućce? - zapytał.

Wskazałam szufladę, przy której siedziałam. Podszedł i oparł się jedną ręką o blat, a drugą o szufladę. Wstałam.

- Więc nie masz nic przeciwko temu? - spytałam.

- Przeciwko czemu?

- Przeciwko temu, że z tobą nie jadę.

Nadal pochylał się nad otwartą szufladą, szukając widelca. Słyszałam pobrzękiwanie taniego metalu. Myślałam - co myślałam? - że nadszedł czas, żeby wreszcie sobie wszystko wyjaśnić.

W tamtej chwili zupełnie się go nie bałam. Być może z powodu tych pochylonych pleców czy też dlatego, że tak swojsko szukał widelca. Zrobiłam krok naprzód. Wyglądał tak, jakby został ukarany. Przemknęło mi przez myśl, że kiedyś go kochałam. Poczuliśmy dziecko. Caroline należała tak samo do mnie jak do niego.

Mignął mi obraz łóżka w nowojorskim mieszkaniu i stołu w tamtej kuchni.

Wysunęłam dłoń, by dotknąć jego pleców, ale natychmiast ją cofnęłam. Myślałam, że po prostu weźmiemy rozwód jak inni ludzie, on dostanie prawo do odwiedzin i wszystko jakoś się ułoży.

- Chyba możemy się jakoś dogadać - powiedziałam, przekrzywiając głowę.

Zrobił szybki, zaskakujący ruch. Nawet nie zauważyłam, że jego ręka zatacza łuk. Poczułam tylko prąd powietrza, jak ładunek elektryczny, a potem ukłucie w twarz. Wyprostował się w ułamku sekundy i wziął szeroki zamach. W dłoni trzymał jakiś podłużny przedmiot. Widelec. Podniosłam rękę do twarzy, a gdy ją opuściłam, na palcach miałam krew. Zębki widelca skaleczyły mi policzek tuż pod okiem. Mogłam stracić wzrok. Oślepnąć.

Odwrociłam się gwałtownie, ale złapał mnie za włosy i pociągnął tak mocno, że straciłam równowagę i na pewno bym się potknęła, gdyby nie okręcił sobie moich włosów wokół dłoni. Postawił mnie na nogi, przyciskając mi widelec do krtani. Pomyślałam, że to przecież tylko widelec. Cóż on mi może zrobić widelcem?

Oczywiście zdawałam sobie sprawę, że może mnie zabić. Widelcem czy bez widelca.

- Naprawdę myślałaś, że tak ci to ujdzie na sucho? - wysyczał.

- Sądziłaś, że możesz bezkarnie mnie poniżyć? Myślałaś, że ukradniesz mi dziecko i ujdzie ci to na sucho? Rozbieraj się - dodał lekko podniesionym głosem.

- Nie rób tego, Harroldzie. Pomyśl o Caroline.

- Pierdolę Caroline.

Powietrze wokół mnie zafalowało jak żagiel na wietrze i opadło, jakby naraz nastąpiła martwa cisza. Nic, absolutnie nic, co Harrold do tej pory robił czy mówił, nie było tak wyraziste jak te dwa pozornie niezrozumiałe słowa. Do tej pory wydawało mi się, że taka kombinacja po prostu nie istnieje.

Zdałam sobie sprawę z tego, że podczas mojej nieobecności Harrold przekroczył pewną granicę i stał się zupełnie nieuchwytny.

- Rozbieraj się! - ryknął.

Zdejmując powoli ubranie, próbowałam zyskać na czasie. W tej samej szufladzie, z której Harrold wyjął widelec, był również nóż. Czy mogłam się do niego dostać? A jeśli tak, co by mi to dało? Co - na miłość boską - mogłabym osiągnąć za pomocą noża?

Zsunęłam powoli sweter. Harrold obserwował mnie uważnie, niecierpliwie, jakby go irytowała moja powolność. Rozpostarłam sweter na kanapie, właściwie nawet zamierzałam go złożyć.

Uniosłam ramiona, żeby ściągnąć bluzę, ale kiedy już ją miałam na wysokości twarzy, Harrold pochwycił mnie za ramię i popchnął na podłogę.

- Ty pieprzona dziwko! - wrzasnął.

Wolną ręką zerwał ze mnie dzinsy. Nawet nie próbowałam się opierać. Gwałt nie miał dla mnie znaczenia. Bolało, ale już to przeżyłam. Nie odrywając widelca od mojej szyi, Harrold rozdzierał mnie w środku. Już pod sam koniec przycisnął widelec stanowczo zbyt mocno. Przerazona, próbowałam się podnieść i jakoś go odepchnąć, ale dźwignął się na łokciu i uderzył mnie mocno w głowę.

Byłam nieprzytomna zaledwie parę sekund, chociaż kiedy przyszłam do siebie, nadal leżałam nieruchomo, nie otwierając oczu. Udawałam, że zemdlałam. Jeszcze wtedy nie miałam żadnego planu, ale dostrzegałam w tym jakąś szansę, żeby się od niego uwolnić.

Jak długo to trwało? Minutę? Pięć? Dziesięć? Najpierw Harrold przygniatał mnie całym swoim ciężarem, potem przewrócił się na plecy.

Leżałam bezwładnie na podłodze, nie dając znaku życia. Przynajmniej to potrafiłam zrobić przekonująco.

Caroline na szczęście spała, z jej pokoju nie dobiegał żaden dźwięk. Jedyne gdzieś w oddali ujadły psy.

Po jakimś czasie usłyszałam, jak Harrold wstaje z podłogi i wciąga dzinsy. Nawet gdy odszedł na bok, nadal nie otwierałam oczu. Na stole coś zabrzęczało. Potem odniosłam wrażenie, że otwierają się drzwi, a on wychodzi na zewnątrz.

Wciąż leżałam nieruchomo, nasłuchując. Myślałam. Nie włożył płaszcza, co oznaczało, że wróci. Odrzuciłam pomysł, żeby zerwać się z podłogi, pochwycić Caroline i uciec, bo i tak bym na pewno nie zdołała dopaść do drzwi.

Staralam się za wszelką cenę nie zmienić ułożenia ciała na podłodze, chociaż zastygłam w żenującej pozycji, ze spodniami opuszczonymi poniżej kolan. Czulałam się tak, jakby padało na mnie światło reflektora.

Skrzypnęły drzwi. Wrócił. Słyszałam, jak podchodzi do kanapy i siada. Słyszałam, jak w butelce gulgotce alkohol, słyszałam, jak Harrold upija z niej pierwszy łyk.

Czy się martwił, że nadal jestem nieprzytomna? Nie wiem. Nie pochylił się nade mną, nie podciągnął mi dzinsów, nie odezwał się do mnie, nie uderzył w twarz. Po prostu pił, niemalże rytmicznie, robiąc minutowe przerwy między łykami. Wiedziałam, że to whisky. Wyczułam ten zapach, a poza tym on nigdy nie pił ginu prosto z butelki. Została więc whisky.

Jak długo tam leżałam? Dwadzieścia minut? Czterdzieści pięć? Czasem sobie wyobrażałam, że on tylko czeka, aż się poruszę, żeby móc się na mnie rzucić. Ale oczywiście tak mi się tylko wydawało, prawda? Harrold po prostu zalewał się w trupa.

W końcu usłyszałam długo oczekiwany odgłos. Najpierw słaby, cichy, później głośniejszy, wyraźniejszy. Harrold zaczął chrapać.

Poruszyłam nogą, potem ręką, zacisnęłam zęby, żeby dodać sobie odwagi, i przewróciłam się na drugi bok. Chrapanie nie ustawało.

Usiadłam i odważyłam się na niego popatrzeć. Miał otwarte usta, głowę opierał o kozetkę, butelka nadal leżała na jego kolanach, trochę whisky wylało się na spodnie.

Podciągnęłam dzinsy i zapięłam je na suwak. Wstałam. Ile miałam czasu? Minutę? Godzinę?

Pomyślałam, że jeśli zabiorę Caroline, dopadnę do samochodu i odjadę, to on nas znowu znajdzie. A gdybym pobiegła do telefonu i zawiadomiła policję, to przyjechaliby tylko po to, by stwierdzić, że mąż przybył po żonę i dziecko. Nie mogłam im powiedzieć, że mnie zgwałcił, bo mąż przecież nie gwałci żony.

Podeszłam do szuflady ze sztućcami i otworzyłam ją najciszej, jak potrafiłam. Wyjęłam długi kuchenny nóż z czarnym drewnianym uchwytem i zaczęłam ważyć go w dłoni. Chowając rękę za plecy, podeszłam do Harrolda, który nadal leżał na kanapie i chrapał. Wyciągnęłam przed siebie nóż, trzymając go w odległości niecałego metra od piersi Harrolda. Zrób to, zrób to - nakazywałam sobie w duchu, ale nie mogłam ruszyć ręką.

Zamiast tego zaczęłam się zastanawiać, czy nóż przebiłby sweter i koszulkę. A gdyby tak się stało, to czy starczyłoby mi siły, żeby popchnąć ostrze głębiej, w ciało...

Nóż wydał mi się nagle zupełnie absurdalny.

To nie była kwestia siły, tylko odwagi. Nie starczyło mi odwagi, żeby posłużyć się nożem. Może gdyby Harrold się obudził i próbował na mnie rzucić, odparłabym w ten sposób jego atak. Teraz jednak wiedziałam, że nie wolno mi tego zrobić. Opuściłam dłoń, poszłam do kuchni, odłożyłam nóż z powrotem do szuflady.

Przesunęłam ręką po czole. Co robić?

Uniosłam głowę. Już wiedziałam.

W długich butach poruszałam się wolno i niezdarnie po gładkich, okrągłych kamykach, a kilka razy miałam nawet trudności z zachowaniem równowagi. Włożyłam płaszcz, ale na twarzy i rękach czułam mroźne, kłujące, lodowate powietrze. Płaszcz chronił mnie jednak przed zimnem, a żeby jeszcze bardziej się rozgrzać, zaczęłam biec.

Obcasy zapadały mi się w piasek. W nozdrza bił charakterystyczny zapach odpływu, księżyc zakrywały chmury. Poruszałam się na wycucie, niewiele widziałam. Pochyliłam nieco plecy, szłam na lekko ugiętych kolanach, wyciągając przed siebie ręce, na wypadek gdybym nagle wpadła na jakąś szalupę, skałę albo drzewo wyrzucone przez fale na brzeg.

Piasek stawał się coraz bardziej miękki, mulisty, mokry, wsysał z chłupotem moje buty. Domyśliłam się, że zabrnęłam zbyt daleko, i przesłam na prawo, tam gdzie podłoże było już znacznie twardsze. Posuwałam się tak absurdalnie wolno, jakbym pływała w melasie - lepkiej pułapce z dziecięcych snów. Przed oczyma mignął mi obraz dziecka, więc szybko wyciągnęłam but z piaszczystego mułu. Co by się stało, gdyby Caroline zaczęła płakać? Mogłaby obudzić Harrolda, a on zabrałby ją do samochodu i odjechał? Rzuciłam się przed siebie jak szalona.

Skręciłam w prawo, sądząc, że wychodzę na wydmy. Ale wokół było płasko. Stałam przez chwilę nieruchomo, zupełnie zdezorientowana. Zacerpnęłam głęboko powietrza, próbując zebrać myśli. Nie widziałam niczego, nie mignął mi przed oczyma nawet zarys domku rybaka. Chmury zakłajstrowały niemal całą powierzchnię księżyca, ale najmniejsza szczelina z prawej strony całkowicie by mi wystarczyła, żeby odnaleźć drogę w ciemnościach.

Zrobiłam krok naprzód, później następny. Wydawało mi się, że mylnie oceniłam sytuację - podłoże robiło się coraz miększe, a nie twardsze. Natychmiast się cofnęłam i poszłam w przeciwną stronę. Mój kompas wewnętrzny zupełnie stracił orientację - wirował w kółko ze zdumienia. Obralam zdecydowanie zły kierunek. Zawróciłam, starając się odnaleźć właściwą drogę. Na tę jedną sekundę księżyc wyjrzał zza chmur, co mi

całkowicie wystarczyło, żeby dostrzec koniec cypla, szalupę i łódkę. Pewnie ruszyłam przed siebie.

Grunt osunął mi się spod stóp, noga uwięzła aż po kolano. Upadłam, jakby ktoś mnie podciął. Wyciągnięte bezradnie ramiona utknęły w zbiorniku z klejem.

Bo tak to odczuwałam - jak duży zbiornik z klejem. Taka była konsystencja tej substancji, w której u więzłam.

Kadź z miodem. Ruchome piaski - przemknęło mi przez myśl. Willis. Caroline. Nie, to niemożliwe. To nie mogło mi się przydarzyć. Caroline. Chryste Panie, Caroline.

Leż spokojnie - nakazałam sobie w duchu. Czyżbym wyczytała taką wskazówkę w książce przygodowej dla dzieci? Nic się jednak nie wydarzyło. Nie utonęłam. Zdałam sobie sprawę, że nie wolno mi wykonywać gwałtownych ruchów. Wyczułam twardą powierzchnię pod ramieniem i wolnym kolanem, więc najwolniej, jak potrafiłam, usiłowałam się przetoczyć na bezpieczny grunt. We włosach, uchu, za kołnierzem - wszędzie miałam błoto. Tuż nieopodal fale uderzały o piasek. Jakiś krab lub inne niewielkie żyjątko otarło mi się o policzek. Jęknęłam przerażona i strąsnęłam je z twarzy, po czym zaczęłam się ostrożnie wydobywać na powierzchnię. Oswobodziłam najpierw jedną rękę, później drugą. Uwolnienie nogi okazało się znacznie trudniejsze. Kolano miałam ugięte, oklejone mułem. Gdybym zaczęła wołać o pomoc, jedyną osobą, która mogłaby mnie usłyszeć, był Harrold.

Dostałam dreszczy. Gąbczasty grunt był zimny i mokry od słonej wody, przesiąkającej powoli przez mój płaszcz i sweter. Myślałam, że jeśli jeszcze tak chwilę poleżę, umrę z zimna, co zupełnie nie wchodziło w grę, bo przecież nie mogłam zostawić dziecka.

Zacisnęłam zęby i stęknęłam z wysiłku. - Kurwa mać - powiedziałam na cały głos, nie dbając zupełnie o to, czy Harrold mnie słyszy czy nie. Oswobodziłam nogę.

Przeturlałam się na bok, jak najdalej od ruchomych piasków.

Plakałam, mieszając łzy z błotem pokrywającym mi twarz.

Chmury odsłoniły księżyc. Wreszcie zaczęłam coś widzieć. Wstałam, zrobiłam pierwszy niezdamny krok naprzód, a potem puściłam się pędem w stronę łódki.

W porównaniu z tym, co przeżyłam na plaży, cała reszta nie sprawiła mi najmniejszych trudności. Zepchnąwszy łódeczkę na morze, wskoczyłam do środka. Położyłam się na rufie głową naprzód i wiosłowałam rękami w lodowato zimnej wodzie.

Przycumowałam, wdrapałam się na pokład kutra, wpadłam do kajuty i otworzyłam schowek. Dopiero teraz pomyślałam, że te drzwi mogły być zamknięte, i zamarłam z przerażenia. Mogło się okazać, że wyszłam obronną ręką z tak straszliwej opresji jedynie po to, żeby przepłynąć się łódką.

Na szczęście schowek był otwarty, co utwierdziło mnie tylko w przekonaniu, że postępuję słusznie.

Namacalam na ślepo szafkę i zaczęłam szukać tego małego przedmiotu, po który tam przyszłam.

Kiedy wróciłam do domu, zastałam Harrolda w tej samej pozycji, w której go zostawiłam. Powinnam była po prostu do niego podejść i strzelić.

Zamiast tego usiadłam przy kuchennym stole, z pistoletem w dłoni. Ręce drżały mi tak mocno, że mogłam się zranić. Położyłam pistolet na stole. Nie potrafiłam się uspokoić. Poczulałam nagły przyływ mdłości, wstałam i zwymiotowałam do zlewu, starając się przytłumić odgłos torsji. Twarz, płaszcz i włosy miałam czarne od mułu. Wyglądałam zupełnie tak, jakbym włożyła maskę. Pachniałam błotnistą wodą.

Wróciłam na swoje miejsce. Bardzo się dziwiłam, że Harrolda nie obudziły moje torsje. Znow zrobiło mi się niedobrze, ale jakoś powstrzymałam wymioty. Czekałam, aż ustana dreszcze, myśląc, że dopóki istnieje Harrold, nie mam po co żyć.

Zważyłam broń w dłoni. Jej ciężar i chłód metalu powstrzymały drżenie. Wstałam, podeszłam do kanapy, na której leżał Harrold. W uszach mi dzwoniło, uniosłam ramię i wycelowałam. Zastanawiałam się tylko, czy lepiej trafić w głowę, czy w serce.

Za sobą usłyszałam ochryply okrzyk i jęk. Może w odwrotnej kolejności. Kiedy się odwróciłam, zobaczyłam Jacka w żółtej kurtce i długich butach. Przyszedł o zwykłej porze. Nasz ostatni wspólny poranek. Stałam jak wryta z pistoletem w dłoni. Jack popatrzył na mnie, na Harrolda, potem znowu na mnie. Chyba myślał, że jestem jakimś potworem morskim, błotnistym stworzeniem z głębin, trzymającym dziwny, tajemniczy przedmiot.

Ale zaraz wszystko zrozumiał.

- Co się tu...? - zaczął. Harrold poruszył się na kozetce.

Jeśli on nadal będzie istniał, nie mam po co żyć - myślałam.

Celowałam prosto w serce. Ręka Jacka znajdowała się już w odległości paru centymetrów od mego ramienia. Wypaliłam. Harrold zeskoczył z kozetki, chwytając się za ramię.

Jack krzyknął i odwrócił się do Harrolda.

Ten otworzył oczy, popatrzył wokół, zrozumiał, nie zrozumiał.

- Maureen! - wykrzyknął.

Potrząsnęłam głową.

- Nie jestem Maureen - powiedziałam.

I znów wystrzełam.

Albo w odwrotnej kolejności.

Opuściłam głowę.

Stałam jak sparaliżowana. Nogi wrosły mi w ziemię.

Usłyszałam nagle jakiś dziwny dźwięk, z minuty na minutę przybierający na sile. Zerknęłam na drzwi sypialni Caroline, ale ten odgłos nie dochodził stamtąd. Harold upadł na kolana. Wiedziałam, że nie żyje.

Popatrzyłam na Jacka w nadziei, że on mi coś wyjaśni, ale chyba nie potrafił. Patrzył tylko na mnie, powtarzał moje imię. Ten tajemniczy dźwięk nie dobywał się jednak z jego gardła. Jack miał na sobie żółty sztormiak, zmarszczki wokół ust. Wyciągał do mnie ręce tak, jakby trzymał w nich jakiś przedmiot, który chciał mi pokazać.

Dźwięk przeszedł w lament.

Wyjrzałam przez okno - na wodzie podskakiwał zielono-biały kuter. Nad horyzontem wstawał świt.

Wtedy pomyślałam o tej kobiecie w szpitalu, za ścianą, na porodówce.

Dźwięk przeszedł w wycie.

Myślę, że właśnie wtedy Caroline zaczęła płakać.

ROZDZIAŁ 21

Everett Shedd

15 stycznia - lato 1971

Jak tam przyjechałem, to aż żalność brała. Dałby Bóg, żebym już niczego podobnego nie zobaczył. To szczerza prawda.

Mary siedziała na podłodze, trzymała go w ramionach. Jack spacerował z dzieckiem po salonie. I wszędzie ta krew - znaczy, na kanapie, na podłodze, na ścianie za kanapą, na całym cieple Mary.

Mary... nie dalibyście wiary. Siedziała tak w płaszczu i butach, a od stóp do głowy była pokryta błotem - przecież właśnie zaczął się odpływ. Wszystko zmieszało się z krwią.

Nie otworzyła oczu. Trzymała tego mężczyznę - teraz już wiem, że to był jej mąż, Harrold English, ale wtedy nie miałem pojęcia, nie od razu się domyśliłem. Tak siedziała, wydając jakieś dziwne, straszne dźwięki, i kołysała się to w przód, to w tył. W tym pokoju panował smutek, nie groza - coś bardzo tragicznego.

Poszedłem do samochodu i zatelefonowałem do Machias, żeby przysłali wóz i karetkę, chociaż od razu poznałem, że ten mężczyzna nie żyje. I zaraz potem wróciłem do środka.

Jack był biały jak mleko, słowo daję. Ale tulił dziecko i starał się je uspokoić. No i bez przerwy się gapił na Mary, więc go zaraz zapytałem, co się właściwie stało.

On chyba tylko na to czekał. Odchrząknął i stanął pod zlewem, on ma taki głęboki głos - znaczy, trochę ochrypły. Powiedział, że przyszedł za kwadrans piąta. Nie mówił, po co i dlaczego. Zrobiłem taką minę, jakbym myślał, że po prostu szedł na kuter. A on wiedział, że ja się czegoś domyślam. Tak czy siak, zobaczył samochód i zapalone światła, a potem mu się wydawało, że ten obcy wstaje z kanapy i zaczyna bić Mary. Poszedł więc na wzgórze, żeby zobaczyć, co się dzieje, ale zanim dotarł pod sam dom, facet tymczasem zdążył już przygwoździć Mary do stołu i zaczął ją okładać pięściami. Podobno wyglądał tak, jakby chciał ją zabić. Jack szybko otworzył drzwi i wtedy padł strzał.

- Strzał? - spytałem.

- Tak, tylko ten jeden - odparł i chyba od razu tego pożałował, bo przecież było widać gołym okiem, że strzelano dwa razy.

- Czyja to była broń? - spytałem.

Na chwilę się zacukał, ale potem od razu powiedział, że jego. Dał Mary pistolet jakiś tydzień wcześniej, dla ochrony. Którejś nocy zaczęło się jej wydawać, że słyszy włamywacza.

- Jack, nie - powiedziała Mary z podłogi.

A on popatrzył tylko na nią, potem na mnie i usiadł przy stole. Jak już mówiłem, Mary wyglądała okropnie z tym błotem na twarzy. Zupełnie nie rozumiałem, co jej się stało, ale wtedy zaczęła mówić.

Potem już nigdy nie zmieniła tej wersji.

Jej mąż przyjechał około drugiej albo trzeciej nad ranem. Pił. Zgwałcił ją, bijąc przy tym dotkliwie, a potem jednym silnym ciosem pozbawił przytomności. Jeszcze przed gwałtem zaatakował ją widelcem.

- Widelcem? - spytałem.

- Tak, widelcem - potwierdziła.

Potem, jak już ją zgwałcił, zasnął albo stracił przytomność, a ona popłynęła szalupą na kuter Jacka, znalazła tam pistolet i zastrzeliła swego męża, kiedy spał. Trafiała raz w ramię, raz w pierś. A Jack zjawił się w drzwiach na odgłos strzałów, ale jej mąż już wtedy nie żył.

- To nieprawda... - zaczął Jack, ale Mary mu przerwała, potwierdziła swoje wcześniejsze zeznanie, a potem do niego podeszła. Stali tak przez chwilę i tylko na siebie patrzyli, a mnie było głupio, że jestem świadkiem tej przejmującej sceny. W końcu Mary pocałowała Jacka w usta, wzięła od niego dziecko i znowu usiadła przy stole.

I pomyślałem sobie jeszcze, że jeśli ona powtórzy tę samą historyjkę policji w Machias, to już nigdy nie spotka się z Jackiem.

Problem polegał na tym, że Mary stała się swoim najgorszym wrogiem. Nie dlatego, że była dumna czy zadowolona z tego, co zrobiła. Wcale nie. Dla niej była to jednak najważniejsza rzecz w życiu i dlatego nie zamierzała kłamać.

I tak tam czekaliśmy we trójkę, a właściwie w piątkę, aż weszło słońce.

- Dlaczego? - spytałem Mary. Pomyślała przez chwilę.

- Bo musiałam - powiedziała. I to było wszystko.

Zamierzali ją odwieźć do aresztu, ale nie mogli jej tam trzymać, bo to miejsce nie nadaje się dla kobiet nawet na krótki pobyt. Porozumieli się więc z władzami stanowymi i Mary jest teraz w Zakładzie Karnym Stanu Maine w Windham Południowym.

Od tamtego poranka zastanawiam się nad tym bez przerwy i teraz myślę, że Jack był z nią w domu, kiedy strzeliła do Harrollda, ale oczywiście nie mógł się do tego przyznać. I to wcale nie dlatego, żeby się nie wrobić w tę całą aferę. Nie, nie. To nie w stylu naszego Jacka. Zorientował się od

początku, że jedyną nadzieją Mary jest zabójstwo w obronie własnej, a przecież taka możliwość natychmiast przestałaby istnieć, gdyby udowodniono w trakcie procesu, że Strout przybył tam wcześniej, zanim padł strzał. Nie wiem dokładnie, jak to było - może chciał jej zabrać broń. A Mary twierdziła, że go tam nie było, bo nie chciała go w to wplątać. Zupełnie jak w tym starym świetnym opowiadaniu „Mira, kadzidło i złoto”. Czytała to pani? Napisane przez O.Henry'ego. Lubię takie historie. No więc może nie wszystko pasuje, ale atmosfera była podobna. Przysięgli mieli z tym ciężki orzech do zgryzienia. Adwokat, znaczy Sam Cotton, chłopak z Beals Island rozumował w następujący sposób: Mary zastrzeliła męża, kiedy spał, choć sama twierdzi, że obudził się w chwili, gdy w niego wycelowwała. Tak czy siak, zabiła go w obronie własnej, ponieważ była przekonana, że w końcu, a nawet jeszcze tego samego dnia, to on pozbawi ją życia.

To „w końcu” było sprytnie, prawda.

Prokurator Pickering dowodził, że Mary mogła przecież zawiadomić policję czy mnie i doprowadzić do aresztowania Harrolda za pobicie. Nie poszła jednak do LeBlanców, żeby zadzwonić, ale zamiast tego przedostała się szalupą do łodzi Jacka, gdzie znalazła pistolet, po czym wróciła i zastrzeliła swego męża z zimną krwią.

Mary mówiła bez przerwy o gwałcie i ciosie, który pozbawił ją przytomności, ale tu w Maine nie można zarzucić mężowi gwałtu popełnionego na żonie, więc ten sprytny prokurator krótko się z tym rozprawił. Podobnie zresztą jak i z uderzeniem. Pozostał jedynie widelec.

Ten nieszczęsny widelec. No bo co można komu zrobić widelcem? Pickering nie zostawił na nim suchej nitki. Nawet rozbawił przysięgłych, o ile dobrze pamiętam.

Więc jak pani widzi, Mary zupełnie sobie nie pomogła. I nawet nie wystarczyły zeznania Muriel, moje i Julii o tym, że kiedy jechała do St. Hilaire, była strasznie pobita. W dodatku WiUis Beale powiedział, że Mary miała podobno wypadek samochodowy. A Julia musiała potwierdzić, że jej opowiedziała tę samą bajeczkę. W dodatku Sam nie zdołał sprowadzić ani jednego świadka z Nowego Jorku, który by podejrzewał, że między Harroldem a Maureen dochodziło do rękoczynów. Znaczący, nikt nigdy nie widział, żeby ona była pobita.

No i tak. Przysięgli nie doszli do jednomyślności, a potem sędzia ich zwolnił. Wtedy Sam Cotton postawił wniosek o oddalenie zarzutów, ale prokurator zgłosił sprzeciw i wyznaczono nową datę procesu.

Jakieś dziesięć dni temu Sam się dowiedział, kto będzie sędzią, a ma nim zostać Joe Geary - znany ze słabości do kobiet. Daje im lekkie wyroki, nie?

Więc Sam postanowił, że Mary zrezygnuje z prawa do procesu przed ławą przysięgłych - widać uważał, że lepiej wylądować z tym Gearym. Już we wrześnie zaczyna się następny proces. Tak jest w papierach.

Wszystko zależy od Geary'ego.

Muł? Pochodził z kadzi z miodem. To są takie zdradzieckie łaty na plaży. Znaczą, coś w rodzaju ruchomych piasków. Mogą wciągnąć człowieka do środka i nieźle wystraszyć. Mówię pani. Tak jak ta, w którą wpadła Mary Amesbury, idąc do łódki.

Caroline? Julia Strout dostała pozwolenie na opiekę. Nadal się nią zajmuje.

RS

ROZDZIAŁ 22**Willis Beale**

Od razu mogę wam powiedzieć, co się wtedy stało. Ten facet, Harrold English, zachował się tak jak każdy normalny chłop - przyjechał po swoją żonę i dzieciaka. Zaskoczył Mary i Jacka, bo nakrył ich w łóżku in flagrato delecti, jeżeli rozumie pani, o co mi chodzi. Doszło między nimi do awantury, Jack miał pukawkę i któreś z nich zastrzeliło tego starego rogakza. Koniec, kropka, no nie?

I tu ma pani swój motyw, jeżeli go pani w ogóle szuka.

Mary kryje Jacka. Nawet Everett tak uważa. Wprawdzie mi tego nie powiedział, ale ludzie gadają swoje.

Pod koniec oni zresztą z niczym się nie kryli. Niech pani zapyta LeBlanca. Od razu pani powie, że Jack był u niego rano, jak zachorowało dziecko. Bo to on zawiadomił lekarza. A ja sam widziałem, że Jack się tam kręcił przez cały dzień, jakby byli starymi przyjaciółmi. Widziałem go z domku rybaka. Nie całował jej publicznie, ale i tak wszystko było jasne jak słońce.

Może uknuli plan. Kto wie? Co właściwie chcieli zrobić po tym, jak Jack zholuje kuter? Kiedy on zamierzał ją widywać? Myślała pani o tym?

Nie wiem, jak ją namierzyli. Przypominam sobie tego facia z Nowego Jorku, to on wypytywał rybaków ze spółdzielni. Może i mu powiedziałem, że do miasta przyjechała jakaś nieznajoma kobieta z dzieckiem, ale nigdy bym mu nie zdradził, gdzie ona mieszka ani nic takiego. No bo jak ona nie chciała, żeby ją znaleźli, to był już jej problem.

Ciekawi mnie ten werdykt. Pewnie wszystko ujdzie jej na sucho, bo Geary ma słabość do kobiet.

ROZDZIAŁ 23

Julia Strout

Tak, zeznawałam na procesie. Opisałam, w jakim stanie była Mary Amesbury, kiedy pojawiła się w St. Hilaire. Musiałam powiedzieć, co ona sama mówiła na temat swoich siniaków. Oczywiście zanim adwokat zdążył mi przerwać, dodałam, że ani na chwilę nie uwierzyłam w ten wypadek samochodowy.

Ja na pewno niczego podobnego bym nie zrobiła. Nie zastrzeliłabym nikogo z zimną krwią, ale człowieka można przecież doprowadzić do ostateczności. Mary powinna była się zwrócić o pomoc do Jacka lub Everetta. Miała pewnie jeszcze kilka innych możliwości. Z drugiej strony mogła znajdować się w stanie silnych emocji przez cały ten czas - od chwili ucieczki, poprzez dopłynięcie do kutra i odnalezienie pistoletu, aż do oddania strzału do swego prześladowcy, który z całą pewnością zamierzał ponownie ją skrzywdzić. Albo nawet zabić. Taki stan absolutnej desperacji może się ciągnąć tygodniami, nawet miesiącami.

Nie wiem, jak potoczą się jej losy we wrześniu. Słyszałam, że nie jest bez szans na uniewinnienie. Życzę jej tego z całego serca.

Kiedy jednak pomyślę o tej strasznej historii na cyplu, ogarnia mnie ogromny niepokój o Mary, Jacka, a przede wszystkim o Emily i tę dziewczynę, którą się teraz opiekuję. Najbardziej współczuję właśnie tym dziewczynkom. Słyszysz pani? Caroline płacze. Zawsze tak nagle daje o sobie znać. Po tylu latach samotności ten dźwięk wydaje mi się dziwny. Ale bardzo miły dla ucha. Nie miałam dzieci i zawsze było mi z tego powodu bardzo przykro.

Będę się nią opiekowała, dopóki Mary nie wyjdzie na wolność.

Chciałaby pani ją zobaczyć? Jest bardzo podobna do ojca.

ROZDZIAŁ 24

Helen Scofield

Artykuł

Zabójstwo na cyplu

Sam Cotton pograżył się w zadumie. Było mu strasznie gorąco w najlepszym granatowym garniturze i błyszczących butach, które z pewnością bardzo się niszczyły na piasku. Tego wrześnieowego popołudnia na cyplu panował niespotykany upał, a mieszkańcy St. Hilaire w stanie Maine, osady położonej sto kilometrów od Bar Harbor, twierdzili, że temperatura jeszcze się podniesie.

Cotton włożył palec za kołnierzyk, po czym otarł łysinę chusteczką. Kiedy wreszcie zakończył oględziny biało-zielonego kutra, zawrócił i przeszedł na drugą stronę niewielkiego półwyspu wciętego głęboko w ocean. Tam stał przez chwilę przy swoim aucie zaparkowanym obok skromnego białego domu nad morzem. Pomachał wprawdzie do rybaka spuszczonego szalupę na wodę, ale poza tym do nikogo się nie odzywał, z nikim nie rozmawiał. Cały ten spacer - z przypatrywaniem się łódce i domowi włącznie - zabrał mu nie więcej niż dwadzieścia minut.

Pięćdziesięcioośmioletni obrońca Sam Cotton już od ćwierćwiecza zajmuje się prawem karnym. Nigdy jednak nie podjął się sprawy, która okazałaby się równie skomplikowana jak ta ostatnia, tocząca się właśnie przed sądem w Machias. A już na pewno żaden z procesów, w których brał udział, nie cieszył się takim zainteresowaniem. W St. Hilaire mówi się o tym „ta straszna historia” albo „zabójstwo na cyplu”. Sam Cotton musi dowieść niewinności swojej dwudziestosześcioletniej klientki oskarżonej o zamordowanie męża. Tragedia wydarzyła się w styczniu, właśnie w tym domu na cyplu, o którym pan mecenas tak często rozmyśla. A czasu nie zostało zbyt wiele. W przyszłym tygodniu sędzia Joseph Geary ma wydać werdykt w sprawie kobiety znanej jako Maureen English lub Mary Amesbury.

Według Cottona sprawa przedstawia się następująco:

3 grudnia ubiegłego roku, po dwóch latach prześladowań ze strony chorego psychicznie, uzależnionego od alkoholu męża, który wielokrotnie gwałcił ją i bił, nawet wówczas, gdy była w ciąży, Maureen English uciekła wraz z półroczną córką Caroline ze swego mieszkania w Nowym Jorku. Następnie przejechała siedemset pięćdziesiąt kilometrów, aby wreszcie odnaleźć schronienie w małej osadzie rybackiej St. Hilaire. Tam pod przybranym nazwiskiem Mary Amesbury wynajęła dom na cyplu i

rozpoczęła nowe życie, koncentrując się głównie na opiece nad dzieckiem i własnej rekonwalescencji.

Wczesnym rankiem 15 stycznia, po sześciu tygodniach życia w ukryciu, Mary Amesbury doznała szoku na widok męża stojącego nad jej łóżkiem. Harrold English, lat trzydzieści jeden, znany dziennikarz poczytnego pisma, przyjechał do Maine, żeby rozprawić się z żoną. Miejsce jej pobytu ustalił w wyniku rozmowy z miejscowym lekarzem, udzielającym Mary porad pediatrycznych.

Tego ranka English zaatakował żonę ostrym narzędziem, zgwałcił ją i uderzył bardzo mocno w głowę, w wyniku czego Mary Amesbury straciła przytomność.

Przekonana, że jej życie jest poważnie zagrożone, Mary Amesbury zaczekała, aż jej mąż upije się do nieprzytomności, i natychmiast uciekła na plażę. Następnie przedostała się na kuter do połowu homarów, gdzie zgodnie ze swoimi przewidywaniami znalazła broń. Wróciwszy do domu - w obawie, że mąż po odzyskaniu przytomności może ją zabić - strzeliła do niego dwukrotnie, trafiając go w ramię i klatkę piersiową.

Cotton twierdzi, że jego klientka działała w obronie własnej. - Musiałam to zrobić - zeznała Mary. - Nie miałam innego wyboru.

W czerwcu tego roku przysięgłym nie udało się osiągnąć jednomyślności. Siedmioro sędziów optowało za uniewinnieniem, pięcioro uznało Mary za winną morderstwa. Cotton wniósł natychmiast o oddalenie zarzutów, ale Pickering, prokurator, zażądał nowego procesu we wrześniu. W pierwszych dniach lipca Cotton zrezygnował z prawa do rozprawy przed ławą przysięgłych. Chociaż nie podał powodów swojej decyzji, można się ich łatwo domyślać. Sędzia Geary, na którym spoczywa teraz wydanie wyroku, jest bowiem znany wszem i wobec ze swojej pobłażliwości dla kobiet.

Podczas dwóch rozpraw Cotton doszukiwał się podobieństwa między Maureen English a Hester Prynne - bohaterką powieści Nathaniela Hawthorne'a „Szkarłatna litera”. Obie one - jak twierdził - skrzywdzone przez los, niepoprawne romantyczki, żyły na wygnaniu w domku nad morzem i walczyły jak lwice o szczęście swoich córek. Fatalna miłość wyrwała na ich życiu tragiczne piętno, skazując swe ofiary na samotność i odosobnienie.

Kiedy jednak Mary Amesbury zaczyna opowiadać swoją historię, nie możemy się oprzeć wrażeniu, że jest ona kimś więcej aniżeli tylko „kobietą skrzywdzoną przez los”. A jej zeznania raczej budzą, niż wyjaśniają wątpliwości.

Aby utrudnić mężowi pościg, Maureen English przybyła do St. Hilaire pod nazwiskiem Mary Amesbury. Podczas obu rozpraw odmawiała odpowiedzi na jakiegokolwiek pytania, gdy zwracano się do niej używając poprzedniego nazwiska. Prokurator wybrał w końcu salomonowe rozwiązanie, dodając do „English” jej pseudonim. Cotton natomiast starał się w ogóle unikać tych nazwisk.

W ciągu siedmiu tygodni tego lata przeprowadziłam z nią cykl wywiadów, gdy pani English oczekiwała na drugą rozprawę. Mimo napięcia okazała się niezwykle rozmowna. Bywała również smutna, czasem zła, ale zawsze chętna do zwierzeń. Kilkakrotnie zaprzeczała nawet swoim poprzednim zeznaniom. Jeden z tych wywiadów udało mi się przeprowadzić osobiście, inne wyjaśnienia uzyskałam drogą korespondencyjną.

Więzienie w Machias nie mogło zapewnić odpowiednich warunków skazanym na wieloletni pobyt, toteż pani English, została przewieziona do Zakładu Karnego w Windham Południowym. Kiedy zobaczyłam ją po raz pierwszy w rozmównicy, odniosłam wrażenie, że wygląda na więcej niż dwadzieścia sześć lat. Miała bladą cerę, zmarszczki pod oczami i na czole. Charakterystyczne rude włosy obcięła krótko, a nad jej lewym okiem dostrzegłam ślady siwizny. W szarym więziennym uniformie wydawała się kanciasta, wychudzona i spięta. Mówiąc, owijała nerwowo wokół palców kosmyki włosów. Ci, którzy znali Maureen English z dawnych czasów, nie mogli jej rozpoznać.

Przed rozmową w więzieniu widziałam panią English przelotnie na przyjęciu w redakcji naszego pisma na Manhattanie. Choć kiedyś u nas pracowała, odeszła, zanim ja zdążyłam się zatrudnić. Na przyjęciu była ubrana w czarną aksamitną suknię i wyglądała naprawdę z cudownie z maleńkim dzieckiem na ręku. Chwaliła się swoją córeczką Caroline wszystkim kolegom. Odniosłam wrażenie, że to szczęśliwa, zamożna mężatka, zadowolona z urlopu macierzyńskiego. Harrold - mąż Maureen - niemalże przez cały czas otaczał ją czule ramieniem. Nawet by mi do głowy nie przyszło, że w zaciszu domowego ogniska mógłby ją uderzyć.

Pani English opowiedziała mi bardzo dużo o swoim dzieciństwie i młodości. Była nieślubnym dzieckiem żołnierza i sekretarki. Matka musiała pracować na ich utrzymanie, toteż Maureen większość czasu spędzała pod opieką sąsiadki. Mieszkała w małym domku na przedmieściu zwanym Nowymi Atenami, dwadzieścia mil na południe od Chicago. Pani English - bardzo blisko związana z matką - zawsze szanowała wyznawane przez nią wartości. „Matka często mi powtarzała, że nieszczęścia chodzą po ludziach i trzeba je akceptować - pisała mi w jednym z listów - ale zdawałam sobie

również sprawę i z tego, że ani matka, ani ja nie zaznamy szczęścia, o ile nie uda mi się zrealizować swoich planów. Czyli dopóki nie zakosztuję życia, jakiego ona nie знаła - życia z mężem, w stabilnej, szczęśliwej rodzinie".

Maureen English rozpoczęła studia na uniwersytecie w 1962 roku. Studiowała tam literaturę i została redaktorem piśmie uniwersyteckiego. Smukła rudowłosa piękność o jasnej karnacji z łatwością utorowała sobie drogę do Nowego Jorku. W czerwcu 1967 roku została zatrudniona jako reporterka w naszym piśmie. Harrolda Englisha poznała pierwszego dnia pracy.

Koledzy zapamiętali Maureen English jako pilną pracownicę, szybko uczącą się zawodu. Chociaż cieszyła się sympatią kolegów, z nikim - pomijając romans z Harroldem - nie zawarła jednak bliższej znajomości. W prawie rekordowym tempie otrzymała awans do działu krajowego.

- Pracowała jak błyskawica - wspomina redaktor naczelny.

- Czasem potrafiła się uporać z artykułem w jeden dzień. Choć Maureen i Harrold pochodzili z tak różnych środowisk, od razu przypadli sobie do gustu. Harrold przyszedł na świat w rodzinie milionerów z Rhode Island i kształcił się w Yale. Wysoki, dobrze zbudowany, ciemnooki mężczyzna dzięki znakomitej aparycji i sukcesom dziennikarskim stał się obiektem westchnień wielu koleżanek po fachu. Pracował najpierw w Bostonie, potem przeniósł się do Nowego Jorku. Wyróżnił się zarówno na polu reportaży krajowych, jak i zagranicznych, a 1966 roku otrzymał nagrodę za cykl artykułów na temat zamieszek na tle rasowym w Watts.

- Napisał dla nas parę świetnych kawałków - twierdzi Jeffrey Kapłan, szef Harrolda. - Okazał się doskonały, bardzo napaśliwy i skuteczny. Nie spoczął, dopóki nie zdobył materiałów. Podobał mi się jego styl pisania. Czysty, prosty, nie przesadnie osobisty. Uważam, że Harrold odznaczał się wybitną inteligencją.

Harrold i Maureen od razu zaczęli się spotykać i uważano ich za idealną parę. Oboje zdolni, obiecujący, bardzo w sobie zakochani. Według Maureen Harrold dawał jej prezenty, uczył pisania, pomagał w karierze.

„Kochałam go - napisała. - Kochałam go nawet tego dnia, gdy od niego odeszłam".

Młodzi zamieszkali razem w apartamencie Harrolda w Upper West Side.

- Aż trudno mi uwierzyć, że dochodziło między nimi do takich konfliktów - twierdzi Kapłan. - Słyszysz się od czasu do czasu o tego rodzaju historiach, ale zazwyczaj chodzi o biedną kobietę z szóstką dzieciaków, żonę alkoholika. Podobne sprawy nie dotyczą ludzi pokroju Maureen czy Harrolda.

Niemniej jednak to właśnie alkohol i bicie stały się - według Maureen - nieodłączną częścią ich małżeństwa. Z przemocą ze strony Harrolda zetknęła się po raz pierwszy jeszcze przed ślubem, kiedy to nie wyraziła ochoty na zbliżenie, czym doprowadziła go do wściekłości. Twierdziła, że mąż dużo pił. Wszystko zaczęło się odbywać według określonego schematu. Nadmierne picie powodowało u Harrolda huśtawki nastrojów. Pewnej nocy - jak twierdzi Maureen - mąż dotkliwie ją pobił i zgwałcił.

Od tamtego czasu wielokrotnie odbywał z nią stosunki seksualne wbrew jej woli i maltretował ją fizycznie. Ciosy zadawał jednak umiejętnie, w takie miejsca, żeby nie było widać siniaków.

- Pewnie myślał, że skoro nie ma śladów, to nic się nie stało - stwierdziła pani English.

Powiedziała mi również, że mąż gwałcił ją i bił nawet wtedy, gdy zaszła w ciążę.

- Nie wiem, co go tak denerwowało w moim stanie - wyznała.

- Chyba to, że tracił nade mną kontrolę.

Niemniej jednak przyznaje, że czasem z nim współdziałała. Dodaje, że sadomasochistyczne gry miłosne, które uprawiała ze swoim mężem, przybierały czasem gwałtowny charakter.

- Brałam w tym udział - mówi, nawiązując do „jedwabnych kajdanek”, jakie włożył jej Harrold już na pierwszej randce.

Czasem, po wyjątkowo brutalnym akcie, który później nazywała gwałtem, pani English zaczynała się zastanawiać, czy rzeczywiście wydarzenia minionej nocy różniły się w tak istotny sposób od tego, co działo się wcześniej, na początku ich znajomości.

Przy innych okazjach nadmienia, że postrzega siebie jedynie jako „biernego aktora” w tym wstrząsającym, brutalnym dramacie, którym stało się jej małżeństwo.

Na podstawie wywiadów można wysnuć wniosek, że pani English jest osobą obdarzoną niewątpliwie bujnym temperamentem. Pod maską chłodu, opanowania i skrupulatności, wkładaną na użytek kolegów z pracy, kryje się kobieta, która określa samą siebie jako „wygłodniałą”, „płonącą” i „zatraconą” w kontekście swego związku z mężem. Pani English opisała mi ze szczegółami noc miłosną, podczas której uprawiała seks ze swoim mężem w sposób absolutnie niekonwencjonalny, nie dając mi w żaden sposób do zrozumienia, że uważa ten epizod za niesmaczny. Przeciwnie - z jej sugestii wynikało wyraźnie, że sprawiło jej to przyjemność. Być może zatem jej nieposkromiony temperament nie pozostawał bez wpływu na nietypowy związek łączący tę parę.

Właśnie ten dwuznaczny charakter przemocy w ich małżeństwie decyduje zarówno o prawnej, jak i moralnej ocenie zabójstwa dokonanego przez Maureen English.

Jeden ze świadków zeznających w procesie - Willis Beale, dwudziestosiedmioletni poławiacz homarów, mimo młodego wieku doświadczony wilk morski, rzuca nowe światło na problem przemocy w małżeństwie.

- Nie mówię, że ona kłamała ani nic z tych rzeczy, ale o tym biciu wiemy tylko od niej, nie? - mówi Beale, któremu wyraźnie zależało na nawiązaniu przyjaznych kontaktów z panią English podczas jej pobytu w St. Hilaire. Bywając codziennie w „domku rybaka”, gdzie naprawia! sieci, przy okazji zaglądał do Maureen, żeby sprawdzić, czy u niej wszystko w porządku. - Każda para czasem się trochę poszturcha - stwierdza sentencjonalnie. - Nic poważnego, ale zawsze. Do tanga trzeba dwojga. Mówię po prostu, że nigdy się nie dowiemy całej prawdy.

Niejednoznaczna ocena stosunków małżeńskich Maureen i Harrola prowadzi do trudnych pytań o charakterze etycznym, a także rzuca cień wątpliwości na prawdziwy charakter dokonanego przez nią zabójstwa. Ponadto - co stwarza dodatkowy problem natury prawnej - nikt jak dotąd nie był w stanie potwierdzić jej zeznań.

Choć pani English utrzymuje z całą stanowczością, jakoby mąż pobił ją dotkliwie przynajmniej trzykrotnie podczas trwania ich małżeństwa, a często uciekał się do mniej drastycznych form przemocy fizycznej, nie istnieje żaden dowód, by komukolwiek się na to skarżyła.

Nikt z zaproszonych na przyjęcie redakcyjne gości nie miał powodu sądzić, że państwo English przeżywają jakikolwiek kryzys. Ona wyszła wcześniej, ponieważ musiała położyć dziecko spać. Teraz utrzymuje, że mąż zobaczył ją w towarzystwie innego mężczyzny i zażądał, by natychmiast wróciła do domu. Potem wieczorem skatował ją prawie do nieprzytomności. Właśnie wtedy zdecydowała, że ucieknie.

- Modliłam, się, żeby umarł - dodaje.

Ale skoro pani English istotnie znalazła się w tak dramatycznym położeniu, dlaczego nie zwróciła się o pomoc do policji? Prokurator dwukrotnie podnosił tę kwestię podczas procesu.

Po przybyciu do St. Hilaire pani English wmawiała uparcie swoim nowym znajomym, że obrażeń doznała w wypadku samochodowym. Twierdziła również z całą stanowczością, że pochodzi z Syracuse. Nawet potem, gdy wyjawiała im prawdę, nie chciała zgłosić się na policję.

Pani English zeznała, że jej mąż podczas trwania małżeństwa bardzo dużo pił, czemu stanowczo zaprzecza były redaktor naczelny pisma, w którym oboje pracowali.

- Harrold nie był alkoholikiem. To znaczy, pił jak wszyscy. Martini do lunchu, może przy sposobności dwa, ale nie więcej.

Niezależnie od tego, co naprawdę zaszło między Harroldem Englishem a jego żoną, istnieją dowody, że pierwsze konflikty nastąpiły wkrótce po ślubie. Charakter pracy pani English wymagał częstych wyjazdów w teren, co ponoć wzbudzało zazdrość jej męża. Jak większość reporterów pani English podróżowała po kraju, zwykle w męskim towarzystwie. Przyznała, że koledzy często odwiedzali ją w pokoju, gdyż panowały między nimi bardzo przyjazne stosunki. Jej mąż jednak zupełnie nie tolerował tej zażyłości. Kiedyś, gdy wróciła z takiej podróży, została przez niego dotkliwie pobita. Potem musiała okłamywać przełożonych, twierdząc, że cierpi na chorobę lokomocyjną i nie wolno jej podróżować samolotami ani samochodami. W związku z tym przestała wyjeżdżać w delegacje, opracowywała jedynie materiały przygotowywane przez kolegów, co wpłynęło zdecydowanie negatywnie na jej karierę zawodową.

Pani English zamierzała poszukać pomocy u psychiatry, a w pewnym momencie rozważała nawet możliwość samobójstwa. Niewykluczone, że cięża pogłębiła depresję, gdyż z pracy w redakcji zrezygnowała bardzo wcześnie, a potem prawie nie wychodziła z domu. Pewnego razu uciekła do matki.

Na jej fatalny stan psychiczny wpływał również alkohol. Jak sama przyznała, ona i jej mąż pili stanowczo zbyt dużo, „jakby tonęli”. Po pracy wędrowali do barów, po czym kończyli biesiadę w domu. Pani English nie zrezygnowała z alkoholu nawet podczas pobytu w Maine. W lodówce zawsze trzymała piwo, a z zeznań Willisa Beale'a wynika, że przy każdej okazji proponowała mu drinka.

Jej stan psychiczny nie uległ poprawie. Miewała nawet halucynacje, wydawało się jej, że słyszy głos męża, na długo przed jego przybyciem na cypel. Podczas ogniska na błoniach z okazji Wigilii zemdląła ze strachu.

Niewątpliwie żyła wciąż w stanie silnego stresu. Zabrała dziecko z mieszkania w Nowym Jorku, przejechała samotnie prawie osiemset kilometrów do obcego miasta. Kiedy dotarła do St. Hilaire, panował tam akurat ogromny mróz. Zdrowie - zarówno jej, jak i dziecka - było narażone na szwank. Utrzymywała się z pieniędzy, które wyjęła z portfela Harrollda. Od roku nie pracowała i nie mogła liczyć na zatrudnienie w Maine. Podała fałszywe nazwisko, fałszywe miejsce zamieszkania, każdej z napotkanych

osób opowiadała zupełnie inną historię. Próbowwała rozpocząć nowe życie jako Mary Amesbury.

Mały sklepik Everetta Shedda stanowił zawsze centrum niewielkiej osady rybackiej St. Hilaire. Codziennie zbierają się tu jej mieszkańcy, żeby - wśród konserw, rodzynek, sprzętu rybackiego i puszek z zimnym piwem - podyskutować na temat procesu. Omawiają wystąpienia świadków i wygląd Mary Amesbury.

Pozornie mogłoby się wydawać, że St. Hilaire to klasyczna miejscowość nadmorska - śpiąca, malownicza, pełna niepowtarzalnego uroku. Nie brak tu białej wieżyczki kościoła, starych domków kolonialnych, odgłosów portowego życia. Ale tak naprawdę życie w St. Hilaire wcale nie toczy się tak gładko. Według Everetta Shedda - sklepikarza i stróża prawa w jednej osobie - miasteczko ma już dawno za sobą czasy rozkwitu.

- Sto pięćdziesiąt lat temu budowano tu statki, ale teraz mamy kryzys. Wiele domów świeci pustkami. Dzieciaki, jak tylko skończą szkołę, biorą nogi za pas i zwiewają gdzie pieprz rośnie, no nie? - Everett Shedd mówi z typowym wschodnim akcentem, jedno oko ma szklane.

Główne źródło utrzymania mieszkańców St. Hilaire i podobnych osad stanowi połów krabów, małży i krewetek. W głębi łądu niektórzy próbują uprawiać borówki, ale ogólnie jest ciężko. Urocze domki nie wyglądają zbyt zamożnie - sielski krajobraz szpecą różowo-turkusowe przyczepy, rdzewiejące ze starości. W tej miejscowości - jak twierdzi Shedd - wiele kobiet zimą popada w depresję, a izolacja od świata prowadzi czasem do kazirodztwa (jedna z kobiet ma ponoć trzy piersi, często spotyka się ludzi ze szparą między zębami). Tu mężczyźni tracą czasem życie, wypadając ze swoich łodzi do morza, a dominuje bezrobocie i alkoholizm. Współczesne St. Hilaire to miasteczko zaprzepaszczonych szans i straconych nadziei.

- Czytuje pani pewnie czasem broszury turystyczne - mówi Shedd. - O St. Hilaire prawie w ogóle nie piszą, bo tu nic nie ma.

Do tej właśnie portowej osady przybyła pani English w pewien mroźny grudniowy wieczór. Pierwszą noc spędziła w motelu „Gateway”, na północ od St. Hilaire, a potem wynajęła dom od Julii Strout - wdowy cieszącej się powszechnym szacunkiem mieszkańców. Na cyplu - jak sama twierdzi - wiodła spokojną egzystencję w stylu Hester Prynne. I podobnie jak ona zaczęła się nawet interesować robótkami ręcznymi.

- Kochałam tę miejscinę - mówi. - Czytałam, robiłam na drutach, zajmowałam się dzieckiem. Chodziłam na spacer. To było proste, dobre życie.

Z pewnością ten sielski obrazek domowej atmosfery pomógłby jej bardziej podczas procesu, gdyby nie pewien szczegół stojący w jaskrawej sprzeczności z zapewnieniami o zwykłym życiu.

Niecały miesiąc po przybyciu do St. Hilaire pani English znalazła sobie kochanka - żonatego rybaka z dwójką dzieci. Był to Jack Strout, lat czterdzieści trzy - kuzyn męża Julii. To właśnie on przyszedł do domu na cyplu w ów tragiczny poranek, kiedy to pani English zastrzeliła swego męża.

- Już gdzieś tak koło gwiazdki widziałem, że oni mają się ku sobie - zeznał Beale. - Ale to nie Jack zaczął całą tę aferę. On nigdy przedtem nie zdradzał żony. Lubiłem Mary, ale muszę przyznać, że dziewczyna nie zasypiała gruszek w popiele.

Strout ma jasne kręcone włosy, jest wysoki, kościsty. Jego córka, piętnastoletnia Emily, nadal mieszka w St. Hilaire, a syn - dziesiętnastoletni Jack, studiuje na uniwersytecie w Bostonie. Strout rozpoczął studia w Maine, zamierza! wyklądać w col-lege'u. Kiedy jednak był na drugim roku, starszy pan Strout złamał obie ręce w wypadku na kutrze i chłopak musiał przejąć rodzinny interes. Jack odmówił udzielenia wywiadu, ale z całą pewnością cieszy się w St. Hilaire ogromnym szacunkiem. Całe lata cumował swój kuter na przystani na cyplu.

Pani English twierdzi, że poznała Jacka podczas spaceru. Wkrótce potem zostali kochankami. Opisała mi ten romans ze szczegółami. Strout przychodził do niej codziennie o świcie, przed wypłynięciem na morze. Twierdziła, że ich związek miał bardzo „naturalny charakter”. Byli sobie potrzebni.

Na początku dbali o zachowanie dyskrecji, ale Beale pamięta, że często widywał ich razem.

- Spotkałem ich w którąś niedzielę, jak wracali z przejażdżki łódką, a innym razem zauważyłem, że stoją w drzwiach jej domu i zachowują się wobec siebie naprawdę po przyjacielsku.

Kochankowie musieli utrzymać swój związek w tajemnicy, gdyż żona Strouta, Rebecca, cierpiała na poważną depresję, na którą zapadła tuż po urodzeniu pierwszego dziecka. Strout aż bał się pomyśleć, do czego mogłaby być zdolna, gdyby się dowiedziała o jego romansie.

Gdy jednak w poniedziałek poprzedzający zabójstwo córeczka pani English dostała bardzo wysokiej gorączki, Jack mimo wszystko zawiózł je obie do kliniki w Machias. Po tej wizycie miejscowy pediatra skontaktował się z lekarzem dziecka w Nowym Jorku, a tamten z kolei poinformował Harrolda Englisha o miejscu pobytu jego żony. Również w ten sam

poniedziałek Willis Beale zaobserwował scenę w drzwiach, kiedy to Jack Strout i Maureen English „zachowywali się wobec siebie naprawdę po przyjacielsku”.

Z rozmów z panią English wynika jasno, że oboje zdawali sobie sprawę z nieuchronnego końca porannych wizyt. Jack zamierzał bowiem zholować kuter na keję, przez co straciłby pretekst do wychodzenia z domu przed świtem. Ta perspektywa wprawiła ich w niepokój. Pani English wiedziała, że ostatni raz spotka się z Jackiem w piątek 15 stycznia - czyli w dzień zabójstwa.

Romans ze Stroutem miał ogromne znaczenie dla sprawy, nie tylko dlatego, że rzucał cień na dobre imię pani English. Prokurator utrzymywał bowiem uparcie, że był to prawdziwy motyw zabójstwa. Ani na chwilę nie potraktował poważnie tezy o obronie koniecznej.

Pickering - trzydziestodwuletni absolwent uniwersytetu Columbia, przeniósł się z Portland do okręgu Waszyngton ponad dwa lata temu. Stanowi całkowite przeciwieństwo swego oponenta, Sama Cottona. Młody, wysoki prokurator o grzmiącym głosie i wyraźnym zacięciu teatralnym czuje się na sali rozpraw jak ryba w wodzie. Nie można tego, niestety, powiedzieć o Cottonie, gdyż pan mecenas czasem wyraźnie się denerwuje, a nawet poci i lekko jąka. Pickering natomiast świetnie się bawi, co dało się zauważyć podczas zeznań pani English na temat widelca.

Według pani English mąż zaatakował ją w domu, 15 stycznia we wczesnych godzinach rannych, za pomocą ostrego narzędzia. Podczas przesłuchania w trakcie pierwszego procesu okazało się, że tym przedmiotem był widelec. Harrold English zamierzał go początkowo użyć do spożycia makaronu znalezionej w lodówce.

- Więc obawiała się pani, że za pomocą tego widelca mąż pozbawi panią życia? - pytał Pickering oskarżoną, a w jego głosie brzmiała wyraźnie nutka niedowierzania.

- Tak - odparła pani English na swój charakterystyczny, bezpośredni sposób.

- Mówimy o widelcu, którym jadł makaron z serem? - upewnił się prokurator.

- On jeszcze nie zaczął jeść - odparła pani English.

Zebrani na sali parsknęli śmiechem.

Następnie każda ze stron powołała biegłego, by ustalić, czy za pomocą widelca można zabić kobietę, ale rozbawienie Pickeringa nadało temu incydentowi komiczny charakter.

Prokurator odniósł się równie sceptycznie do samego zabójstwa. Wskazywał na fakt, że gdyby pani English istotnie tak bardzo się obawiała o swoje życie, to potem, kiedy jej mąż zapadł w sen, miała przecież czas, by pobiec do sąsiadów i zatelefonować albo do Everetta, albo na policję w Machias.

Zamiast tego wybrała niezwykle trudną eskapadę na kuter Strouta, gdzie spodziewała się znaleźć broń. W drodze o mało nie postradała nawet życia w „ruchomych piaskach odpływu”, zwanych kadzią z miodem.

Twierdzi, że gdy wróciła do domu, jej mąż jeszcze spał. Obudził się jednak, zanim pierwsza kula drasnęła go w ramię. Potem Maureen English znowu nacisnęła spust. Jack Strout - według jej zeznań - wszedł do willi po drugim strzale.

- Pani English z pewnością raniła, jeśli nie okaleczyła swego męża już pierwszym pociskiem - stwierdził Pickering w mowie końcowej wygłoszonej po czerwcowej rozprawie. - Gdyby chodziło jej wyłącznie o ratowanie życia, ograniczyłaby się zapewne do tego jednego wystrzału. Ale ona na tym nie poprzestała. Chciała zabić.

Pickering utrzymywał, że Maureen English popełniła morderstwo z premedytacją, gdyż była zakochana w Jacku, a jej mąż - który przejechał prawie osiemset kilometrów, żeby zabrać ją do domu - absolutnie nie zamierzał wyrazić zgody na rozwód ani separację. W tej sytuacji pani English uznała, że jedynym wyjściem jest pozbyć się męża. Stąd eskapada na kuter zamiast telefonu na policję. Stąd zabójstwo z zimną krwią.

Zarówno pani English, jak i Jack Strout zeznali pod przysięgą, że byli „przyjaciółmi”, a Strout oświadczył, że rzeczywiście 15 stycznia zamierzał odwiedzić panią English. Kiedy Pickering zapytał oskarżoną, czy „przyjaźń” polegała na zażyłości seksualnej, ta odpowiedziała, że po prostu łączyła ich pewna zażyłość.

Oboje zeznali, że Strout wszedł do willi już po tym, jak pani English oddała drugi strzał.

Z listu pani English wynika jednak niezbitcie, że Strout wszedł do środka na parę sekund przed drugim wystrzałem. Nawet biorąc pod uwagę zamęt panujący wówczas w jej umyśle, musimy dojść do wniosku, że Strout był świadkiem zabójstwa.

„Uniosłam rękę i wycelowałam. Usłyszałam hałas. To był Jack. Zaczął iść w moją stronę. Wycelowałam prosto w serce Harrolda” - napisała w jednym z listów.

Shedd, który przybył do willi parę minut później, uważa, że Strout i Maureen sfalszowali zeznania, żeby się wzajemnie chronić.

- Gdyby Jack przyznał, że był na miejscu w chwili, gdy Mary strzelała do męża, upadłby pomysł o zabójstwie w obronie własnej. A ona musiała skłamać, żeby go nie wplątać w tę całą aferę.

Tak czy inaczej, nie wiadomo, dlaczego Maureen English strzeliła do męża, skoro Strout wszedł do środka. Czy nie wystarczyła jej obecność kochanka? A może - jak sądzi Pickering - nieoczekiwane nadejście Jacka dostarczyło jej po prostu dodatkowego motywu, by pozbyć się męża?

Pani English powtarzała uparcie, że zabiła w samoobronie.

- Gdyby on został przy życiu, ja straciłabym własne.

Choć Pickering twierdził otwarcie, że bezpośredni motyw zabójstwa stanowił romans, i tak przesłuchiwał Strouta znacznie łagodniej, niż oczekiwali zebrani. Podczas żadnej z rozpraw nie pytał go na przykład o charakter związku z panią English. Taki stosunek Pickeringa do Jacka Strouta spowodował masę komentarzy i spekulacji. Niektórzy twierdzili, że prokurator nie chciał się rozwodzić nad romansiem, bo wszystko wynikało z zeznań pani English. Inni uważali, że znęcanie się nad człowiekiem dręczonym wyrzutami sumienia, pogrążonym w głębokiej żałobie, nie znalazłoby uznania u sędziego i przysięgłych.

Najsmutniejszy aspekt tej tragedii stanowi bowiem śmierć żony Jacka, Rebecki, niespełna dwanaście godzin po zabójstwie.

Rankiem 15 stycznia, po powrocie do domu Strout poinformował Rebeccę o tragedii na cyplu. Nigdy nie wyjaśnił, czy powiedział jej również o romansie z Maureen. Niemniej jednak nieco później, gdy Shedd pojechał z nim na posterunek policji w Machias, Rebecca wsiadła do samochodu dostawczego i udała się na cypel.

Pani Strout była wysoką, szczupłą, czterdziestotrzyletnią kobietą. Niegdyś, w szkole średniej, otrzymała koronę królowej piękności. Ostatnio, z powodu chronicznej depresji, bardzo rzadko pokazywała się publicznie.

Tego dnia włożyła długi granatowy płaszcz, niebieską chustkę i czarne kalosze. Ustalono, że najprawdopodobniej dopłynęła łódeczką do kutra nazwanego jej imieniem i weszła na pokład. Zaraz potem rzuciła się do morza.

W kieszeniach płaszcza Rebecki znaleziono kamienie. Z sekcji zwłok wynika, że kobieta utonąła natychmiast.

Mieszkańcy St. Hilaire szukali jej przez całą noc, ciało zostało jednak odnalezione dopiero rano - jak na ironię - w miejscu, gdzie Maureen zawarła znajomość z Jackiem.

- Kiedy tylko pomyślę o Rebecce, od razu robi mi się smutno - mówi Julia Strout, która zwróciła się do sądu o przyznanie jej czasowej opieki nad

Caroline, córeczką Englishów. - Najbardziej żal mi tych dzieci - dodaje. - Dzieci Stroutów, Johna i Emily, no i oczywiście tego maleństwa. Co za tragedia!

W czasie obu rozpraw Cotton zachowywał się w sposób bardzo powściągliwy. Jego ojciec był rybakiem z wyspy Beals, połączonej teraz groblą z Jonesport, osadą położoną na południe od St. Hilaire. Adwokat wraz z żoną i trójką dzieci mieszka tam do dziś, ciesząc się dużą popularnością w tych stronach - zasłynął w procesach rybaków oskarżonych o strzelanie do kłusowników. Jak głosi plotka, niedługo ma otrzymać nominację na sędziego, przez co obrona Maureen English nabrała dla niego z pewnością specjalnego znaczenia.

Cotton dysponuje dwoma silnymi atutami, które dają mu przewagę nad prokuratorem. Największe znaczenie ma rozkład głosów podczas pierwszego procesu.

- Nie można nie wierzyć tej kobiecie - powiedziała jedna z przysięgłych, rodowita Amerykanka z Petit Manan głosząca za uniewinnieniem.

Choć pani English nie zawsze czuła się na siłach, by zeznawać, swymi kilkakrotnymi wystąpieniami na sali rozpraw zyskała dużą sympatię przysięgłych.

Drugim atutem Cottona jest skłonność sędziego Geary do ulgowego traktowania kobiet. Choć jak do tej pory nie działał on otwarcie na korzyść oskarżonej, mieszkańcy St. Hilaire twierdzą zgodnym chórem, że Mary jest w dobrych rękach.

Niemniej jednak Cotton już od początku boryka się z kluczowymi aspektami tego procesu. Pierwszy stanowi samoobrona jako taka. Harrold English jeszcze drzemał, kiedy padł pierwszy strzał, więc oskarżona nie może twierdzić, że jej życie znalazło się wówczas w bezpośrednim niebezpieczeństwie. Jeszcze bardziej komplikuje sprawę fakt, że akurat tego poranka Harrold nie odgrażał się wcale, że ją zabije. Maureen English była po prostu przekonana, że mąż zamierzał wyrządzić jej krzywdę lub wręcz pozbawić życia.

Co gorsza, Cotton nie zdołał znaleźć bodaj jednego świadka gotowego zeznać, że Harrold English bił żonę. Mimo wszystko zdecydował się zaprzysiąc Shedda, Julię Strout i Muriel Noyes - właścicielkę motelu, w którym oskarżona spędziła swoją pierwszą noc w Maine. Wszyscy zeznali, że 3 grudnia, czyli tuż po przybyciu do wioski, oskarżona miała posiniaczoną twarz i rozciętą, obrzmiałą wargę. Pani English utrzymywała jednak z całą stanowczością, że obrażeń doznała w wypadku

samochodowym, co wynikało również wyraźnie z oświadczeń Willisa Beale'a i Julii Strout.

Ostatnio nawet Cotton uważa, że romans z Jackiem Stroutem stawia panią English w kłopotliwym położeniu. W sądzie usiłował bezskutecznie przejść nad tą sprawą do porządku dziennego. Adwokat nie chce komentować swojej strategii, ale wiemy z dobrze poinformowanych źródeł, że niechętnie zaprzysiągł panią English, gdyż wiedział, jak wielką szkodę może jej wyrządzić ujawnienie romansu. Nie miał jednak innego wyjścia, gdyż nie istniał żaden świadek przemocy, której jakoby wielokrotnie dopuszczał się English wobec żony. Tragedia pani Strout znacznie skomplikowała sytuację. Mogła bowiem nasunąć wniosek, że romans nie tylko stanowił bezpośredni motyw zabicia Harrola, ale również doprowadził panią Strout do samobójstwa.

Cotton - lepiej niż ktokolwiek inny - zdaje sobie sprawę z tego, że proces ma niezwykle skomplikowany charakter.

- Bardzo trudny przypadek - oświadczył krótko podczas rozmowy telefonicznej i dodał, że wyrok, który wyda sędzia Geary, może dać wiele do myślenia wszystkim kobietom.

Pan mecenas chyba do tej pory nie jest pewien, czy podjął słuszną decyzję, doradzając pani English, by zrezygnowała z ponownego procesu przed ławą przysięgłych. Zastanawia się pewnie również i nad tym, czy zeznania oskarżonej wyrządziły jej więcej szkody czy też pożytku.

Niezależnie od konsekwencji, jakie wynikną dla pani English z hazardowej zagrywki Cottona i werdyktu sędziego Geary, wiele istotnych pytań pozostanie bez odpowiedzi. A oto kilka przykładów tych nie rozstrzygniętych kwestii:

1. Co naprawdę można uznać za przemoc w małżeństwie? W którym miejscu przebiega granica między grą miłosną a perwersją i gwałtem?

2. Jaką rolę odgrywała pani English w sadomasochistycznych zabawach seksualnych? Czy stała się w końcu ich ofiarą, czy też bezwolnym uczestnikiem?

3. Skoro zabiła męża w obronie własnej, dlaczego oddała drugi strzał po tym, jak Jack Strout wszedł do pokoju?

4. Czy miała jakiś inny motyw, by pragnąć śmierci męża? Czy to zabójstwo istotnie wynikło z jej walki o przetrwanie? Czy też może w chwili zabójstwa oskarżona znajdowała się w stanie zamroczenia psychicznego? A może na jej decyzję wpłynął głównie fakt posiadania kochanka?

Cotton dotarł do swego niebieskiego pontiaca. Położył rękę na klamce i popatrzył na samotny - o tej porze roku otoczony różami - dom na cyplu. Od 15 stycznia, czyli od dnia, kiedy policja zabrała stąd Maureen English, nikt tutaj nie mieszkał. Nieopodal na plaży leżał stary, zmurszały kuter.

Morze było wyjątkowo spokojne, ale mewy krążyły nieustannie ponad dachem willi. Cotton rzucił ostatnie spojrzenie na dom, jakby szukał w nim odpowiedzi.

Ale tych wyjaśnień mogłaby mu udzielić tylko jego klientka.

Całą tę sprawę podsumował chyba najlepiej Willis Beale.

- To było małe, spokojne miasteczko. Nic szczególnego, ale ludzie są w porządku. A potem zjawiała się ona, zupełnie jak huragan. Proszę mnie źle nie zrozumieć, naprawdę ją lubiłem. I nie twierdzę, że chciała nam narobić kłopotów, ale jednak narobiła, nie? Zanim ją zabrali, mieliśmy tutaj jedno morderstwo, jedno samobójstwo, a trójka dzieciaków straciła matki. Znaczy, że ona musi za to wszystko jakoś odpowiedzieć, no nie?

Zanim wróciłam do sypialni Caroline, zapadła noc. Obliczyłam że grubsza, że tyle właśnie czasu jej zajmie przeczytanie wszystkich notatek i listów. Teraz musiałam stanąć twarzą w twarz z córką Maureen.

Na korytarzach panowała cisza. Nie zapowiedziałam swojego przybycia, nie zadzwoniłam do niej z dołu. Po prostu zapukałam.

- Proszę! - zawołała.

Stała przy oknie, trzymając w ręku lalkę z włóczki i szmatek. Gdy weszłam, popatrzyła mi prosto w oczy. Choć zauważyłam od razu, jak bardzo jest poruszona, nie odwróciła wzroku. Papiery ułożyła starannie na biurku.

- Już pani skończyła - stwierdziłam. Skinęła głową.

- Dobrze się pani czuje? Ponownie przytaknęła.

- To nie ten artykuł tak bardzo mnie zasmucił - powiedziała, sadzając lalkę na parapecie. - Właściwie niczego innego się nie spodziewałam. Uderzyły mnie wypowiedzi mojej matki. Ona wyrażała się w ten sposób na co dzień. Pewnie nie zdaje pani sobie z tego sprawy.

Nie znałam jej matki na tyle dobrze, żeby odpowiedzieć na takie pytanie.

- Jadła pani kolację? - spytałam, wskazując drzwi. - Mogłybyśmy pójść do kawiarni.

Szybko potrząsnęła głową.

- Nie jestem głodna.

Stałam na środku pokoju. W płaszczu i szaliku czułam się niezręcznie. Choć nie zamierzałam przeciągać tej rozmowy, doszłam do wniosku, że

lepiej będzie usiąść, toteż znowu przycupnęłam na jedynym krześle w pokoju.

Caroline nie ruszyła się ze swego miejsca przy parapecie.

- Nie rozumiem, dlaczego ona to wszystko pani napisała. Dlaczego zaprzeczyła swoim zeznaniom złożonym przed sądem?

Zdjęłam szalik, poprawiłam się na krześle. W pokoju było gorąco, czego wcześniej nie odczuwałam.

- Często zadawałam sobie to pytanie - odparłam. - Sama nie jestem pewna, czym się kierowała pani matka, przesyłając mi te materiały. Myślę, że na początku chciała po prostu udzielić mi wywiadu, ale na ustalonych przez siebie warunkach. Potem sam proces stał się dla niej swoistym katharsis, przyniósł jej ulgę. Dlatego listy do mnie traktowała jak specyficzny rodzaj pamiętnika. Sądzę, że pragnęła opowiedzieć tę historię „raz a dobrze”, choćby dla samej siebie. I właśnie z tego powodu pisała wyłącznie prawdę.

- Prawdę?! Przecież pani jej nie uwierzyła. Ten artykuł jest po prostu nikczemny! Nikczemny! Jak pani mogła zrobić coś podobnego?

Odrzuciłam głowę i wbiłam wzrok w ścianę. Tak bardzo chciałam zapewnić Caroline, że wierzyłam w opowieść jej matki, niezależnie od tego, co napisałam.

- Bardzo mi przykro. Wiem, że to niewiele, ale chciałabym pani powiedzieć choć tyle.

Pokręciła gwałtownie głową, jakby chciała z niej strząsnąć moje przeprosiny.

- Dlaczego? - spytała, rozkładając ręce. - Dlaczego? Zaczepnęłam głęboko powietrza.

- Niełatwo mi udzielić odpowiedzi na to pytanie - zaczęłam i natychmiast urwałam, szukając odpowiednich słów. - Chyba tak naprawdę kierowałam się ambicją - powiedziałam. - Wiem, że to niewybaczalne, ale nie chcę kłamać. Szukałam doskonałego tematu na artykuł i chciałam podpisać kontrakt na książkę, a wobec tego musiałam jakoś zaintrygować potencjalnego czytelnika i nie rozwiewać tak od razu wszystkich wątpliwości. Zamierzałam również stworzyć wrażenie, że otrzymałam od pani matki jeszcze inne materiały, które ujawnię później.

Wbiła wzrok w podłogę, zaciskając usta.

- Ale są również inne powody. Chciałabym je pani przedstawić. Nie po to, żeby się usprawiedliwiać. Uważam po prostu, że powinna je pani znać.

Nadal milczała.

- Wiem, że mój artykuł zdecydowanie odbiega od historii opowiedzianej przez pani matkę. Ale ja wbrew pozorom wcale nie zamierzałam jej skrzywdzić. Wtedy mi się wydawało, że prawda leży w złożoności całej tej sprawy, w różnych wersjach tych samych wydarzeń, w różnych interpretacjach...

W pokoju zrobiło się strasznie gorąco, więc zdjęłam płaszcz.

- Jest coś jeszcze. Sam proces pisania. Autor artykułu musi nieustannie dokonywać wyborów. Odrzucać jedne cytaty, zamieszczać inne, a nawet poprawiać wypowiedzi niektórych osób, by stały się one bardziej zrozumiałe. Dlatego w rezultacie nie sposób nie zmienić zasłyszanego opowiadania.

Z korytarza dobiegł mnie odgłos rozmów.

- Poza tym - ciągnęłam - mój tekst stanowił specyficzny produkt swojej epoki. Dziś nie mógłby powstać. Wtedy jednak nie wiedzieliśmy zbyt wiele o przemocy w rodzinie. Szczerze mówiąc, nie wiedzieliśmy nic. Bicie żon nie istniało w świadomości lat siedemdziesiątych. Wielu ludzi uważało, że nie ma w tym zresztą nic strasznego.

Prawda zależy od czasów, w których jest głoszona - chciałam dodać, ale pomyślałam, że dla stojącej pod oknem dziewczyny nie będzie to wcale pocieszające.

- Ona siedziała w więzieniu dwanaście lat! - krzyknęła Caroline. - To całe moje dzieciństwo!

Popatrzyłam na sufit.

- Wiem - szepnęłam.

Mój artykuł wzbudził większe zainteresowanie, niż można się było spodziewać. Cytowano go w radiu i telewizji. Przed ogłoszeniem werdyktu sędzieja Geary zaprzeczył, jakoby media wywarły na niego jakikolwiek wpływ. Ja jednak mam wątpliwości. Sędziowie nie muszą przebywać w odosobnieniu podczas trwania procesu, ponieważ ustawodawca wychodzi z założenia, że są oni odporni na głos mediów z racji uprawianego zawodu. Mimo wszystko uważam, że sędzia Geary nie wykazał tej odporności, uznając Maureen English za winną morderstwa pierwszego stopnia i skazując ją na karę dożywotniego więzienia z możliwością wyjścia na wolność po dwudziestu latach.

W dzisiejszych czasach - myślałam - Maureen nie dostałaby więcej niż pięć lat za zabójstwo w afekcie.

Bałam się, że Pickering zażąda ujawnienia przed sądem listów Maureen, ale po tym, jak Geary skazał ją na dożywocie za morderstwo pierwszego stopnia, to już nie miało sensu.

Gubernator stanu Maine ułaskawił Maureen po dwunastu latach. Julia Strout i wiele organizacji feministycznych domagało się wypuszczenia jej na wolność. Chciałam jakoś wesprzeć ich wysiłki, ale w końcu zrezygnowałam.

Kiedy znów popatrzyłam na dziewczynę siedzącą naprzeciwko, zobaczyłam, że płacze. Wyjęła chusteczkę z kieszeni i wytarła nos. Nagle zrozumiałam, że Caroline płakała już wcześniej.

- Ona nie współdziałała, prawda? - spytała cichutko Caroline.

- Nie - odparłam najszczerzej, jak potrafiłam. - Tylko że wtedy nie zdawałam sobie z tego sprawy. Z jej listów wynika wprawdzie, że było inaczej, ale większość ofiar przemocy małżeńskiej wykazuje tendencję do samooskarżania. Dopiero dziś wiem, że zarówno poczucie winy, jak i bierne uczestnictwo w perwersyjnych grach seksualnych stanowi typowy objaw tego niszczącego procesu, jakiemu ulega ofiara.

Urwałam.

- Na co umarła pani matka? - spytałam, zmieniając temat. - W nekrologu tego nie podano.

Caroline nie odpowiedziała. W końcu zbliżyła się do łóżka i usiadła.

- Na zapalenie płuc - odrzekła w końcu. - W więzieniu miała stale nawroty choroby. Była na nią wyjątkowo podatna. Ja i Jack staraliśmy się bardzo, żeby... - umilkła.

Myślałam, że Caroline znów się rozplacze, ale dziewczyna odzyskała szybko panowanie nad sobą.

- Przykro mi - powiedziałam. W pokoju zapadła długa cisza. Odchrząknęłam.

- Ucieszyłam się, że Jack żyje. Mam na myśli to, że w końcu wyszła za niego za mąż i zdołała uszczknąć dla siebie choć trochę szczęścia.

Caroline skinęła głową.

- Rzeczywiście byli szczęśliwi - powiedziała.

- Czy mogę panią zapytać, co się stało z innymi? Popatrzyła na mnie z roztargnieniem.

- Na przykład z kim?

- Choćby z Julią.

- Mieszkałam z Julią do dwunastego roku życia - odparła, choć widziałam, że myśli o czymś zupełnie innym. - Babcia wystąpiła do sądu o prawo do opieki nade mną, ale mama wołała, żebym mieszkała w Maine, bliżej niej. A potem, kiedy wyszła z więzienia, sprowadziłyśmy się do Jacka. Na początku bardzo to przeżywałam. Kochałam Julię. Długo

myślałam, że ona jest moją prawdziwą matką. A Emily tymczasem wyjechała. Jest inżynierem w Portland.

- A pani? Chce pani pisać, iść w ślady rodziców?

- Nie - odparła. - Myślałam o architekturze.

- Jack nadal łowi homary?

- Oczywiście - oznajmiła, jakbym zadała wyjątkowo głupie pytanie.

- A Willis?

- Uczono mnie nienawiści do pani - powiedziała. W jej ciemnych oczach błysnął gniew, a potem strach.

Byłam na to przygotowana, ale krew i tak uderzyła mi do głowy. Nie pamiętałam, co powinnam odpowiedzieć.

- Właściwie nikt mnie niczego nie uczył. To się rozumiało samo przez się.

Przytaknęłam. Nic innego mi nie pozostało.

- Czułam się fatalnie. I nadal tak się czuję. Z tego powodu tu przyjechałam.

Odwróciła wzrok.

- Dlaczego pani robi takie rzeczy?

Myślałam chwilę. Wydawało mi się, że już odpowiedziałam na to pytanie.

Dostrzegła moje wahanie.

- Nie, nie o to mi chodzi. Pytałam, dlaczego pisze pani o zbrodniach i przemocy.

Popatrzyłam na swoje ręce. Obróciłam złotą bransoletkę. To pytanie sama sobie często zadawałam - czasem z niepokojem, czasem jedynie z ciekawością. Dlaczego tak bardzo interesowały mnie morderstwa, gwałty i samobójstwa? Aby rozwiązać ten problem, należało chyba sięgnąć do sedna mojej egzystencji.

Jak mogłam wytłumaczyć tej młodej dziewczynie, że taki pociąg do czegoś, co nienaturalne, jest czymś zupełnie naturalnym? Albo przyznać się jej, że pod cienką warstewką powściągliwości i opanowania kryje się we mnie fascynacja zbrodnią? Czy mogłam jej powiedzieć, że właśnie ta brutalność i przyzwolenie na okrucieństwo tak bardzo mnie w tej historii zainteresowały? Czy mogłam wyjawic tej dziewczynie, jak bardzo trzęsły mi się ręce, kiedy rozrywałam paczkę, którą dostałam od jej matki?

- Ludzie posuwają się czasem do ostateczności. Chciałabym zgłębić ten problem.

To wyjaśnienie wystarczyło.

- Kiedy przeczytałam nekrolog twojej matki w „Timesie”, przez całe popołudnie chodziłam po ulicach. Ta wiadomość przywołała wiele wspomnień, skojarzeń, nie rozwiązanych kwestii, które przez wiele lat próbowałam od siebie odsunąć. A kiedy wróciłam do domu, wyciągnęłam te wszystkie zapiski i zaczęłam je czytać od nowa. Na takie materiały patrzy się zupełnie inaczej w ferworze emocji niż w dwadzieścia lat później. Po skończeniu lektury doszłam do wniosku, że powinnam to wszystko oddać pani. Kiwała wolno głową.

- Była jeszcze książka... - zaczęłam.

- Wiem, nigdy jej nie czytałam.

- Przywiozłam dla pani egzemplarz - powiedziałam, sięgając do teczki. - To jest właściwie dłuższa wersja mojego artykułu. Pojawiają się w niej te same tematy, wątpliwości.

Ale ona znowu potrząsnęła głową.

- Nie - odparła. - Ja jej nie chcę. Schowałam książkę.

- Prawda jest taka - powiedziałam - że ta historia przyniosła mi majątek.

Urwałam i utkwiałam spojrzenie w czubkach butów.

- A ona pani ufała. Mimo wszelkich uprzedzeń, mimo tego, co wiedziała o dziennikarstwie.

Nie mogłam temu zaprzeczyć. Zwinęłam leżący na kolanach płaszcz.

- Tytuł tej książki... - zaczęła.

- „Pasje tajemne”?

- To cytat z Wordswortha - powiedziała. - Przerabialiśmy jego wiersze w zeszłym roku. A tytuł usłyszałam już wcześniej, od Jacka albo od Julii. Potem bardzo się zdziwiłam, że ten wiersz to moja lektura obowiązkowa.

- On pojmował przez to zupełnie co innego niż współcześni. Chciał jakoś opisać smutek... - zaczęłam, ale powstrzymał mnie wyraz powagi w jej oczach. - Proszę mnie źle nie zrozumieć - zaczęłam, wyciągając notes - ale naprawdę zarobiłam na tej książce dużo pieniędzy. Dzięki niej mogłam pisać dalej, odniosłam na tym polu spore sukcesy. Przez te wszystkie lata chciałam oddać cześć dochodów pani matce, ale ilekroć wysyłałam jej czek, odsyłała mi kopertę, nawet jej nie otwierając. Dla pani również mam taki czek, pomoże pani w zdobyciu wykształcenia. Mam nadzieję, że nie odmówi mi pani tak po prostu dla zasady. Uważam, że pani matce należała się część zysków z tej książki.

Wyciągając do niej rękę z czekiem, czułam się jak ostatnia idiotka, a raczej jak kobieta w średnim wieku z łapówką w dłoni. Caroline stała przy biurku wystarczająco długo, żeby mnie poniżyć, więc nie mogłam przyjść do siebie ze zdumienia, kiedy schowała czek do kieszeni.

Odczuwałam jednocześnie ogromne zdziwienie i ulgę.

- Potrzebuję pieniędzy - powiedziała wprost. - Spadek po ojcu już się wyczerpał. Jack nie ma zbyt wiele, a ja nie lubię nikogo o nic prosić.

Nawet mi nie podziękowała. Widocznie uważała, że te pieniądze są własnością jej matki, a więc i ona ma do nich prawo.

- Chyba już pójdę - powiedziałam wstając. Otrzymałam niespodziewaną premię. Biorąc czek, dziewczyna udzieliła mi rozgrzeszenia.

- Chciałabym jeszcze o coś panią zapytać - powiedziała.

- Jasne - odparłam, może trochę zbyt bezceremonialnie. Myślałam już o kolacji i pokoju w motelu, w którym czekałam, aż Caroline zakończy lekturę. Następnego dnia mogłam wrócić do swojego mieszkania i oczywiście do pracy.

- Uważa pani, że moja matka nie kłamała?

Odwróciła się do okna, a ja zastygłam z płaszczem w ręku. Za szybą panowały takie ciemności, że widać w niej było nasze niewyraźne odbicia.

- Co pani ma na myśli? - spytałam. - Chce się pani dowiedzieć, co sądzę na temat tych notatek?

- Tak - odparła, przenosząc na mnie wzrok. - Przecież mogła ubarwić swoje opowiadanie, coś pozmieniać, przesadzić wyłącznie po to, by jakoś sobie pomóc.

To przypominało otchłań, w której historia i jej autor odbijają się nieskończoną ilość razy, jak obrazy w dwóch lustrach stojących naprzeciwko siebie.

Skąd wiadomo, gdzie należy szukać początku tej historii? I gdzie leży prawda? - myślałam.

Po chwili odkryłam ukryte intencje jej pytania i zaczęłam podejrzewać, że być może Caroline chciały zobaczyć swego ojca w nieco lepszym świetle.

- Nie wiem - odparłam.

Usłyszałam bicie dzwonu - zapewne z kościelnej wieży. Naliczyłam jedenaście uderzeń.

Wzruszyła lekko ramionami, wyraźnie niezadowolona z mojej odpowiedzi. Włożyłam płaszcz.

- Mieszkam w „Holiday Inn” - powiedziałam. - Wyjeżdżam dopiero o dziewiątej. A mój nowy adres i telefon znajdzie pani na czeku.

- Nie mam już żadnych pytań - odparła.

- W takim razie powodzenia. - Cofnęłam się w stronę drzwi.

- Zapomniała pani czegoś. - Trzymała w ręku paczkę z zapiskami.

- Nie. Przyniosłam to specjalnie dla pani.

Zdałam sobie sprawę, że wyciągam przed siebie ręce, jakbym chciała się przed nią obronić. Zrobiła krok naprzód.

- To stanowi wyłącznie pani własność - nie ustępowała. Potrząsnęłam głową, ale włożyła mi paczkę do ręki gestem nie znoszącym sprzeciwu.

- Julia umarła przed rokiem - powiedziała. - A Everett nadal prowadzi swój sklep.

Szłam długim korytarzem w stronę schodów. Zza niektórych drzwi dobiegały odgłosy rozmów i muzyka. Stojąc na kamiennym ganku akademika, zauważyłam, że znowu pada, więc naciągnęłam szalik na głowę. Plik papierów wyleciał mi spod pachy i rozłożył się jak wachlarz na mokrych schodach.

Może właśnie wtedy przypomniałam sobie słowa ojca, który twierdził, że historia zaczyna istnieć, zanim dowie się o niej dziennikarz, a jego zadaniem jest tylko nadać opowieści odpowiedni kształt. Kiedy jednak zaczęłam zbierać wilgotne strony, zauważyłam, że są całkowicie pomieszane.

A w tych ciemnościach nie miałam szansy ułożyć ich z powrotem w schludny pakiecik.

RS